Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Co zrobić, **by Polacy się rodzili?** ▶ 32

FOT. GETTY IMAGES

Architektura ma wpływ na długość naszego życia ▶ 22

WYSOKIE OBCASY

Grażyna Plebanek szuka babki

MAGAZYN wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Husaria Brauna

▶ 8

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
34>
9 770860 908167

Głód jest bronią nie tylko w Gazie
I nie ma za to kary ▶ 20

Szwedzki psychiatra o prawie do śmierci ▶ 34

Lech Janerka
O Bogu i diable ▶ 27

FOT. TOMASZ PIETRZYK

Pierwsze pocztówki budziły zgorszenie, choć nie miały widoczków ▶ 40

Sobota–czwartek, 23-28 sierpnia 2025 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 195.10992, 2 Nakład 75 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 9a923e079a

Agnieszka Kublik

Nawrocki przewraca krzesło

Był koniec roku 2008, gdy rozgorzała polsko-polska wojna o miejsce przy stole podczas szczytu Unii Europejskiej. Prezydent Lech Kaczyński i premier Donald Tusk walczyli, bo w Brukseli dla Polski było tylko jedno krzesło.

Lech Kaczyński nie dostał rządowego samolotu do Brukseli, ale poleciał, bo poszedł do LOT-u, by wyczarterować Boeinga. Prezydent na szczycie zaistniał, choć – jak relacjonowali świadkowie – usiłował rozmawiać z prezydentem Francji, ale pokazał jedynie znak Victorii.

„Spór o krzesło" wszedł do potocznej polszczyzny jako określenie absurdalnej kłótni na górze. Trybunał Konstytucyjny wiosną 2009 r. orzekł, iż prezydent może brać udział w posiedzeniach Rady Europejskiej bez zgody rządu, ale delegacji przewodzi premier.

W Białym Domu podczas szczytu dotyczącego wojny w Ukrainie, nie było prezydenta Polski.

Trudna ta kohabitacja była, bo to premier miał być szefem prezydenta w Brukseli, ale wówczas obu zależało, by na szczycie UE być. Lech Kaczyński wierzył, że Polska racją stanu jest obecność i prezydenta przy tym stole.

Teraz, kiedy w Białym Domu podczas szczytu dotyczącego wojny w Ukrainie, nie było prezydenta Polski, bo Nawrocki wybrał przyszłe i niepewne spotkanie z Trumpem 3 września, chodziło o nieobecność.

Tego usprawiedliwić się nie da. Bo Nawrocki wybrał nieobecność podczas rozmów, które nas dotyczą. Widać woli z Trumpem rozmawiać sam na sam, choć to ten szczyt w Białym Domu przejdzie do historii, a spotkanie Trump-Nawrocki trafi tylko do archiwum Nawrockiego. O ile kapryśny Trump nie zmieni zdania.

Alexander Stubb, prezydent Finlandii, który był tam, gdzie Nawrockiego nie było, wygłosił świetne przemówienie: „Niektóre międzynarodowe media mogą się zastanawiać: Dlaczego prezydent Finlandii jest tutaj? Myślę, że powodem jest prawdopodobnie to, że pochodzimy z małego kraju, ale mamy długą granicę z Rosją, ponad 800 mil, i mamy własne historyczne doświadczenia z Rosją z czasów II wojny światowej, wojny zimowej i wojny ciągłej".

800 mil to 1288 kilometrów. Nasza granica z Rosją to 232,04 km, w tym odcinek lądowy – 209,83 km. Z Ukrainą – 535,18 km.

Mamy powód, by w takich rozmowach być? Krótszy, ale politycznie istotniejszy.

Paweł Wroński, rzecznik MSZ skonstatował, że „nie może być dwóch ośrodków polityki zagranicznej, bo nie da się kreować dwóch polityk zagranicznych". Ale jak właśnie widać, jest to, niestety, możliwe. A Trump w tym pomaga.

Jak myślicie, kto ma interes, by u nas prezydent i premier skakali sobie do oczu? Oprócz, rzecz jasna, Jarosława Kaczyńskiego?

Nowy wspaniały świat
Co im się przyśni

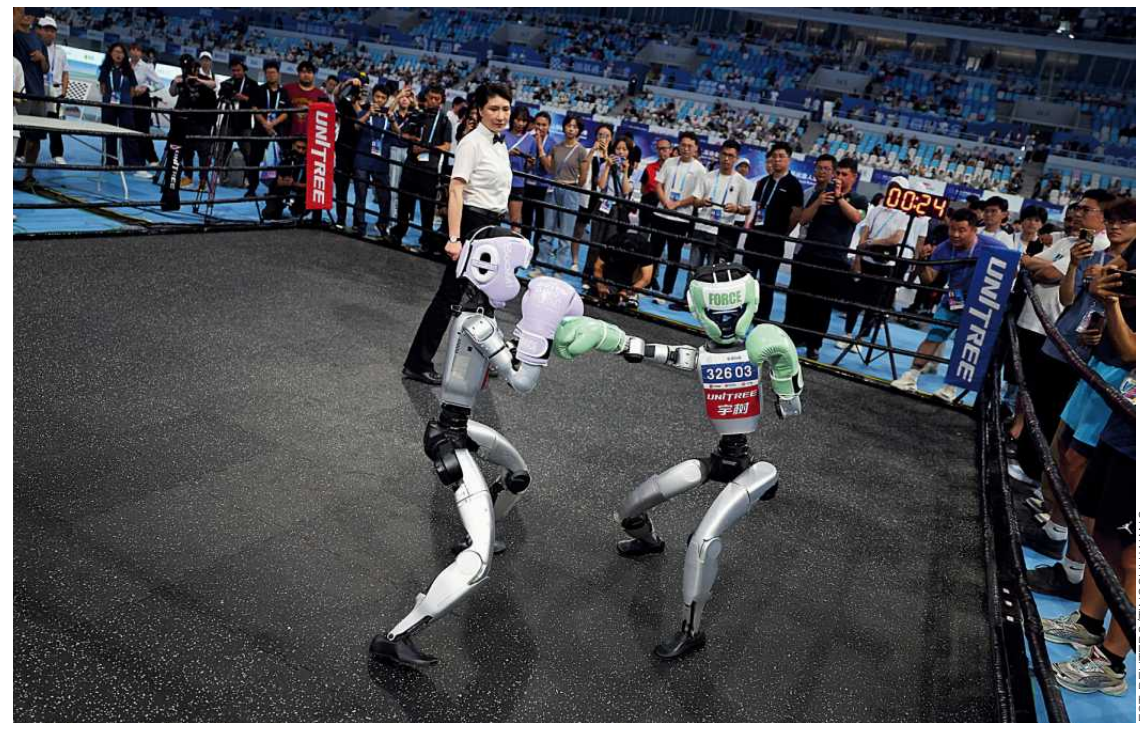

FOT. REUTERS/TINGSHU WANG

Humanoidalne roboty Unitree Robotics rywalizują w meczu kickboxingu podczas Światowych Igrzysk Robotów Humanoidalnych na Narodowym Torze Łyżwiarstwa Szybkiego w Pekinie, 15 sierpnia 2025 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Pisarka zaangażowana
Sally Rooney grozi aresztowanie

Irlandzka pisarka nazywana głosem swojego pokolenia już w 2021 roku oświadczyła, że nie sprzeda praw do tłumaczenia „Gdzie jesteś, piękny świecie" izraelskiemu wydawnictwu, które – jak powiedziała – nie popierało apeli o bojkot Izraela z powodu jego polityki wobec Palestyńczyków. Dodała, że „byłoby dla niej zaszczytem" przetłumaczenie książki na hebrajski przez firmę podzielającą jej poglądy polityczne.

A w swoim najnowszym felietonie w „Irish Times" Rooney zapowiedziała, że nadal będzie wspierać finansowo Palestine Action, którą rząd brytyjski uznaje za organizację terrorystyczną.

Palestine Action od powstania w 2020 roku organizuje przede wszystkim protesty przeciwko producentom broni: demoluje budynki, wybija szyby i okupuje fabryki. W czerwcu tego roku jej aktywiści włamali się do wojskowej bazy lotniczej i pomalowali dwa samoloty czerwoną farbą. Rząd zareagował, uznając Palestine Action za organizację terrorystyczną. Współzałożycielka grupy, Huda Ammori, walczy teraz o zmianę tej decyzji w sądach, ale to nie zmienia faktu, że obecnie każdy wyraz poparcia dla tej organizacji, nawet transparent czy koszulka z jej nazwą, stanowi w świetle brytyjskiego prawa przestępstwo.

FOT. RICHARD SAKER/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Według cytowanych przez „The Guardian" prawników, Rooney może grozić aresztowanie.

Od czasu uznania Palestine Action za organizację terrorystyczną, w Wielkiej Brytanii aresztowano już ponad 700 osób, z czego 500 podczas demonstracji w centrum Londynu w zeszłym tygodniu. „Obecny rząd Wielkiej Brytanii, aby chronić relacje z Izraelem, dobrowolnie pozbawił swoich obywateli podstawowych praw i wolności, w tym prawa do wyrażania odrębnych opinii. Konsekwencje dla życia kulturalnego i intelektualnego w Wielkiej Brytanii są i będą głębokie" – skwitowała Sally Rooney w swoim felietonie.

Sandra Zakrzewska

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

3422

Zł.
wynosi, wg ZUS, średnia emerytura kobiet i jest o ponad 1500 zł niższa niż w przypadku mężczyzn
▶ **wyborcza.biz**

W poniedziałek w „Dużym Formacie"

Była siostra jeździ na taksówce

„Dostałam okres i trzy dni musiałam prosić przełożoną o podpaski. W końcu pożyczyłam od innej siostry" – mówi Jolanta, była dyrektorka zakonnego przedszkola i zakonnica przez 29 lat.

Rozmowa Pawła Piotra Reszki

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

Wojna w Ukrainie

Ultima Thule Donalda Trumpa

Prezydent Stanów Zjednoczonych uważa, że z zagranicznymi przywódcami można postępować tak samo jak z Amerykanami.

Snyder

Dzięki uprzejmości czasopisma idei Project Syndicate, dla którego piszą najciekawsi intelektualiści, autorytety i osoby publiczne zachodniego świata, witamy profesora Snydera jako regularnego felietonistę na naszych łamach. Zapraszamy do comiesięcznej lektury w weekendowym „Magazynie Wyborczej”.

W starożytności mówiono o „Ultima Thule”, mitycznej krainie na dalekiej północy, krańcu świata. Prezydent USA Donald Trump, udając się na północ, na Alaskę, by spotkać się z prezydentem Rosji Władimirem Putinem, dotarł do własnej Ultima Thule – arktycznego kresu swojej wyimaginowanej polityki zagranicznej.

Trump uważa, że z zagranicznymi przywódcami można postępować tak samo jak z Amerykanami – składać im fantazyjne obietnice i stosować wobec nich nachalne zastraszanie. Jednak poza granicami USA to tak nie działa. Puste zapewnienia o „pięknej” przyszłości nie poruszają dyktatorów, którzy popełniają zbrodnie, by realizować własne wizje. Nie działają także na ludzi, którzy bronią swoich rodzin przed przestępczą napaścią, kradzieżą ziemi i majątku, uprowadzaniem dzieci, torturami i mordowaniem cywilów.

Putin nie ma powodu, by przedkładać wizję pięknej przyszłości Trumpa nad swoją własną: Ukrainy z marionetkowym rządem, zastraszonym społeczeństwem, patriotami pogrzebanymi we wspólnych mogiłach, a zasobami w rękach Rosji.

Podobnie jak fantazje Trumpa, próby zastraszania również nie sprawdzają się za granicą. Owszem, wielu Amerykanów boi się prezydenta USA. Wyrzucił ludzi z własnej partii, a groźby przemocy pomagają mu utrzymać republikańskich kongresmenów w ryzach. Wykorzystuje też siły zbrojne do działań policyjnych – najpierw w Kalifornii, a teraz w Waszyngtonie.

Ale zagraniczni wrogowie odbierają te posunięcia inaczej. To, co Amerykanów szokuje, przeciwników Ameryki cieszy. Dla Rosjan rozmieszczanie żołnierzy wewnątrz własnego kraju wygląda raczej jak przejaw słabości.

Ostre słowa mogą brzmieć donośnie w Ameryce, gdzie często mylimy je z działaniem. Ale dla rosyjskich przywódców są przykrywką dla słabej polityki zagranicznej. Trump poszedł na niezwykłe ustępstwa wobec Rosji, nie otrzymując w zamian nic. Rosja odpłaciła mu kontynuacją wojny w Ukrainie i szyderstwami w kontrolowanej przez państwo telewizji.

Na czym polegały te ustępstwa? Samym spotkaniem z Putinem na Alasce Trump zakończył ponadtrzyletnią dyplomatyczną izolację Kremla na Zachodzie. Ściskając dłoń oskarżonego o zbrodnie wojenne prezydenta Rosji, Trump zasygnalizował, że zabójstwa, tortury i uprowadzenia w Ukrainie nie mają znaczenia.

Nawet wybór miejsca spotkania był ustępstwem – i to dziwnym. Rosjanie, w tym czołowe postaci mediów państwowych, regularnie roszczą sobie prawo do Alaski.

FOT. REUTERS/KEVIN LAMARQUE

• Joint Base Elmendorf-Richardson w Anchorage na Alasce, tu Donald Trump podjął Władimira Putina 15 sierpnia

Zaprosić ludzi, którzy twierdzą, że twój teren należy do nich, do twojej głównej bazy wojskowej na tym właśnie terenie, aby dyskutować o wojnie agresyjnej, którą sami rozpoczęli – i to bez zaproszenia kogokolwiek reprezentującego napadnięty kraj – to już absolutny kres politycznej fantazji. To jest właśnie Ultima Thule.

Jest to kres, ponieważ Trump ustąpił wcześniej w kwestiach bardziej fundamentalnych. Nie mówi o sprawiedliwości wobec rosyjskich zbrodniarzy wojennych ani o reparacjach, które winna jest Rosja. Uznaje, że Putin może decydować o polityce zagranicznej Ukrainy i Ameryki w kluczowej sprawie członkostwa w NATO. Akceptuje też, że inwazje Rosji powinny prowadzić nie tylko do faktycznych, ale także prawnych zmian w suwerennej kontroli nad terytorium.

Uznanie, że inwazja może legalnie zmieniać granice, burzy porządek świata.

Przyznanie Rosji prawa do decydowania o polityce zagranicznej innych państw zachęca do dalszej agresji. Porzucenie oczywistych prawnych i historycznych odpowiedzi na zbrodnicze wojny napastnicze – czyli reparacji i procesów sądowych – sprzyja wybuchowi kolejnych wojen.

Trump mówi głośno, ale jego siła przebicia jest znikoma. Wiara, że same słowa wystarczą, doprowadziła go do przekonania, że słowa Putina mają znaczenie – dlatego musiał jechać na Alaskę na „ćwiczenia ze słuchania”. Cała kariera Trumpa to powtarzanie po Putinie.

Obu mężczyzn pociąga wizja przyszłej wielkości. Putin wierzy, że można ją osiągnąć poprzez wojnę, której elementem jest manipulowanie amerykańskim prezydentem.

Trump wierzy, że jego spuścizna zostanie zabezpieczona przez utożsamienie z pokojem, co – dopóki sam nie podejmie realnych decyzji politycznych – czyni go podżegaczem wojennym.

Putin nie przerwie wojny tylko dlatego, że amerykański prezydent powiela jego narrację. Nie przekona go również mglista obietnica pokoju, skoro w jego umyśle ugruntowany jest konkretny zamiar zbrodniczy.

Na Alasce Trump osiągnął swoją własną Ultima Thule, granice swojej własnej krainy magicznych słów. Stanął przed bardzo prostym pytaniem: Czy Putin zaakceptuje bezwarunkowe zawieszenie broni, tak jak tego zażądał?

Putin oczywiście odmówił. W zamian zaproponował jawnie absurdalny i prowokacyjny kontrpostulat: Ukraina powinna formalnie oddać Rosji tereny, których Rosja nawet nie okupuje, a które Ukraina umocniła. Wtedy Rosja mogłaby oczywiście znów zaatakować – z o wiele lepszej pozycji.

Putin wie, że Trump marzy o Pokojowej Nagrodzie Nobla, więc oczywistym posunięciem jest zasugerowanie Trumpowi, że wojna kiedyś się skończy, a zasługi przypadną właśnie jemu – o ile będą kontynuować rozmowy („Może następnym razem w Moskwie?” – rzucił przed wylotem z Alaski) – podczas gdy Rosja będzie dalej bombardować.

Teraz, gdy Trumpowi nie udało się uzyskać bezwarunkowego zawieszenia broni, stoją przed nim dwie drogi. Może dalej podtrzymywać fantazję, choć stanie się coraz bardziej oczywiste – nawet dla jego przyjaciół i zwolenników – że ta fantazja należy do Putina. Albo może utrudnić Putinowi prowadzenie wojny, a tym samym doprowadzić do jej szybszego zakończenia.

USA nie sformalizowały jeszcze swoich kuriozalnych ustępstw wobec Rosji, a Trump mógłby je odwołać jednym wystąpieniem prasowym. Ameryka dysponuje instrumentami politycznymi, które mogłyby zmienić przebieg wojny w Ukrainie – i może je wykorzystać.

Trump zagroził „poważnymi konsekwencjami”, jeśli Putin nie przyjmie bezwarunkowego zawieszenia broni. Ale to były tylko słowa – i jak dotąd konsekwencje jego słów wobec Rosji sprowadzały się do kolejnych słów. To właśnie stało się jasne w Ultima Thule. Trump dotarł do kresu swojej krainy fantazji. Dokąd uda się teraz? ●

Timothy Snyder

Tłumaczenie: Patrycja Eiduka

Copyright: Project Syndicate 2025, www.project-syndicate.org

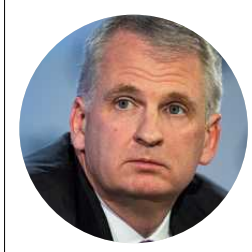

Timothy Snyder

• ur. 1969 r., historyk, wieloletni profesor Yale, autor i redaktor, pierwszy profesor historii współczesnej Europy na Munk School of Global Affairs and Public Policy w Toronto, stały pracownik Instytutu Human Sciences w Wiedniu.

• Autor głośnych książek: „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, „Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie”, „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku”, „Droga do niewolności. Rosja. Europa. Ameryka”, „Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności” (dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków lub audiobooków na Publio.pl). Człowiek Roku „Wyborczej” 2016.

eprasa.pl 9a923e079a

WAŻNY TEMAT

CZY nasi TO JUŻ. oni

Strategia demokratów polegająca na uleganiu presji prawicy jest bezowocna. Gorzej! Skłania ją do eskalowania kolejnych presji

Jarosław Kurski

Spotkałem niedawno w podwarszawskim lesie łagodnego staruszka. Zbierał jagody. Rozmawialiśmy przyjaźnie o grzybach, zwierzynie, drzewach i suszy... od słowa do słowa rozmowa niebezpiecznie zeszła na politykę. I nagle doktor Jekyll zmienił się w mister Hyde'a: – Nienawidzę Wałęsy, nienawidzę Tuska, nienawidzę Trzaskowskiego i całej tej żydowskiej bandy. Udusiłbym gołymi rękoma, a Tuska za jaja powiesił!

Próbowałem wtrącić, że to nie po chrześcijańsku tak mordować bliźnich.

– K... panie, zarżnąłbym! Zarżnął! – wykrzykiwał z zaciętością.

– A za co tak? – spytałem struchlały.

– Bo te sk...y podzieliły naród!

Poczułem się dziwnie. Gdyby tylko wiedział, że jestem z „Gazety Wyborczej", zadźgałby mnie kozikiem do grzybów.

•

Z chwilą gdy Karol Nawrocki wprowadził się do Pałacu Prezydenckiego, a wraz z nim kult siły, etyka ustawki, estetyka falangi oraz podbita megalomanią wiara w nasze niepokalane narodowe poczęcie, nasz rodzimy faszyzm zyskał znacznego, opłacanego z naszych podatków promotora. Bojówkarskie ekscesy znane dotąd ze stadionów, spod kościołów „bronionych przed lewactwem" i z naziolskich marszów zyskały urzędową prawomocność.

Niczego broń Boże nie ujmuję wielkiemu poprzednikowi Nawrockiego doktorowi Andrzejowi Dudzie, który okazał łaskę Robertowi Bąkiewiczowi, założycielowi Straży Narodowej, z Obozu Narodowo-Radykalnego.

Wybór Nawrockiego na głowę Najjaśniejszej dowodzi, że dotychczasowa strategia demokratów wobec narastającej od lat brunatnej fali okazała się – oględnie mówiąc – chybiona.

Na nic się zdały tchórzliwe ustępstwa, mimikra i podlizywanie się skrajnej prawicy. Nigdy w tromtadracjach narodowych nie będziemy tak autentyczni jak oni. Na nic uleganie patriotycznemu szantażowi PiS, ONR czy Konfederacji. Na nic bagatelizowanie, że to czy tamto to tylko pojedynczy eksces bez znaczenia. Na nic ciągłe i do znudzenia powtarzanie o wspólnocie Polaków.

Podbijanie patriotycznego bębenka prawicy to praktyka in fine katastrofalna, bo czyniąca z nas, demokratów, współodpowiedzialnymi za marsz faszyzmu.

Zostanie tylko ich narodowo-katolicki patriotyzm i ich nacjonalistyczno-ksenofobiczno-megalomańska opowieść o Polsce. Bo oni na nas mają kij baseballowy i kastet, a my, demokraci, mamy dla nich nasze skrupuły i złudzenia, że trzeba rozmawiać, bo trudne dzieciństwo, bo wykluczenie, bo inkluzywność społeczna, bo jeden wspólny dom i tym podobne opowieści pięknoduchów. Do tanga trzeba jednak dwojga.

•

Proszę wybaczyć, ale nie poczuwam się do żadnej wspólnoty z Karolem Nawrockim ani jego szczególnym rodzajem „patriotyzmu". Nie czuję duchowej solidarności z napotkanym w lesie łagodnym staruszkiem. Wyczuwam raczej klimat nadchodzącej pogromowej przemocy.

Uważam też „ekscentrycznie", że to jednak dobrze, że „dawno nikogo w Polsce nie powieszono za zdradę". Ostatnim był bodaj jeden z przywódców konfederacji targowickiej, biskup inflancki Józef Kazimierz Kossakowski powieszony 9 maja 1794 roku na Rynku Starego Miasta w Warszawie podczas powstania kościuszkowskiego. Za zdradę. Nie chcę w przeciwieństwie do Dudy wieszać kolejnego biskupa.

Odkąd narodowe sanktuarium stało się domem dla narodowców i kiboli – nie odczuwam też żadnej moralnej więzi z polskim Kościołem. Zdrową, umięśnioną narodową młodzież sprowadza na Jasną Górę kapelan obecnej głowy państwa ks. Jarosław Wąsowicz. W 2018 roku na przykład były cel-

eprasa.pl 9a923e079a

• **Kraków 19 lipca 2025 roku. Kontrmanifestacja przeciw antyimigranckiej demonstracji kiboli Wisły**
FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

tyckie krzyże, race, falangi, agresywne wrzaski i żądanie, by „uwolnić Janusza Walusia!” (zabójcę Chrisa Haniego, jednego z liderów Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który walczył z apartheidem). Hani był komunistą, a do tego czarnoskórym, więc zdaniem brunatnych pielgrzymów „Waluś nie zrobił nic złego”.

Ksiądz Wąsowicz apelował do podopiecznych: „Pilnujcie Polski!”. Przypilnowali. Podpalili transparent: „Nienawiść to nie chrześcijaństwo”, a członków stowarzyszenia Demokratyczna RP i Obywateli RP poturbowali. To tylko jeden rok, jeden raz. A to wszystko działo się od lat, przez lata i dzieje się do dzisiaj. Na naszych oczach. Regularnie. Z błogosławieństwem przeora paulinów, z błogosławieństwem głoszących ewangelię nienawiści heretyckich biskupów, przy bierności policji i wymiaru sprawiedliwości.

•

Nie mój prezydent, nie moi biskupi, nie moi koledzy, nie mój patriotyzm. Jedyne, co moje, to wspólne z nimi państwo. Kraj wspólny. Polska wspólna. Polski szkoda. Polska jest jedna i gdy przyjdzie bronić kraju przed zewnętrzną agresją – jedną pozostanie.

Ale już 15 lat temu wieszcz prawicy Jarosław Marek Rymkiewicz pisał: „Co nas podzieliło, to się już nie sklei. Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei”. Święta prawda.

A więc Polska jedna, ale dwa narody i dwa patriotyzmy. Brak tylko symetrii, bo brunatna fala wzbiera, a my, demokraci, nadal nie mamy na to żadnej realnej odpowiedzi. Załamujemy ręce. Gęgamy, popiskujemy, że „straszne”. A fala narasta i dalej będzie narastać.

Na przełomie wieków to rzeczywiście był margines. Teraz Konfederacja Mentzena i Konfederacja Korony Polskiej Brauna mają już razem poparcie na poziomie 20 procent. Ich brat syjamski – Prawo i Sprawiedliwość – niemal 30 procent. To razem 50 procent.

W Pałacu Prezydenckim zamieszkał właśnie czysty wykwit mentalności konfederacko-pisowskiej. Tylko czekać, gdy Nawrocki ogłosi się przywódcą „narodowej patriotycznej prawicy”, odstawiając Jarosława Kaczyńskiego na emerycką ławkę. Sukcesja właściwie już się dokonała, choć zapewne nie tak Kaczyński to planował. Stworzył golema, który jak to golem zerwał się ze sznurka i zjada właśnie swego stwórcę. To jego życiowa rozgrywka. Biologia stoi wszak po jego stronie. Kaczyński jest tylko liderem ugrupowania, które nie ma większości. To Nawrocki ma realną władzę, wprawdzie tylko władzę destrukcji, tj. blokowania ustaw, ale właśnie o destrukcję tu chodzi.

W tym chaosie i niemocy rządu oraz apatycznych obywateli prezydent wszystkich kiboli patronować będzie wielkiej „prawdziwie narodowej” formacji, która w najbliższych wyborach zmiecie „lewactwo” i pokusi się o konstytucyjną większość. Tak może być, nie musi.

•

Faszyzm rodzi się przy bierności i milczeniu większości. Zostawiając pole faszystom, pozwalamy na stopniowe odkształcanie standardów, godzimy się na przekraczanie kolejnych granic.

Zdaję sobie sprawę z tego, że pozycja recenzenta – publicysty – jest nadzwyczaj wygodna, bo wolna od realnej odpowiedzialności. Każdy może się mądrzyć, tylko w zderzeniu z rzeczywistością niewiele z tego wynika.

Jeden z największych umysłów XX-wiecznej Francji – Raymond Aron – też był tego świadom. Naocznie obserwował, jak w Berlinie na Unter den Linden brunatne bojówki SA paliły książki żydowskich i „zdegenerowanych autorów”, jak głosiła wtedy nazistowska propaganda. Aron widział krzykliwe, opętane tłumy, słuchał przemówień Hitlera i Goebbelsa. Był dopiero maj 1933 roku, a jednak do Paryża wrócił przerażony. Pisał: „Wyjechałem do Berlina dzieckiem, ale wracam dorosłym człowiekiem”. Rozumie, czym jest groza polityki, przeraża go irracjo-

eprasa.pl 9a923e079a

nalność ruchów masowych i to, że w istocie polityka jest grą właśnie na irracjonalnych pasjach człowieka. Dlatego polityka nie jest czysta.

Idzie do podsekretarza stanu we francuskim MSZ. Przedstawia błyskotliwą analizę ewolucji niemieckiego nacjonalizmu w faszyzm, przestrzega przed straszną wojną. Ale wtedy pada pytanie:

„A co by pan zrobił na miejscu ministra?". Tu odpowiedź Arona nie jest już taka błyskotliwa.

Zanim powiem, „co można zrobić na miejscu ministra", podsumujmy, czego dotąd „minister", czyli władza publiczna i my, obywatele, nie zrobiliśmy i jak osuwamy się w świat pojęć i zachowań skrajnej prawicy.

•

Nie można odmówić dobrych intencji prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu, który w odpowiedzi na regularne burdy wszczynane przez nazioli każdego 11 listopada zaproponował marsze „Razem dla Niepodległej". Rolą głowy państwa jest jednoczyć, więc prezydent oddawał hołd pod pomnikiem Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego, Ignacego Daszyńskiego, Józefa Piłsudskiego, no i Romana Dmowskiego – ojca polskiego nacjonalizmu i akuszera obsesyjnego antysemityzmu, który szeroką falą wylał się w latach 30. na polskie uczelnie, do korporacji zawodowych, do administracji, do wojska, na ulice polskich miast i miasteczek.

Była to cena za jedność tego marszu. Dmowski wszedł do panteonu Wielkich Polaków. O lżonym i ostatecznie zamordowanym przez endeckich antysemickich fanatyków, pierwszym prezydencie II RP Gabrielu Narutowiczu mówi się znacznie mniej. Owszem, jest w Warszawie plac jego imienia, nazwany jeszcze w czasach II Rzeczypospolitej, w 1922 roku, po jego tragicznej śmierci. Jednak już główne rondo stolicy III Rzeczpospolita nazwała imieniem Dmowskiego, idola mordercy Narutowicza.

Potem poszło już gładko. Rząd PiS stworzył Instytut imienia Romana Dmowskiego, przepompownię publicznych pieniędzy z tzw. Funduszu Patriotycznego dla innych skrajnie prawicowych inicjatyw, w tym oczywiście dla Roberta Bąkiewicza. A kto ministrowi kultury Piotrowi Glińskiemu zabroni?

By odebrać prawicy monopol na „patriotyzm" w 2011 roku, Sejm uchwalił, a prezydent Komorowski podpisał i ustanowił, Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – święto państwowe obchodzone corocznie 1 marca. To już było całkowite wejście w buty skrajnej prawicy, która ukuła pojęcie „wyklętych". Przeciw było jedynie ośmiu odważnych posłów, w tym m.in. Andrzej Celiński, Kazimierz Kutz, Jerzy Fedorowicz. Reszta ręka w rękę głosowała razem z PiS. I teraz ważne pytanie. Głosowali pod presją patriotycznego szantażu czy głosowali, bo tak uważają? Sam nie wiem, która z odpowiedzi gorsza.

Nikt nawet nie wspomniał o wymordowanych przez oddział narodowców Romualda Rajsa „Burego" białoruskich fornalach – polskich obywatelach! Ani o krwawych pacyfikacjach wsi Zaleszany, Puchały Stare, Zanie i Szpaki. Nikt nie upomniał się o wymordowanych przez oddział Józefa Kurasia „Ognia" i innych wyklętych setkach ocalałych z Holocaustu Żydów, o krwawych akcjach na Ukraińcach – polskich obywatelach! O zwykłych kryminalnych zbrodniach i rabunkach nie wspominając. Nikt nie zadał sobie trudu, by choć jednym zdaniem oddzielić ziarno od plew, bohaterów od bandytów. Demokraci i tak bezskutecznie, podlizując się prawicy, politycznie „beatyfikowali" wyklętych, dmuchając kolejny balon narodowej megalomanii.

•

„Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową kampanię »patriotyzmu« – jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią miłą przeważnie Polakowi – czają się najczęściej cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze – na ułańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę" – pisał w genialnym eseju „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy" Jan Józef Lipski. I cytował Czesława Miłosza z „Traktatu moralnego": „I jest to coś na kształt bagniska:/ Traf tam, a coraz głębiej wciska".

I bagnisko wciągało głębiej, bo pierwszy krok został uczyniony wcześniej. 15 września 2017 roku Sejm RP przyjął uchwałę gloryfikującą Narodowe Siły Zbrojne, a w szczególności tzw. Brygadę Świętokrzyską, faszystowską, antysemicką i kolaborującą z gestapo formację, która odmówiła podporządkowania się Armii Krajowej, bo podzielała niemieckie cele polityczne i strategiczne. Pisze się o niej, że „kontrowersyjna", choć kontrowersji nie ma tam wcale. „Żołnierze" brygady mordowali ukrywających się Żydów, likwidowali rodaków z partyzantki, których sami uznali za „komunistów" (AL, BCh, niekiedy AK), rozstrzeliwali jeńców sowieckich. Pod ochroną Wehrmachtu przeszli całą formacją do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Jako kolaboranci nie zostali przyjęci do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ale sejmowa uchwała stwierdza, że „dobrze zasłużyli się Ojczyźnie".

Jak widać, współpraca z nazistami nie przeszkadza, gdy zachodzi pokrewieństwo ideałów PiS i ONR. Wicemarszałkini Sejmu Małgorzata Gosiewska złożyła w rocznicę powołania brygady wieniec pod Pomnikiem Nieznanego Żołnierza, a premier Mateusz Morawiecki w 2018 roku, zamiast pojechać na przykład do obozu koncentracyjnego w Dachau, wybrał miejsce pochówku „żołnierzy" brygady i im oddał hołd. Wcześniej na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa wywołał skandal, mówiąc o „żydowskich sprawcach [Holocaustu]" (there were Jewish perpetrators).

Wspomniana uchwała została przyjęta jednogłośnie! Przez aklamację! Czy demokraci znów ulegli patriotycznemu szantażowi, czy uchwałę poparli z serca? W każdym razie wzięli udział w zakłamywaniu historii i znieważaniu pamięci niewinnych ofiar brygady.

•

Bagnisko wciągało dalej. Ostatnio germanofobiczna prawica rozpętała histerię w sprawie gdańskiej wystawy „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy". Wreszcie ktoś się upomniał o pamięć około 400 tys. Ślązaków, Wielkopolan, Pomorzan, Kaszubów, Kociewiaków wcielonych pod przymusem do Wehrmachtu. Około 100 tys. z nich zdezerterowało i przeszło do Polskich Sił Zbrojnych. Latami upokarzani, przemilczani. Napiętnowani w PRL reprezentują dramatyzm losów Polaków pogranicza.

Wystawa znakomita, potrzebna, choć o dziesięciolecia spóźniona. Że Duda, że Kaczyński, że Błaszczak czy Płażyński wpadli w godnościowo-patriotyczne wzmożenie, by tylko coś tam politycznie urwać – nikogo nie dziwi. Ale do nagonki dołączył demokrata, wicepremier z PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, „bo wystawa nie służy polskiej polityce pamięci. Nasi chłopcy, żołnierze i cywile, Polacy, bronili Ojczyzny przed nazistowskimi Niemcami do ostatniej kropli krwi. To oni są bohaterami i to im należą się miejsca na wystawach" – napisał szef MON w akcie lizusostwa wobec nacjonalistycznej prawicy.

Nie wiem, panie wicepremierze, co to jest polska polityka pamięci? Czy to oznacza, że historycy mają jedne fakty przemilczeć, a inne wyolbrzymić? Czy nie lepiej więc było, zamiast chować się za jakieś eufemizmy, napisać wprost, że wystawa nie jest zgodna z pańską wizją fałszowania historii? W sprawie Brygady Świętokrzyskiej siedział pan jak mysz pod miotłą.

Jeszcze gorzej zachowała się dyrekcja Muzeum Powstania Warszawskiego – najwyraźniej niecierpliwie wyczekująca zwycięstwa prawicy. Muzeum opublikowało zdjęcia warszawskich dzieci – powstańców z podpisem: „Nasi chłopcy". Naprawdę majstersztyk w dziele szczucia jednych Polaków na drugich.

•

„Wina za utrwalanie fałszywych moralnie mitów narodowych, za służące megalomanii narodowej przemilczanie ciemnych plam własnej historii (...) jest źródłem dzisiejszego zła i zła przyszłego. Nie wolno nam tak postępować! Każde przemilczenie staje się oliwą dolaną do ognia megalomanii narodowej, jest chorobą; każde uchylenie się od uznania własnych win – jest niszczeniem etosu narodowego". To znów Jan Józef Lipski, który odnosił się do zakłamywania historii przez narodowców od towarzysza Moczara, ale jego przestrogi brzmią porażająco aktualnie, bo to zjawisko replikuje się dziś w proporcjach jeden do jednego.

I tak w styczniu 2018 roku większość posłów PSL poparła skandaliczną PiS-owską nowelizację Ustawy o IPN przewidującą karę trzech lat więzienia dla każdego, kto „przypisuje narodowi polskiemu zbrodnie popełnione przez III Rzeszę Niemiecką". Klub KO pod „patriotycznym szantażem" umył ręce i wstrzymał się od głosu. Skutki nie kazały na siebie długo czekać. Zrobił się międzynarodowy skandal dyplomatyczny. Kryzys w stosunkach z USA, Izraelem i z Ukrainą (ustawa objęła też zbrodnie nacjonalistów ukraińskich). Rząd Morawieckiego po pół roku wycofał się rakiem z tej kompromitującej awantury, ale od polskiej demokratycznej opozycji nie usłyszał większej krytyki.

•

Tymczasem trwa konkurencja o to, który z narodów bardziej ucierpiał w Holocauście i który z nich był bardziej bohaterski. Żenująca jednostronna licytacja na martyrologię, jakbyśmy naszym cierpieniem i samochwalstwem leczyli niedostatki odwagi. W takich operacjach specjalizowała się kolejna instytucja stworzona przez PiS za pieniądze podatników o nazwie mówiącej wszystko: Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego. Polskie Yad Vashem, które ma promować polskich bohaterów. Instytut Męstwa i Samochwalstwa, bo kryteria dowodowe polskiego bohaterstwa są, oględnie mówiąc, nieoczywiste.

Z prof. Elżbietą Janicką z PAN odbyłem całodzienną wyprawę do dawnego obozu zagłady Treblinka II i Treblinka I. Na byłej stacji kolejowej stanął za czasów PiS kamień upamiętniający męczeńską śmierć kolejarza Jana Maletki, który miał zginąć dlatego, że próbował – z dobroci serca – dostarczyć wodę umierającym z pragnienia, a czekającym na zagładę, stłoczonym w wagonach Żydom. Nie ma na to dowodów z wyjątkiem wątpliwej ustnej relacji sprzed 40 lat. Może tak więc było, a może nie. Czy to wystarczy, żeby wystawiać pomnik?

Natomiast jest wiele naukowo zweryfikowanych świadectw tego, jak miejscowa ludność i kolejarze w zmowie z niemiecką, litewską lub ukraińską strażą handlowała kubkiem wody. Widziałem cembrowinę tej studni, z której woda zamieniała się w złoto. „Polskie pieniądze uważali widać za bezwartościowe, akceptowali tylko twardą walutę i kosztowności jak obrączki, pierścionki i brosze. Ci »litościwi« Polacy na pewno dzielili się zyskiem z żołnierzami. Ktoś z naszego wagonu dał im kilka złotych monet, za co otrzymaliśmy prawdziwy skarb: niewielkie wiaderko z wodą" – wspominał ocalały Eddie Weinstein z Łosic.

Odlana w mosiądzu tablica na kamieniu zaczyna się od cytatu Jana Pawła II, który już pominę. Napis głosi: „Pamięci Jana Maletki, zamordowanego przez Niemców 20 sierpnia 1942 roku za pomoc Żydom. Pamięci Żydów zamordowanych w niemieckim, nazistowskim obozie zagłady w Treblince". Podpisane: Instytut Pileckiego.

Mamy więc ustaloną hierarchę upamiętnienia. Najpierw polski kolejarz, o którym niewiele wiemy, a potem 900 tys. zgładzonych Żydów, z których grubo ponad połowa była polskimi obywatelami. I nikomu to nie przeszkadza i nikogo to nie obchodzi z wyjątkiem kilku osób mających także pośród demokratów opinie „nawiedzonych". Czy może teraz pod nowym demokratycznym kierownictwem Instytut Pileckiego się tym zajmie?

Na pomniku Treblinki składającym się z głównego monumentu i setek głazów opisanych nazwami miejscowości znajdujemy kamień symbolizujący Żydów z Radziwiłłowa i Jedwabnego. Dziś wiemy skądinąd, że jest wysoce wątpliwe, by jakikolwiek Żyd z tych miejscowości doczekał transportu do Treblinki, skoro te miejscowości stały się Judenfrei za sprawą ich polskich sąsiadów.

1 RP

Tylko czekać, jak Nawrocki ogłosi się przywódcą „narodowej patriotycznej prawicy", odstawiając Jarosława Kaczyńskiego na emerycką ławkę. Sukcesja właściwie już się dokonała, choć zapewne nie tak Kaczyński to planował. Stworzył golema, który zerwał się ze sznurka i zjada swego stwórcę

eprasa.pl 9a923e079a

I nikogo to nie oburza, nikogo nie gorszy prócz kilku „nawiedzonych”.

Treblinka obrasta krzyżami, jak niegdyś oświęcimskie żwirowisko, o które zrobiła się międzynarodowa awantura. Między obozami Treblinka I a Treblinka II powstała Droga Krzyżowa ze stacjami Męki Pańskiej, obywają się tam regularnie katolickie nabożeństwa. W obozie pracy Treblinka I zginęło trzystu Polaków. Stoi tam więc trzysta imiennych krzyży. Zginęło też 10 tys. Żydów, nie stoi jednak 10 tys. macew.

Ale nikogo to nie obchodzi, demokratów też nie.

Dejudeizacja i polonizacja Treblinki nie obchodzi też specjalnie Izraela, którego prawicowy rząd Netanjahu trzyma przyjacielską sztamę z polską trampoidalną prawicą. Co ich obchodzi pamięć o polskich Żydach, którzy najwyraźniej nie byli syjonistami, skoro na swoją zgubę zostali w Polsce. Może nawet czuli się Polakami? Ich obchodzi poparcie polskiej prawicy dla agresywnej polityki Izraela w sprawie palestyńskiej. Innymi słowy, polska prawica może sobie być po swojemu antysemicka – byleby była proizraelska i popierała osadnictwo żydowskich religijnych fanatyków.

Może, zamiast dorzucać kolejne krzyże i toczyć spory o to, który naród bardziej ucierpiał [już 71 procent respondentów uważa, że Polacy cierpieli tak samo lub bardziej niż Żydzi; badania CBOS z 2021 roku – opracowanie prof. Marka Kucia], wystarczyłoby, żeby „Instytut Męstwa i Samochwalstwa” uznał wreszcie, że martyrologia polskich Żydów jest częścią POLSKIEJ historii i że w Treblince, Auschwitz, Sobiborze, Chełmnie, Bełżcu i Majdanku ginęli nie tylko jacyś tam Żydzi, ale polscy Żydzi, polscy obywatele.

•

Czy w atmosferze takiej „polityki pamięci” może jeszcze na kimś robić wrażenie antysemicka sugestia Kaczyńskiego dotycząca pochodzenia Anne Applebaum, żony Radosława Sikorskiego. Ten oślizły uśmieszek, to puszczanie oka: „Wiecie, kim ona jest?”. Tak, wiemy panie prezesie. Wiemy też, kim pan jest.

Czy powiedziawszy to wszystko, może dziwić impotencja policji w obliczu chuligańskiego, pogromowego ataku posła Grzegorza Brauna na wykład prof. Jana Grabowskiego? Policjanci mogli nie wiedzieć, czy swoim zdecydowanym działaniem nie narażą się ówczesnym przełożonym, wszak rządził wtedy PiS, a nie demokraci.

Czy może dziwić bezczelność rozpasanego w swej bezkarności antysemity, który gaśnicą atakuje świece chanukowe? Wszyscy się biernie przyglądali, tylko jedna dzielna kobieta stanęła temu łotrowi na drodze. Jedna kobieta!

10 lipca Braun pojechał do Jedwabnego. Blokował duchownym, w tym naczelnemu rabinowi Polski, którego nazywał szachrajem Schudrichem – przejście pod pomnik ofiar i uniemożliwiał modlitwę. Kilkadziesiąt metrów od miejsca dawnej stodoły, w której z rąk sąsiadów zginęli Żydzi, przypisująca zbrodnię Niemcom prawica rozstawiła scenę. Zeszło się kilkuset „obrońców prawdy”. Stanął też baner: „Dość żydowskich kłamstw. Żądamy wznowienia ekshumacji”.

Braun pozował do zdjęć i składał podpisy na gaśnicach, o co prosili go wielbiciele. Nie na tym koniec. W sąsiedztwie pomnika, na prywatnej działce środowiska narodowe ufundowały „aleję pamięci” z ośmioma głazami i tablicami, których treść kwestionuje udział Polaków w zbrodni. Na ten czyn zrzuciło się ponoć dwa tysiące „patriotów”. Protestują Yad Vashem, żydowskie organizacje, a Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie wezwała IPN do sprostowania zafałszowań. Równie dobrze Żydzi mogliby pisać na Berdyczów!

Oburzenie wyraziło polskie MSZ i co? I nic. Gdzie państwo, którym rządzą demokraci? Gdzie policja? Gdzie organy ścigania? Białostocka prokuratura coś niby bada. Znając życie, długo będzie badać. Może tym razem pójdzie jej lepiej niż ze swastyką, którą kiedyś uznała za hinduski symbol szczęścia.

Jak będzie za rok? Będzie jeszcze gorzej.

Faszyzm narasta, kiedy większość dobrych ludzi pozostaje bierna. Teraz ludzie się oburzają, że Braun posunął się do tego, że zaprzecza istnieniu komór gazowych. Chodzi na wolności, choć już dawno powinien siedzieć albo przynajmniej powinien mieć pewność, że będzie siedział. Śmieje nam się w twarz i spluwa na popioły Treblinki.

Nie ma się co dziwić, drodzy demokraci, niepowstrzymywana brunatna fala zmienia się w tsunami i zabierze nas niebawem ze sobą, jak i wszystko po drodze.

Zresztą nie chodzi tylko o Żydów. Braun zgodnie z rosyjską agendą jest równie dobry w szczuciu na Ukraińców, z naszą, demokratów, pomocą.

•

Rafał Trzaskowski w czasie kampanii wyborczej sięgnął po przekaz prawicy, mówiąc, że nie możemy popełnić błędu państw Zachodu, do których opłacało się przyjeżdżać tylko po socjal. Dlatego 800 plus powinno być wypłacane jedynie tym Ukraińcom, którzy „pracują, mieszkają i płacą podatki w Polsce”. Czy ktoś go pytał? Szybko doczekał się sarkastycznej pochwały od Sławomira Mentzena. „Jest na dobrej drodze, ale musi się jeszcze trochę postarać, żebyśmy go przyjęli do Konfederacji” – napisał na platformie X.

To dobry przykład na to, że w posługiwaniu się językiem narodowych populistów demokraci nigdy nie będą tak dobrzy jak sama prawica. Podróbka nie przebije oryginału. Przeciwnie, takim gadaniem Trzaskowski tylko uwiarygodnił Nawrockiego, który wywijał sztandarem ukrainofobii, odmawiając krajowi, który walczy o naszą wolność, członkostwa w NATO i w UE, oraz cynicznie jątrząc ranę Wołynia.

Podobna uległość wobec żądań antyukraińskiej prawicy miała miejsce przy wspomnianej już nowelizacji ustawy o IPN i karze trzech lat więzienia za przypisywanie Polakom zbrodni UPA. Wszak wiadomo, że Polacy ze swej natury są niewinni i nikogo nie zabijali, a jeśli nawet zabijali Ukraińców, to wyłącznie w obronie własnej. A jeśliby kto sądził inaczej, to zajmie się nim prokurator. Czy tak mamy badać bolesną polsko-ukraińską historię?

Jestem przeciwny ekshumacjom na terytorium kraju, w którym toczy się wojna. Wojna o być albo nie być Ukrainy. Podziwiam Ukraińców za waleczny opór i zastanawiam się, czy my, Polacy, bylibyśmy zdolni do takiego samego poświęcenia dla naszej ojczyzny? Mamy z kogo brać przykład.

Ale rozumiem, że ekshumacje w kraju toczącym wojnę to kolejna koncesja rządu demokratów na rzecz udobruchania darwinistycznej prawicy, dla której w relacjach między krajami – jak u Dmowskiego – liczy się wyłącznie siła egzekwowana bezwzględnie wobec słabszych, nawet jeśli ten słabszy codziennie jest zabijany i bombardowany przez Rosję (rewersem jest lizusostwo wobec silniejszych, co uprawiał rząd PiS wobec Trumpa).

Ale pomimo odblokowania ekshumacji ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego z lat 1939-47, pomimo pozytywnych efektów prac Grupy Roboczej, która działa pod auspicjami ministerstw kultury Polski i Ukrainy, pomimo współpracy w obliczu wojny, polski Sejm 4 czerwca tego roku jednogłośnie! – przy jednym wstrzymującym głosie posłanki Aleksandry Uznańskiej-Wiśniewskiej – a więc głosami demokratów ustanowił dzień 11 lipca świętem narodowym. To nasza – demokratów – „odpowiedź” na radykalizację nastrojów społecznych wobec Ukraińców. A może raczej nakręcanie tych nastrojów na korzyść prorosyjskich ukrainofobów? Gaszenie ognia benzyną.

Nie mamy wszak Narodowego Święta Zbrodni Katyńskiej (mordowali Sowieci). Nie mamy Narodowego Święta 11 sierpnia tzw. operacji polskiej, w której z rozkazu szefa NKWD Nikołaja Jeżowa Sowieci rozstrzelani 111 tys. Polaków. Nie mamy Narodowego Święta 17 września – napaści Rosji Sowieckiej na Polskę. Mamy Narodowy Dzień Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II RP – bo mordowali ukraińscy sąsiedzi.

Znów – bezwzględni wobec słabych, usłużni wobec silnych.

Podbijanie patriotycznego bębenka prawicy to praktyka in fine katastrofalna, bo czyniąca z nas demokratów współodpowiedzialnymi za marsz faszyzmu

Jako naród ocieramy się o groteskę. Tego samego 11 lipca obchodzimy dzień „pamięci o Wołyniu” uchwalony przez Sejm w czerwcu 2016 roku i w tym samym dniu od tego roku – obchodzimy święto państwowe w tej samej sprawie. Cui bono? Czyja korzyść? Albo jeszcze dalej: Is fecit, cui prodest? (Ten uczynił, czyja korzyść). Naprawdę jak dzieci dajemy się rozgrywać rosyjskim agentom wpływu.

Doktor Duda oczywiście natychmiast ustawę podpisał, choć stoi ona w jawnej sprzeczności z preambułą konstytucji, która określa Naród Polski jako wspólnotę wszystkich obywateli Rzeczypospolitej.

Ustawa każe nam pamiętać jedynie o etnicznie polskich ofiarach rzezi, ale już nie o ukraińskich czy żydowskich – choć i Polacy, i Ukraińcy, i Żydzi byli tak samo polskimi obywatelami II RP. Gdzie więc ustawowa równość obywateli wobec prawa? Czy to oznacza, że mniejszości narodowe wyrzucamy poza nawias polskości?

Tak oto Roman Dmowski, czyli etniczne, rasowe i religijne pojęcie Polaka katolika, weszło do ustawy, którą ręka w rękę demokraci razem z PiS, Konfederacją, doktorem Dudą i rosyjskimi agentami wpływu właśnie uchwalili.

A teraz zastanówmy się, co zrobić, by pomysł, że obywatelem Polski może być tylko etniczny Polak, nie stał się uświęconą zasadą w nowej konstytucji. Konstytucji uchwalonej przez zjednoczoną pod patronatem doktora Nawrockiego narodową prawicę i przez niego osobiście podpisanej. Może tak być, ale nie musi.

•

Po raz ostatni przywołuję cytat z Jana Józefa Lipskiego: „Od stosunku do »obcych« bardziej niż od stosunku do »swoich« zależy kształt patriotyzmu. (...) Sądzę, że szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego, co obce, egoizm narodowy – nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego”.

Namaszczony łaską prezydenta Dudy, zasilony publicznymi funduszami od ministra Glińskiego narodowiec, niedoszły poseł PiS Robert Bąkiewicz już od czerwca nakręcał histerię, jakoby Niemcy zalewali nas nielegalnymi imigrantami. Wszak obcoplemieńcy roznoszą choroby, pasożyty i pierwotniaki, które im nie szkodzą, a dla nas są groźne – ostrzegał dziesięć lat temu prezes Kaczyński. Ta retoryka utorowała mu drogę do władzy.

Bąkiewicz sfabrykował więc czysty wymysł. Faktoid powielany przez prawicowe media. Cała Polska stanęła w alercie, a rząd osłabiony wyborczą porażką znalazł się w defensywie. Polityczna taktyka Donalda Tuska jak z japońskiej sztuki walki: „ugiąć się, aby nie zostać złamanym”, zaowocowała najpierw zawieszeniem prawa do azylu, a potem wprowadzeniem kontroli na granicach z Niemcami i Litwą. Nie dyskutuję, nie mądrzę się, „nie jestem na miejscu ministra”, jak zauważyłby Raymond Aron.

Ale to, co mnie jako obywatela naprawdę złościło, to nie nadmiar sprawczości państwa, ale jej stanowczy niedomiar. Bąkiewicz hasał sobie jak konik polny, lżył funkcjonariuszy Straży Granicznej, a bojówkarze z tzw. Ruchu Obrony Granic wchodzili samozwańczo w wyłączne kompetencje służb państwowych. Skoro policja nie wie, co w takiej sytuacji robić, to po co w ogóle ją mieć i na nią łożyć. A czy demokratyczny minister spraw wewnętrznych wydał im jakiekolwiek wytyczne?

19 lipca w kilkudziesięciu miastach odbyły się antyimigracyjne protesty organizowane przez ugrupowania skrajnie prawicowe. Krzysztof Bosak z Konfederacji domagał się w Białymstoku „wyrzeczenia poprawności politycznej i rozpoczęcia akcji deportacyjnej”. Można powiedzieć: „mówisz – masz”. Właśnie deportowano z Polski po koncercie białoruskiego rapera Maksa Korzha 63 osoby, w tym 57 Ukraińców i sześciu Białorusinów. Decyzję tę osobiście ogłosił premier Donald Tusk, stwierdzając, że osoby te będą musiały opuścić kraj dobrowolnie lub pod przymusem. Apelował o „zachowanie rozsądku i unikanie antyukraińskich nastrojów”. Państwo zadziałało szybko i skutecznie, szkoda tylko, że takiej samej szybkości i skuteczności zabrakło wobec bojówkarskich patroli Bąkiewicza.

•

Strategia ulegania presji prawicy jest bezowocna. Gorzej, skłania narodowców do eskalowania kolejnych presji. Dałem kilkanaście przykładów ustępstw demokratów, które zamiast hamować, tylko wzmagają falę faszyzmu. Zapewniam, że mógłbym dać jeszcze kilkadziesiąt przykładów, ale żaden czytelnik by tego nie zniósł. Zamykam więc listę.

Zbigniew Herbert w liście do Adama Michnika z 1 grudnia 1976 roku dedykował mu słowa jego Mistrza Henryka Elzenberga: „Wartość walki tkwi nie w szansach zwycięstwa sprawy, w imię której się ją podjęło, ale w wartości tej sprawy”.

Walka z nadciągającym w Polsce faszyzmem jest sama w sobie wartością absolutną. Po jedenaste: „Nie bądź obojętny”. Jeśli będziemy faszyzm łagodzić, minimalizować, lekceważyć i mu ulegać, to niebawem brunatna fala nas zmiecie.

Dlatego nie ma co się zastanawiać, czy warto, skoro wiadomo, że trzeba. ●

eprasa.pl 9a923e079a

POLITYKA I SPOŁECZEŃSTWO

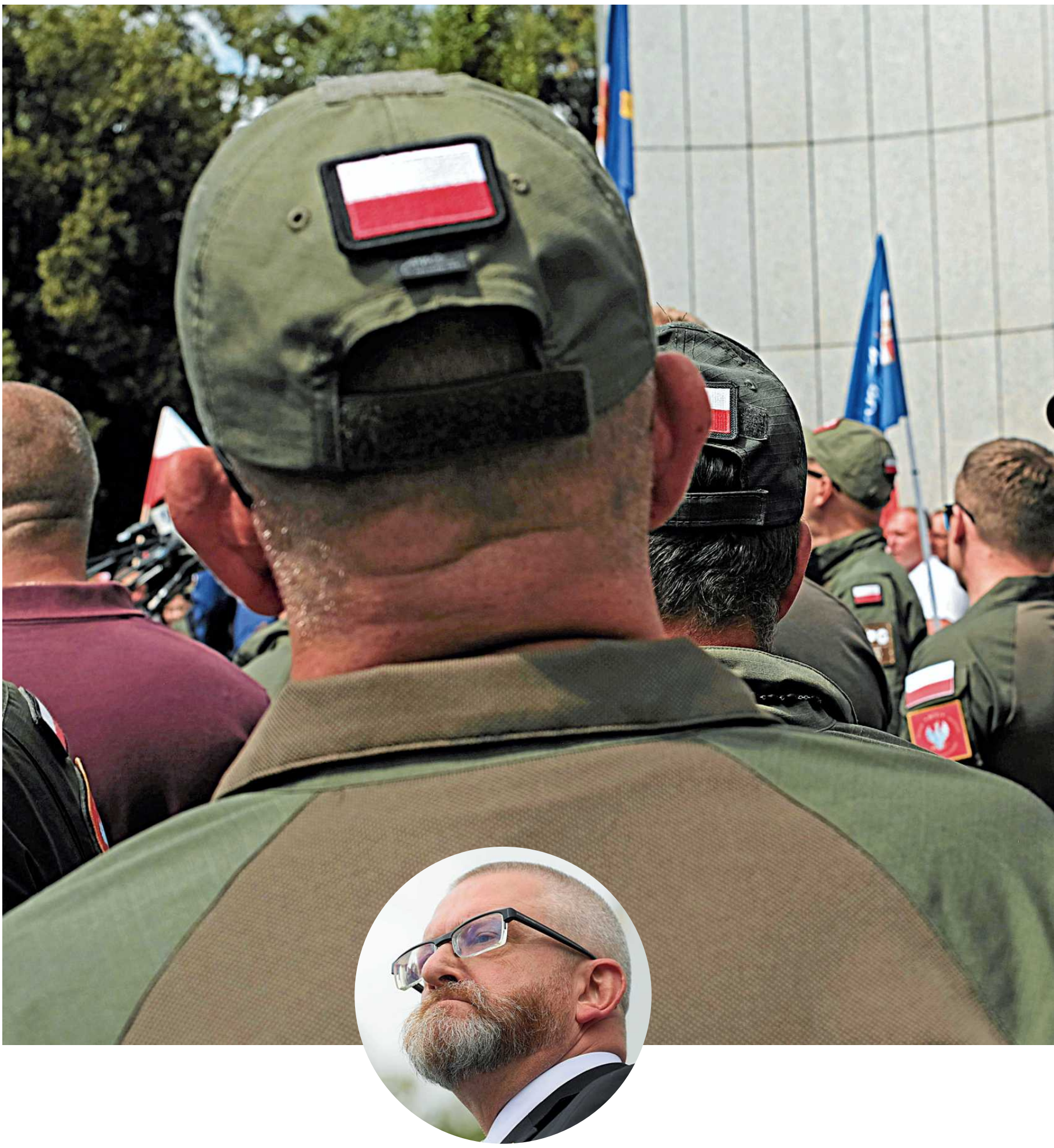

„Zielone ludziki” BRAUNA

„Husarią XXI wieku” dowodzi budowlaniec, były aktor trzecioplanowy i zawodnik MMA, którego Jezus uratował ze stryczka.

Piotr Głuchowski

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

• Ochraniający Grzegorza Brauna członkowie paramilitarnej grupy Bronimy Polskiej Granicy (BPG) to bywalcy siłowni i strzelnic

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (3)

• Różańce i patriotyczne tatuaże, krzyże Narodowych Sił Zbrojnych, plakiety-wszywki BPG z symbolem słupa granicznego

Szeroko znani, związani z Robertem Bąkiewiczem aktywiści Ruchu Obrony Granic to głównie emeryci ubierający się w sklepie wędkarskim. Ochraniający Grzegorza Brauna członkowie bardziej tajemniczej paramilitarnej grupy Bronimy Polskiej Granicy (BPG) to bywalcy siłowni i strzelnic, fachowcy od survivalu i uzbrojenia, byli oficerowie i „misjonarze” z Afganistanu i Iraku, jeżeli emeryci – to policyjni.

– Ekstremistyczny polityk gromadzi wokół siebie ludzi z powiązaniami mundurowymi... to znaczy, że robi się niebezpiecznie – uważa Michał Bilewicz, socjolog i psycholog społeczny, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, który opowie mi o analogiach w Niemczech i USA.

Liderem i twórcą polskiej organizacji umundurowanych białych katolików jest 43-letni Dariusz Sierhej: taternik, narciarz, biegacz maratonów bijący się do niedawna w oktagonach, odtwórca epizodycznych ról filmowych i niedoszły samobójca. Udało mi się z nim porozmawiać.

Reżyser i jego aktor

Marsowe miny i ogorzałe twarze. Wojskowe stroje khaki z biało-czerwoną baretką identyczną jak w Wojsku Polskim. Pod goreteksami krzepkie ramiona i szerokie klaty. Do tego ciemne okulary balistyczne, zasobniki taktyczne, buty do zadań specjalnych. Na szyjach różańce i patriotyczne tatuaże, na klamrach pasów krzyże Narodowych Sił Zbrojnych, na czapkach i przedramionach plakiety-wszywki BPG z symbolem słupa granicznego.

Choć ruch istnieje od lata ubiegłego roku, szersza publiczność po raz pierwszy mogła dostrzec udekorowaną w ten sposób formację dopiero 16 maja 2025 r., gdy na stołecznym placu Zamkowym odbył się wiec kończący kampanię prezydencką lidera Korony. Umięśnieni obrońcy granic zniknęli jednak wówczas wśród uświetniających finał szlachciców w kontuszach, chorążych z historycznymi sztandarami i trębaczy. Media ich nie dostrzegły.

Po raz drugi pojawili się przed kamerami miesiąc temu, gdy ochraniali występ Brauna w Jedwabnem. Europoseł-reżyser zakłócił wraz ze swoimi zwolennikami obchody 84. rocznicy tragedii z 10 lipca 1941: koroniarze rozwinęli transparent „Dość żydowskich kłamstw”, a potem własnymi ciałami zablokowali wyjazd furgonetki wiozącej między innymi naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha.

Gdy policja próbowała odblokować drogę, doszło do przepychanek, podczas których trzej umundurowani na zgniłozielono członkowie BPG w czapkach z logo formacji siłowali się z liczniejszymi policjantami w uniformach niebieskich. I chociaż scenę pokazały nawet telewizje amerykańskie, w kraju nadal nikt na szturmowców Brauna nie zwrócił uwagi.

Tak było aż do 23 lipca i konferencji prasowej Korony pod szyldem „Stop nachodźcom”, która miała się odbyć w Sejmie, ale ostatecznie – właśnie z powodu udziału w niej kilkudziesięcioosobowej kompanii BPG – odbyła się przed pobliskim pomnikiem Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego.

– Niestety większość z towarzyszących mi panów nie otrzymała zezwolenia na wejście do budynku Sejmu i to pomimo dopełnienia wszelkich procedur – pożalił się na wietrze Braun, wskazując swoje „zielone ludziki”. – Ale spokojnie... ci panowie pojawią się w Sejmie prędzej albo później.

Po Braunie przed frontem kompanii BPG przemówili między innymi: Janusz Korwin-Mikke, który przypomniał, że „Hitler nie wiedział o Holokauście”; konserwatywny wydawca Tomasz Sommer, który zaapelował o ukaranie osób zaprzeczających „niemieckiej, nazistowskiej zbrodni w Jedwabnem”; stołeczny judeosceptyk Rafał Mossakowski, który oświadczył, że komory gazowe Auschwitz i Dachau powstały „w latach 1946-1948 jako zupełnie nowe obiekty”.

Jako jeden z ostatnich przed mikrofonem stanął Dariusz Sierhej.

Przywitał się tradycyjnym „Szczęść Boże” i zapewnił, że mimo z ukraińska brzmiącego nazwiska jest „prawdziwym Polakiem z dziada pradziada”. A właśnie doszło do tego „że Polak nie może wejść do polskiego Sejmu, czyli swojej własności”. Dlaczego? Bo w parlamencie siedzą ludzie, którzy chcieli „opiłowywać katolików z przywilejów” (często przypominany w TV Republika cytat z występu Sławomira Nitrasa na Campusie Polska).

– Oni nie boją się Pana Jezusa, nie czują bojaźni Bożej, więc co dopiero zrobią z wami? Was już nie będzie! – wołał Sierhej do zwolenników Brauna i policjantów pilnujących Wiejskiej.

eprasa.pl 9a923e079a

– Polska stoi na Jezusie Chrystusie! Jeżeli zburzą ten fundament, co zostanie z naszego domu? Nic! Co obecnie rządzący zrobili dla Polski? Ani jednej rzeczy. Tylko dla Ukraińców, dla Niemców, dla Żydów...

Tymczasem na granicy wschodniej dzieje się na prawdę źle...

– Czyli konkretnie co się dzieje? – pytam.

– Trwa wojna, która jest tuszowana i ukrywana przed opinią publiczną. Lewicowi aktywiści dostarczają migrantom dokumenty azylowe, formularze wniosków. Potem ci imigranci jadą czy idą do Niemiec i stamtąd są zawracani, bo pierwszym krajem, w którym złożyli papiery, była Polska.

– Jak temu zapobiec?

– Należy się tych aktywistów pozbyć.

– I wy to zrobicie?

– Sama nasza obecność na granicy wschodniej sprawia, że uciekają do dziur.

Skontaktowałem się z działaczami Grupy Granica, której członkowie niosą pomoc humanitarną na pograniczu z Białorusią. Nie potwierdzają słów Sierheja. Kojarzą i jego samego, i związanych z nim mężczyzn, ale widują ich częściej w internecie niż w puszczy i na pewno przed nimi nie uciekają.

Zresztą „zielone ludziki" Brauna mają teraz ciekawsze zajęcia niż chodzenie po lasach.

• Liderem i twórcą polskiej organizacji umundurowanych białych katolików jest 43-letni Dariusz Sierhej (pierwszy z prawej)

Jak sport i wiara pomogły przezwyciężyć Szatana

Jeszcze piętnaście lat temu Dariusz Sierhej nie nosił unifomu khaki, tylko białe koszule, kosztowne marynarki, skórzane buty z czubkami i paski pod kolor. Jako smukły warszawski singiel wynajmował elegancki apartament z dużą garderobą, wieloma lustrami i widokiem na wieżowce w centrum, do tego budował dom pod miastem.

Chodził regularnie na ring i siłownię – jego ulubionymi stołecznymi klubami były Akademia Boksu oraz Underground – a także do kosmetyczki i na manicure, o czym wiem z poświęconego mu pierwszego odcinka pierwszego sezonu reality show telewizji TTV „Dżentelmeni i wieśniacy". Dariusz był oczywiście dżentelmenem.

Wyznał tam widzom, że „wydanie kilku tysięcy dziennie to żaden problem", a potem okazał kolekcję kosztownych garniturów i zegarków, wśród których TAG Heuer za 15 tysięcy nie był wcale najdroższym. Zdradził też, że posiada „wraz z przyjacielem" studio tatuażu w Niemczech. I do tego wszystkiego doszedł jeszcze przed trzydziestką, chociaż łatwo nie miał.

Pochodzi z wioski Krzewica leżącej na północnym skraju Lubelszczyzny. Puszcza Białowieska zaczyna się trzydzieści kilometrów dalej. Gdy przyszedł na świat w roku 1982, część tutejszych chat nie miała jeszcze bieżącej wody. W domu był jedynym synem, najmłodszym z rodzeństwa oczkiem w głowie tatusia. I od małego musiał walczyć ze Złym – co z kolei wyznał w poświęconym sobie odcinku programu TV2 „Zrujnowani. Odbudowani" zatytułowanym „Jak sport i wiara pomogły przezwyciężyć Szatana".

– Co roku, czy co dwa lata, jakaś zła siła chciała mnie zabrać z tego świata. Jak miałem dziesięć albo jedenaście lat, o mało się nie utopiłem. Wyciągnięto mnie z dna za włosy. Gdy jeszcze byłem ministrantem, potrącił mnie TIR, kiedy wracałem z różańca. Takich historii było osiem, aż do momentu, kiedy sam chciałem odebrać sobie życie...

W przerwach pomiędzy tymi dramatami Sierhej skończył technikum budowlane w Międzyrzecu Podlaskim, ale nie został majstrem – wziął się za organizację wielkich dyskotek. Na przełomie wieków ściągał do piętnastotysięcznego miasteczka gwiazdy sceny discopolowej, między innymi zespoły Akcent i Boys. Zarabiał tyle, że jako dwudziestolatek sprowadził sobie z Belgii audi A8 i było to pierwsze auto zarejestrowane w nowo otwartym międzyrzeckim wydziale komunikacji.

„Byłem wtedy porównywany raczej do łobuza, ale to były czasy, że na dyskotekach zdarzały się różne rzeczy. Bandyci przychodzili po haracz, ukradli mi pierwszego firmowego busa, mimo to jakoś sobie ze wszystkim poradziłem" – wspomni później w rozmowie z serwisem Miedzyrzec24.

Krótko po roku 2000 wyjechał do Warszawy, by wrócić do wyuczonego zawodu, ponieważ disco polo nie przyciągało już tłumów, za to w branży budowlanej zaczynał się wielki boom. Zarejestrował działalność murarską i remontową pod szyldem firmy Spat.

Po prostu się powiesiłem

Sierhej w „Odbudowanych": – Jak szły kontrakty, to ktoś robił ze dwie budowy w roku, a ja robiłem sześć. Wszystkiego o kilka razy więcej. Do zatracenia, bo chciałem mieć tak dużo. A kiedy są pieniądze, jest i rozrywka. Wpadłem w jakiś tam hazard.

Zły wie, jakie masz słabości, więc ci je podsuwa. Pojawiły się narkotyki i alkohol też. A potem świat przestępczy. Były sytuacje, kiedy słyszałem głos Szatana, żebym kogoś zabił. Lecz kiedy diabeł dojrzał, że ja nikomu krzywdy nie jestem w stanie zrobić, zaczął mi podpowiadać inaczej: „Jesteś do niczego, jesteś kompletnym zerem". To było kilka miesięcy kiedy słyszałem te głosy non stop. Żebym się zabił, bo jestem tylko robakiem.

Przygotowałem sobie pętlę, stołek, zawisłem najpierw na rękach, czy lina wytrzymuje... i po prostu się powiesiłem. Stołek się wywrócił, zacząłem wierzgać nogami bez gruntu pod butami i wtedy dopiero wołać: „Panie Boże, ratuj, bo nie wiedziałem co czynię!". Po dwóch godzinach obudziłem się na podłodze: zakrwawiony, zaszczany... tak jak diabeł mówił: robak. Jednak Jezus mnie uratował. Wiem to, sądząc po tym, co się zdarzyło w moim życiu później. Hazard po prostu zniknął.

A ocalony odzyskał chęć do życia. Powołał fundację Armageddon Challenge, która przygotowywała uczestników biegów ekstremalnych i szkoliła uczniów tak zwanych klas mundurowych, a dziś głównie pomaga chorym dzieciom. Zaczął się również wspinać, grać epizody w filmach, trenować wyczynowo crossfit i walczyć w formule freak-fight MMA. Jego bijatyki transmitowały TVP Sport, Polsat Sport i TVN Turbo.

Budując popularność, przyszły lider BPG zdobył również koronę polskich gór – wspiął się na prawie 30 szczytów od Rysów po Łysicę. Prócz tego – w lutym i marcu 2021 – przeszedł samotnie liczący 519 kilometrów najdłuższy w Polsce niełatwy Szlak Beskidzki. Biegów, w których wziął udział – maratońskich, charytatywnych, z przeszkodami – nie sposób policzyć, a jeszcze aktorstwo... Sierhej zagrał trzecioplanowe postacie w filmach „Jak zostałem gangsterem" i „Johnny", o księdzu Janie Kaczkowskim. Rolę największą – kilkusekundową – zaliczył w serialu „Chyłka".

– Równolegle postępowała moja przemiana duchowa. Zacząłem znowu chodzić do kościoła, jeździć na rekolekcje do Łagiewnik, do Częstochowy, do Lichenia. Tam, w zwiedzanym po południu apartamencie papieskim, poczułem, jak weszła we mnie jakby kula ognia. Zacząłem drżeć i płakać... płakałem pół godziny. Potem całymi miesiącami czytałem i oglądałem wszystko co się dało o Janie Pawle II... Jezus do mnie przyszedł, pojawił się wielki spokój, przestałem nawet przeklinać.

Trzy lata temu Sierhej rzucił Warszawę, firmę, oktagony, rekordy – wrócił do Krzewicy, by prowadzić gospodarkę rodziców. Rok temu zacząć „bronić granicy".

Masz serce po prawej? Zapraszamy!

Historycznie ruch BPG ma korzenie w podlaskiej Inicjatywie Ochrony Mieszkańców Pogranicza i tamtejszym stowarzyszeniu łowiecko-militarnym Jednostka Strzelecka Hajnówka. Latem zeszłego roku obie organizacje rozpoczęły „spacery wzdłuż białoruskiej granicy" połączone ze zbiórką pieniędzy na budowę krzyża-pomnika ku czci poległego przy granicznym płocie sierżanta Mateusza Sitka – ofiary migranta z nożem. Sierhej nie tylko się przyłączył, ale i wciągnął znajomych. W lipcu 2024 Maciej Chołodowski z białostockiej „Wyborczej", opisując „spacerowiczów" z Inicjatywy i z Jednostki, pisał tak:

„ [W internecie] swoimi spacerami po przygranicznych lasach niemal codziennie chwali się również czterech osiłków, którzy na Facebooku przedstawiają się jako grupa Bronimy Polskiej Granicy. Panowie zapewniają, że nie pozwolą na to, by imigranci krzywdzili polskie kobiety i dzieci. Chcą interweniować w każdym mieście i wiosce, gdzie będzie potrzebna ich pomoc".

W kolejnych miesiącach – wedle relacji Siergeja na Fb – „dzięki działaniom BPG zmniejszyły się nielegalne przekroczenia granicy, a kurierzy, przewodnicy i lewicowi aktywiści zadrżeli". Idąc za ciosem, w sierpniu 2024 były freakfighter uruchomił zbiórkę „na dalsze działania", podając numer konta fundacji Armageddon.

Zamówił dla swych współpracowników pierwszą partię ubrań z logo BPG i dopiskiem „Husaria XXI wieku", do tego czapki, plecaki, lornetki, różańce z Chrystusem Królem i kamery termowizyjne przydatne w trakcie nocnych patroli. Zaczął gromadzić „tych, którzy mają dość odwagi, by bronić polskiej ziemi".

„Jesteś mężczyzną, masz serce po prawej i gotów jesteś walczyć o wartości, które wpisują się w naszą tożsamość? Zapraszamy do nas!" – zachęcał na Facebooku, Instagramie, TikToku.

Jesienią grupa liczyła już kilkanaście osób. Uczestniczyli w stołecznym marszu 11 Listopada, zorganizowali kilka leśnych pikników z kiełbaskami, pomogli w zbiórce darów dla powodzian z Doliny Kłodzkiej, wypróbowali w puszczy termowizję.

– Zatrzymaliście jakiegoś imigranta? – pytam.

– Nie jesteśmy od tego, by kogokolwiek zatrzymywać, my tylko wspomagamy Straż Graniczną, również moralnie. 23 sierpnia będziemy odsłaniali pomnik sierżanta Sitka.

Rzecznik SG, podpułkownik Andrzej Juźwiak, zaprzecza, aby strażnicy korzystali ze wsparcia cywilów z BPG. Sierheja w ogóle nie kojarzy. Odsyła do nadbużańskiego oddziału Straży, lecz również chorąży Paweł Smyk z tamtejszego zespołu pra-

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Braun:
Spokojnie. ci panowie pojawią się w Sejmie prędzej albo później

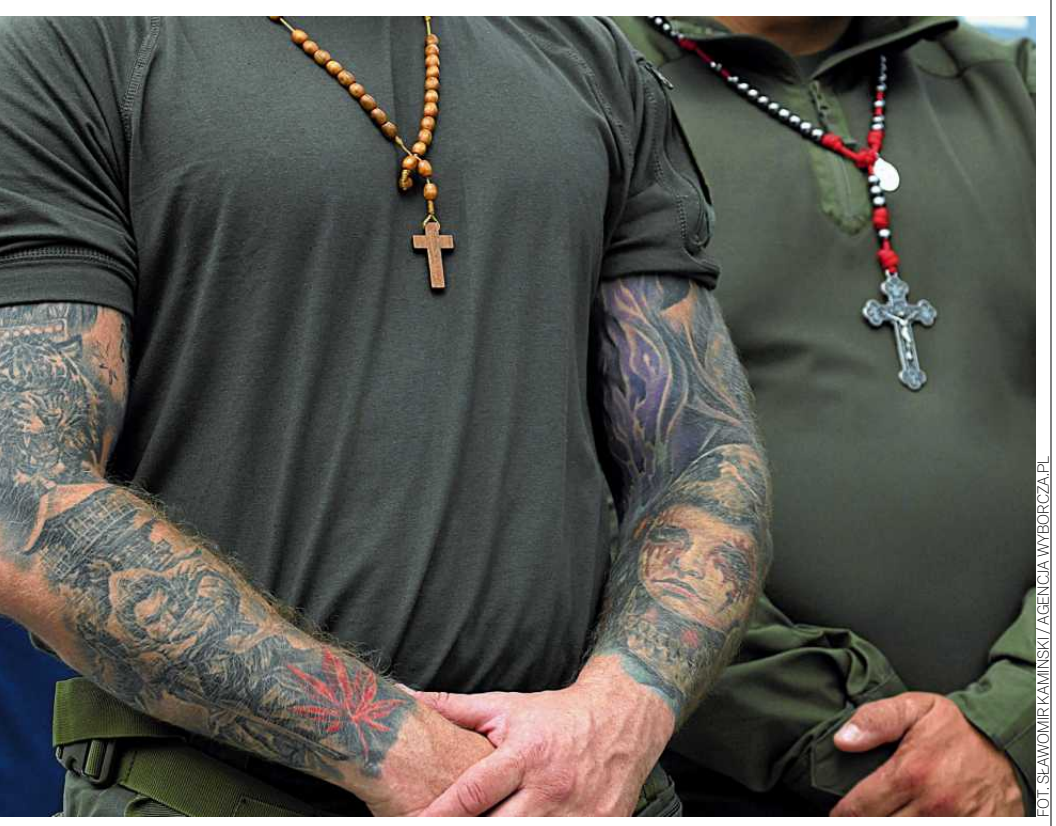
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Sierhej: Nie nosimy niczego przy sobie, choć większość z nas ma pozwolenie na broń. Naszą najlepszą bronią pozostaje różaniec.**

1 RP

sowego nic mi o samozwańczych obrońcach granicy nie powie:

– Nie przeszkadzają nam, ani nie pomagają, nie utrzymujemy z nimi kontaktów, ich działań nie komentujemy. Obywatele mają prawo się zrzeszać w różnych organizacjach, a nam nic do tego.

Różańce w dłoniach, pistolety w domach

Zrzeszonych jest coraz więcej. W styczniu tego roku Sierhej z dumą poinformował w sieci, że ma już 60 tysięcy fanów na TikToku, 30 tysięcy na Instagramie i 10 tysięcy na Fb, czyli przebił setkę. W realu również nieźle:

– Z dnia na dzień rośniemy. Ta grupa, która stanęła od Sejmem, to nawet nie połowa naszego składu.

– Kim jesteście w cywilu? – pytam dalej.

– Przedsiębiorcami, emerytowanymi policjantami, weteranami zagranicznych misji wojskowych... a przede wszystkim patriotami i ludźmi wierzącymi w Boga, którzy poświęcają swój czas dla ochrony ojczyzny.

– Jak się związaliście z Konfederacją Korony Polskiej?

– To był całkowity przypadek, choć ja widzę tu raczej działanie Opatrzności Bożej. Spotkałem pana Grzegorza Brauna w Warszawie, podczas mszy trydenckiej. Potem ktoś wysłał mi film o nim. Między innymi o jego dzieciństwie – pan Grzegorz był wychowany w takich samych wartościach jak ja. Skontaktowaliśmy się przez wspólnego znajomego.

– Został pan członkiem Korony?

– Owszem, należę, podobnie jak i część członków BPG.

– Można o was powiedzieć: „ochroniarze Brauna”? Czy raczej koroniarskie „oddziały szturmowe”?

– Powiem tak: ochraniamy pana Grzegorza, ponieważ on dostaje wiele gróźb.

– Macie jakieś uzbrojenie?

– Nie nosimy niczego przy sobie, choć większość z nas ma pozwolenie na broń. Naszą najlepszą bronią pozostaje różaniec.

– Macie strzelnicę, biuro, miejsce do ćwiczeń?

– Nie stać nas na to. Nie finansują nas zachodnie fundacje, jak aktywistów lewackich. My mamy jedynie zrzutki, a to małe pieniądze. Ludzie wpłacają po dziesięć, dwadzieścia złotych.

Aktualnie Sierhej prowadzi zbiórkę na busa marki Renault, który „zostanie oklejony banerami Bronimy Polskiej Granicy”. Kwesta idzie średnio. „Było kilka osób, które nam obiecywały złote góry, że pomogą, że wesprą... lecz skończyło się na obietnicach” – narzeka w sieci. Ale nie traci nadziei: „Uwierzcie że naszych działań będzie coraz więcej i będą coraz bardziej widoczne [bo] chcemy walczyć o nasz kraj, o lepsze jutro”.

– „Zielone ludziki” Brauna to folklor czy rzecz groźna? – pytam Piotra Niemczyka, byłego wicedyrektora zarządu wywiadu Urzędu Ochrony Państwa.

– Śmieszne to na pewno nie jest. Jeżeli w tym ruchu są zrzeszeni byli funkcjonariusze służb mundurowych, to oni mają kolegów w aktualnych służbach i mogą tam roznosić ten braunowski ksenofobiczny, rasistowski przekaz.

Ludzie z doświadczeniami w mundurze zawsze byli na takie rzeczy podatni, nie tylko w Polsce. Jeszcze przed upadkiem Związku Sowieckiego niezależna pracownia przeprowadziła badania żołnierskich problemów w armiach USA i ZSRS. W wojsku sowieckim stwierdzono przemoc, odbieranie racji żywnościowych słabszym i tak dalej. A w amerykańskim – rasizm.

Przeciętny mundurowy pod każdą szerokością geograficzną styka się i z patologią, i przestępczością. Stąd podatność na kult porządku i rasy, niechęć do obcych, z drugiej strony: przyzwolenie na działania siłowe. Wśród takich ludzi łatwo jest zrekrutować prawdziwie niebezpiecznych bojówkarzy, którzy nie ograniczą się tylko do paradowania w wojskowych uniformach.

– W Niemczech, w latach dziewięćdziesiątych, przy legalnie działającej faszyzującej partii NPD, którą można uznać za poprzedniczkę dzisiejszej Alternatywy dla Niemiec, zawiązała się antyemigrancka i antysemicka organizacja Thuringer Heimatschutz – opowiada cytowany już Michał Bilewicz. – Gromadziła między innymi byłych mundurowych, prawdopodobnie mających związki z policjantami w służbie, i przerodziła się z czasem w jawnie terrorystyczny związek zbrojny o nazwie Nationalsozialistischer Untergrund.

Byli odpowiedzialni za serię morderstw na muzułmanach i niemieckich Turkach. Taka jest kolej rzeczy, że ruchy pokroju „obrońców Turyngii” czy naszych „obrońców granic” z czasem ulegają radykalizacji. Bo ich członkowie mają doświadczenie z przemocą i bronią, bo nakręcają się we własnej bańce, bo Braun nawołuje do nienawiści na tle etnicznym...

Inna grupa, która przychodzi mi do głowy à propos BPG, to amerykańscy Proud Boys, w większości byli żołnierze, którzy stali za atakiem na Kapitol w 2021 r. A na marginesie: powstanie braunowskiej bojówki jest na pewno zbieżne z interesem Rosji.

Bóg, honor, ojczyzna, granica

Rosyjskie powiązania Brauna są szeroko znane, zatem krótko: jeździł do Moskwy, spotykał się tam z nieżyjącym już kremlowskim szpiegiem udającym dziennikarza Leonidem Swirydowem, podobne kontakty nawiązał w Niemczech wschodnich. Atakował werbalnie NATO i USA, demonstracyjnie ściągał ukraińskie flagi z różnych budynków w Polsce, współorganizował prorosyjskie i antyukraińskie wiece, jeździł do podkarpackiej Domostawy na obchody wołyńskie pod pomnikiem-skandalem przedstawiającym niemowlaka nadzianego na tryzub.

W ostatnią rocznicę wołyńskiej „krwawej niedzieli” – 11 lipca br. – stanął pod monumentem w towarzystwie Sierheja i jego umundurowanych przybocznych. Wcześniej, bo jeszcze w czerwcu, szturmowcy Korony zjawili się na innej mszy żałobnej – na cmentarzu we wsi Nowy Lubiel w powiecie wyszkowskim, gdzie uczczono pierwszą rocznicę śmierci Mateusza Sitka. Były freakfighter osobiście murował wcześniej cokół pod pomnik bohatera.

Po kolejnym tygodniu członkowie BPG zjawili się na granicy zachodniej, najpierw w Świnoujściu, później w innych miejscach. Co ciekawe: TV Republika, która od początku lata utrzymuje wzdłuż Odry grono korespondentów i codziennie nadaje stamtąd relacje na żywo, inicjatywy mieszkańca Krzewicy nie zauważyła. I nadal nie widzi, bo media Tomasza Sakiewicza nie promują Sierheja i Brauna, tylko Bąkiewicza i PiS.

BPG odwdzięcza się zresztą tym samym: kanał ruchu na YouTube pełen jest podziękowań dla braterskich organizacji: Fundacji Wołyń Pamiętamy, stowarzyszenia Murem za Polskim Mundurem czy grupy Patrole Obywatelskie. O Bąkiewiczu i jego Ruchu Obrony Granic – cisza. Obaj byli właściciele firm budowlanych nie darzą się sympatią, czemu Sierhej dał wyraz w krótkim monologu nagranym 24 lipca:

– Bardzo wiele osób nas myli z Ruchem Obrony Granic. Tymczasem BPG powstało jako pierwsze i to z inicjatywy samego świętego Jana Pawła II...

– byłemu dżentelmenowi z Warszawy chodzi o to, że lektura pism papieskich natchnęła go ideą obrony pogranicza. – Nie mylcie nas z Bąkiewiczem, proszę. Nie znam go, nie wiem dlaczego założył swój ruch, ale poznałem wiele takich grup, które powstały i już ich nie ma, bo działały z myślą, by tylko coś wyciągnąć dla siebie...

– A pan aktualnie z czego żyje? – pytam Sierheja na koniec.

– Wykonuję nadal prace budowlane. Nie mam żadnych większych pieniędzy, lecz kasa przestała być dla mnie najważniejsza. Zmieniłem swoje życie o 180 stopni. Teraz liczą się Bóg, honor, ojczyzna i obrona granicy.

– Ożenił się pan? Ma pan dzieci?

– Nadal jestem singlem. ●

eprasa.pl 9a923e079a

• Dzień otwarty w Akademii Wojsk Lądowych. Można było strzelać na symulatorach, spróbować grochówki i zdać próbny egzamin sprawnościowy. Wrocław, 15 kwietnia 2025 r.

FOT. KRZYSZTOF ZAIYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

CO MAM CI POWIEDZIEĆ, SYNKU?

Usłyszałam od siostry, jak mi zazdrości, że mój Kacper dostał „D", bo ich syn ma „A". **A ja nie mam czasu bać się wojny.**

Aleksandra Szyłło

Bo wiecie państwo, bo gdyby. Chodzi o to, macie syna, syn wchodzi w dorosłość. I on był niedawno na komisji wojskowej, prawda? No właśnie. Więc chciałabym zapytać ...w związku z sytuacją geopolityczną. Jest jakby coraz gorzej, tak się przynajmniej może wydawać, prawda? No właśnie.

Bardzo trudno jest zapytać: „Czy macie państwo plan ucieczki dla waszego syna na wypadek wojny w Polsce?". Jakby głośno wypowiedziane słowa przydawały realności.

Piotr dostaje list z wojska. To wyróżnienie?

– Dokładnie pamiętam to miejsce na Wisłostradzie, gdzie mój punkt widzenia się zmienił. Wracałem z pracy autem, słuchałem radia. I pod wpływem jakiejś informacji dotarło do mnie: wojna w naszym kraju może być realna. Wcześniej nigdy nie brałem tego pod uwagę – mówi Bartłomiej, tata 19-letniego Piotra z kategorią „A", studenta drugiego roku.

– W domu chyba wszyscy unikamy tego tematu. Chyba jakiś mechanizm psychologiczny powoduje, że o tym nie rozmawiam z synem. Dużo czasu zawsze razem spędzaliśmy i nadal spędzamy, choć teraz on już ma dziewczynę i swoje życie studenckie i pracę.

Mamy taką relację, że można by było powiedzieć, że rozmawiamy, jak to się mówi, o wszystkim. A o tym nie. Myślałem kiedyś, żeby podjąć z nim ten temat, ale nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Jak widzę w sieci nagrania z okopów w Ukrainie, jak sobie wyobrażę tam Piotrka, czy nawet siebie, to jest to mrożące.

Agata, mama Piotra: – Ja bym nie chciała, żeby nasz syn brał udział w jakichkolwiek działaniach wojennych. Nie mogę natomiast powiedzieć, że mamy jakiś zorganizowany plan „na wypadek". Myśleliśmy kiedyś, żeby wysłać Piotra na studia za granicę, ale on nie chciał.

Mam za granicą jakąś rodzinę, ale czy oni by nas przyjęli? Tego nie wiem. Obawiam się, że to syn sam w razie czego będzie podejmował tę decyzję: zostać czy uciekać. Właściwie tego go zawsze uczyliśmy, żeby sam podejmował decyzje.

Mamy specyficzną historię rodzinną, obaj moi dziadkowie walczyli w Powstaniu Warszawskim. Siłą rzeczy, jak z dziećmi jeździliśmy na groby, zawsze były jakieś patriotyczne przypinki, symbole. Piotrek jako mały chłopiec dostał podczas jakiejś uroczystości taki chlebaczek z symbolem Polski Walczącej, pamiętam, jak dumnie go nosił.

Paradoks polega na tym, że mój dziadek ze strony mamy zawsze mówił, że walka w powstaniu była całkowicie bez sensu. Jako dziecko byłam na niego zła. W szkole uczyłam się o bohaterach, niby miałam takiego bohatera w domu, a on nie chciał nim być. Co miałam napisać w wypracowaniu?

Drugiego dziadka nie zdążyłam zapytać, wcześnie zmarł. Ale wiemy, że wojna strasznie go przeczołgała. Drugiego dnia powstania trafił na Pawiak z łapanki, tam odbito mu nerki. Stracił zdrowie, niedługo po wojnie zmarł na zawał. Czy moi dziadkowie walczyli, bo chcieli?

Jak tak teraz rozmawiamy, to zastanawiam się, co z tego wszystkiego wzięły sobie nasze dzieci? Co wziął Piotrek – najstarszy? On zawsze był taki dzielny, przez lata był harcerzem, biegał po lesie. Ale to przecież co innego...

Bartłomiej: – To strasznie zabrzmi, ale z drugiej strony to ja wiem, że – jeśli nasze wojsko musiałoby kogoś powołać, to Piotrek byłby właściwą osobą na właściwym miejscu. Bo on jest silny fizycznie, ale przede wszystkim jest też odpowiedzialny.

Jeśli potrzebujemy z żoną wyjść, zostawiamy młodsze dzieci, w tym naszego pięciolatka, pod opieką Piotra i wiadomo, że w domu sytuacja jest opanowana. Więc jakby ktoś miał być w tym wojsku, to chyba tacy ludzie.

Swoją drogą Piotr dostał list z wojska, jakiś czas po tej komisji. Napisali, że jest w gronie wybranych, których szczególnie zapraszają do wstąpienia w szeregi. Jak pytałem po znajomych, to niektórzy też takie dostali, ale część nie. Nie wiemy, czy się cieszyć, że go docenili, czy płakać.

Agata: – Raz rozmawiałam z Piotrkiem o wojnie, jak w 2022 roku szykowaliśmy z przyjaciółmi kanapki dla Ukraińców na dworcu. Powiedział wtedy, że on by walczył za swoją ojczyznę. Ale był jeszcze dużo młodszy. I to jednak było abstrakcyjne.

Bartłomiej: – Wkurza mnie, jak obserwuję, jak ludzie sobie potrafią ten temat zakłamywać. Niektórzy na przykład deklarują, że w razie wojny uciekną, „bo potem ktoś musi tę Polskę odbudowywać". Jeśli ja ucieknę, to dla siebie i dla rodziny. A co ostatecznie zrobię? Co bym doradził Piotrkowi? Co z żoną i młodszymi dziećmi? Życie mnie nauczyło, że takie deklaracje wypowiadane na krześle w kuchni nie mają wielkiej wartości. Jak nagle jesteś w ekstremalnej sytuacji, to to się weryfikuje.

A niebagatelną rolę odgrywa jeszcze przypadek. Raz w lesie w sytuacji zagrożenia, jako już dorosły mężczyzna, instynktownie schowałem się za kolegę. A innym razem, na łódce, to właśnie ja ratowałem naszą ekipę, choć mogło mi wtedy zmiażdżyć nogę. Dlaczego raz tak, a za drugim razem inaczej?

Pyta pani, czy pójście na wojnę nie jest frajerstwem wobec psychopatów, którzy ją

eprasa.pl 9a923e079a

wywołali i czerpią z niej korzyści. W jakimś stopniu może tak być. Ale z drugiej strony może właśnie powinniśmy bronić naszej ziemi przed tymi psychopatami?

Agata: – Mnie martwi taka wizja: jakby nasz syn kiedyś wrócił z wojny, jak miałabym spojrzeć mu w twarz? Czy byłby wtedy dojrzalszy ode mnie?

Zazdroszczą Kacprowi kategorii „D”

Urszula, mama 19-letniego Kacpra z kategorią „D”: – Niedawno usłyszałam od siostry, jak bardzo mi zazdrości, że Kacper dostał „D”, bo ich syn ma „A”. Wiem, że siostra nie chciała mnie tym skrzywdzić, wyraziła po prostu strach dotyczący własnego dziecka. Uświadomiła mi, że może niektórzy ludzie rzeczywiście tak na to patrzą, że może mi zazdroszczą.

Ja nie potrafię tak na to patrzeć. Większość liceum przeżyliśmy z Kacprem pomiędzy domem, a ośrodkami terapii. Uzależnienie, terapia, inna terapia, oddział zamknięty, oddział otwarty, lekarze, leki, jego samodzielne odstawienie leków, powrót do szpitala i tak dalej. Walczę o pomoc dla syna, walczę o nadgodziny, żeby zarobić na tę pomoc. I chyba jestem zbyt pochłonięta codziennością, żeby martwić się tym, co by było, gdyby wybuchła wojna.

Kategoria „D” oznacza niezdolny do służby w czasie pokoju. Czy w czasie wojny uznaliby go za zdolnego? Ja wiem, że Kacper, w takim stanie, w jakim obecnie jest, absolutnie nie nadaje się do takich rzeczy. Myślę, że nikt nie dałby mu broni do ręki.

Ja bym wolała, żeby Kacper miał „A”, bo wtedy miałabym zdrowe dziecko. Czytam czasem, że są rodzice, którzy planują drogi ucieczki swoim synom, zagraniczne studia. My nie mamy na to szans, bo nie mamy środków.

Być może, że kategorię „A” dostanie za dwa lata mój młodszy syn. Jeśli w przyszłości będzie wyjeżdżał z kraju, to będzie to wyłącznie jego decyzja i sam będzie musiał to sobie zorganizować. Podjąć tam jakąś pracę i się utrzymywać.

Prawda jest niestety taka, że ja jestem chyba tym obywatelem, za którego decyzję w razie czego podejmą politycy i los.

Nie jestem przygotowana na każdą ewentualność, nie mam opracowanych planów ewakuacji.

Czy rozmawiałam o tym z Kacprem? Nie. Na razie moje myśli skoncentrowane są wokół jego zdrowia i tego, żeby dociągnąć go do matury, bo ma rok w plecy. Czy Kacper rozmawia o tym ze swoim ojcem? On od dłuższego czasu nie chce kontaktu z ojcem. Ostatnio dostał od ojca pozew sądowy, mój były mąż chciałby przestać płacić na Kacpra alimenty. Teraz płaci 800 zł miesięcznie. Pismo przyszło w momencie, gdy syn wrócił do domu ze szpitala.

Michał będzie się szkolił

– Strach? Staram się nie myśleć na zapas – mówi Krzysztof, tata 19-letniego Michała z kategorią „A”, studenta. – Paleta rzeczy, których należałoby się bać jest tak szeroka, że się poddałem: susza, globalne ocieplenie, atom, Putin, kleszcze. To są realne zagrożenia, a jednocześnie żyjemy w kulturze napędzania lęku.

Katarzyna, mama Michała: – Wpadłam w panikę, jak wybuchła pełnoskalowa wojna w Ukrainie. Wtedy przez kilka dni nie mogłam się uspokoić, non stop śledziłam newsy, płakałam. Teraz staram się żyć tu i teraz. Może dlatego, że mamy dużo rzeczy na głowie. Tego lata mamy przeprowadzkę i dwa remonty – w starym i nowym mieszkaniu. Pakowanie kolejny dzień całego dobytku do kartonów, w kurzu i upale, dobrze robi mi na wszelkie stresy, choć padam z nóg.

Krzysztof: – Oboje jesteśmy z żoną historykami i nauczycielami, więc widzimy realia. Wojna jest coraz bardziej prawdopodobna, ze względu na chwianie się systemu bezpieczeństwa, w którym istniejemy. Od inwazji Rosji na Ukrainę ten system ulega erozji, szczególnie pod rządami Trumpa.

Rosji na razie uchodzi to na sucho, wojna wróciła do palety sposobów na osiąganie celów politycznych. Rosja to robi, Izrael to robi. Mamy tlące się konflikty między Indiami a Pakistanem, między Kambodżą a Tajlandią. Chiny coraz mocniej kwestionują system globalnego bezpieczeństwa, Rosja coraz bardziej staje się wasalem Chin.

Można jednak zapytać – jeśli mówimy o ewentualnej wojnie u nas – jak my to sobie wyobrażamy? Jeśli np. Rosja zaatakuje pewnego dnia Przesmyk suwalski, to co? Niektórym ludziom chyba się wydaje, że cała Polska natychmiast pogrążyłaby się w ogniu. Taki scenariusz jest bardzo mało prawdopodobny. Nawet w Ukrainie w wielu miejscach życie ludzi toczy się pod wieloma względami tak, jak dawniej. Choć są oczywiście zagrożenia – rakiety, drony.

Katarzyna: – Choć kiedy mąż pewnego dnia ci mówi: „Nie wyrzucaj tych starych swetrów z wełny, w razie wojny się przydadzą”, to robi się dziwnie.

Krzysztof: – Czy w razie czego nasz syn ucieknie? To będzie jego decyzja. Nie szykujemy mu w każdym razie żadnego planu ewakuacji. Michał jako student Uniwersytetu Warszawskiego ma możliwość zapisania się do Legii Akademickiej. Wiem, że planuje tak zrobić. Uważam, że to dobry pomysł.

Jest to podstawowe przeszkolenie wojskowe w formie obozu, wykładów. Na koniec uzyskuje się pierwszy stopień oficerski. Im więcej będzie umiał, im bardziej będzie przydatny, tym mniejsza szansa, że w razie czego zostanie mięsem armatnim, tak to widzę.

Ja w razie czego zgłosiłbym się na kucharza, bo to umiem. Do okopu jestem za stary i podejrzewam, że nikt by mnie tam nie chciał.

Katarzyna: – W razie czego rozważałabym, żeby wysłać za granicę naszą młodszą córkę, może z dziadkami? Mamy rodzinę, która zapewne by ich przyjęła. Ale to Tosia musiałaby sama zdecydować. Na siłę jej przecież nie wyślę. Ja pewnie bym została. Jeśli tu byliby mój mąż i syn, pewnie chciałabym jakoś ich wspierać.

Krzysztof: – Pokłóciłem się raz mocno z parą naszych bliskich znajomych. Powiedzieli przy kolacji, że w razie czego natychmiast uciekają i zagotowałem się.

Ale właściwie nie chcę oceniać decyzji innych ludzi. Warto byłoby tylko zdawać sobie sprawę z tego, na co się decydujemy. Nasze państwo nie jest idealne, ale jednak całkiem dobrze funkcjonuje. I to jest realna, ogromna korzyść dla każdego z nas. Przyzwyczailiśmy się narzekać na Polskę, jednocześnie przyzwyczailiśmy się do bezpieczeństwa, które ona nam gwarantuje.

W dzisiejszym świecie, jeśli nie masz państwa, które cię broni, to możesz na przykład trafić do więzienia w Salwadorze za tatuaż. I nikt się o ciebie nie upomni, nie ma znaczenia, czy jesteś niewinny. Posiadanie dobrego paszportu daje ci prawa człowieka. A żeby ten paszport miał moc, to niestety my musimy to państwo utrzymać. To chodzi też o kontrolę nad naszymi zasobami.

Za okupacji nie mogłaby pani wejść do Łazienek Królewskich, bo wstęp był tylko dla Niemców. Mogła pani wsiąść tylko do jednego wagonu w pociągu. I mogli przyjść do pani i zabrać pani krowę. Ja od zawsze mam raczej lewicowe poglądy. Ale zastanówmy się, czym jest bezrefleksyjny pacyfizm? Czy nie jest oddawaniem się każdemu silniejszemu, który przyjdzie?

Jeśli poważnie myślimy o bezpieczeństwie naszych dzieci, może kiedyś wnuków, to uważam, że logika ucieczki jest zgubna. Jeśli uznamy ucieczkę za nasze prawo, możemy już teraz oddać się Putinowi w niewolę. Pytanie, czy wtedy naprawdę będziemy czuli się bezpiecznie?

Dla Szymka pójdę na wszystko

– To mnie dopada. Raz na miesiąc, albo co drugi dzień, albo dopada i trzyma przez pół dnia. Bo ktoś coś powie, albo jakiś news, albo po prostu – myśli pójdą w tym kierunku. Potrafi dopaść za kierownicą, w środku słonecznego dnia, albo przed snem – mówi Agnieszka, mama 19-letniego Szymona z kategorią „A”, studenta.

– To rozmowa rosyjskiego żołnierza, nagrana przez ukraińskie służby. Wpadłam na nią niestety gdzieś w sieci. Żołnierz mówi o torturze, którą stosował wobec Ukraińców, nazywał ją „21 róż”. Chodzi o to, że pojmany ma dwadzieścia palców i każdy z nich tak mu kaleczą, żeby wyglądał jak róża. A ta dwudziesta pierwsza, każdy może się domyślić.

Mój umysł nie jest w stanie wyrzucić tego obrazu. I czasami zestawia go z obrazem mojego syna, i z myślą, że wojna może dotrzeć do nas. Ktoś mógłby powiedzieć, że to atak paniki. Ale czy to nie jest naturalna reakcja na takie zestawienie? Złe czasy, żeby cieszyć się, że syn dorasta.

To nie jest tak, że ciągle o tym myślę. Cieszymy się z wakacji, przygarnęliśmy psa, zajmuje mnie praca. Ale jak temat się pojawia... nie umiem tego opisać. Chciałabym rozszarpać gołymi rękami każdego, kto tylko spróbowałby mojego syna dotknąć. Każdego, kto spróbowałby wysłać go na wojnę. Oby tylko było mi dane tam wtedy być.

Wiem, że zabrzmi to strasznie i pewnie nie to chciała pani usłyszeć, ale mnie w tym kontekście obchodzi tylko on. Tylko jego bezpieczeństwo. Nie łudzę się, że tak samo ratowałabym cudze dzieci. Natomiast dla niego pójdę na wszystko. W Warszawie może być Rosja, mogę śpiewać obcy hymn, mogę nie mówić, co myślę. Życie pod okupacją na pewno jest bardzo trudne, ale to wciąż życie. A póki człowiek żyje, zawsze jest nadzieja, chociażby na bezpieczną ucieczkę.

Koleżanka powiedziała mi ostatnio, że ma lokatę za granicą na wypadek, gdyby z powodu wojny musiała wyprowadzić z Polski syna. Ja nie mam takiej lokaty i tu jest moje największe poczucie bezradności.

Czy rozmawiam o tym z Szymonem? Nie za bardzo. Raz zapytał mnie, „czy naprawdę uważam, że powinien uciec i zostawić tu swoich kolegów?”. A ja po prostu wiem, że wielu tych kolegów bez mrugnięcia okiem by go zostawiło.

Czasami pytam męża, co mi doradza w tej sprawie. Nie wiem, co by powiedział. Tomek zmarł siedem lat temu na raka. Jedną z jego ulubionych książek był „Paragraf 22” Josepha Hellera. Mąż jeszcze żył w czasach, kiedy wydawało się, że przesłanie tej książki zwycięży. Pomnik „Nigdy więcej wojny” na Westerplatte, przy którym mamy zdjęcia rodzinne z czasów, gdy Szymek był malutki – wydawał się piękny, ale taki oczywisty. ●

CZY DZIŚ WYPADA BYĆ PACYFISTĄ?

W naszych czasach to zasadne pytanie. Za wschodnią granicą trwa wojna, a na czele mocarstw stoją politycy, którzy nie wahają się sięgać po siłowe rozwiązania.

Nasze gwarancje bezpieczeństwa wydają się stabilne, jesteśmy w NATO i UE. Lecz słowa i decyzje przywódcy najpotężniejszego kraju Zachodu wywołują obawy. Trump kwestionuje nasze najważniejsze sojusze.

„Zagrożenie” i „wojna” stały się słowami, których używamy codziennie w rozmowach z bliskimi, przyjaciółmi, w pracy. Straciliśmy poczucie bezpieczeństwa. Owszem, politycy wszystkich opcji deklarują je jako priorytet. A wśród państw NATO Polska stała się prymusem, w 2026 roku na obronność przeznaczymy 5 procent PKB.

Ale to tylko jedna strona medalu.

Nasze bezpieczeństwo zależy nie tylko od czołgów, myśliwców i dronów. W równym stopniu – od nas samych. Od naszego poczucia obowiązku i gotowości do poświęceń. Brzmi jak banał, truizm, propaganda? Może, ale to realny problem. Zmaga się z nim po trzech i pół roku wojny Ukraina, która po fali ochotników do armii w pierwszych miesiącach ma dziś problem z rekrutami.

Czy więc stać nas na pacyfizm?

Dyskusja, do której zapraszamy, nie jest wymierzona w samą ideę. Pacyfizm jest i będzie. Pacyfiści są potrzebni, bo bez nich zostaną obojętni albo militaryści, a to oznacza nasz koniec. Ale warto wspólnie się zastanowić, czym dziś pacyfizm powinien być.

Potraktujmy te pytania jako okazję do zastanowienia się nad nad tym, kim jesteśmy i kim chcielibyśmy być. Już spróbowali się z nimi zmierzyć:

- ***Bartosz T. Wieliński,*** *wicenaczelny „Wyborczej”, znawca spraw zagranicznych i wojskowości: „W przeciwieństwie do starej Europy chcemy i potrafimy stawić Rosji opór? Liczby mówią co innego”;*
- ***Sławomir Sierakowski,*** *współzałożyciel Krytyki Politycznej, reprezentant nowego pokolenia wrażliwej społecznie, lewicującej inteligencji i klasy średniej: „Mam problem z Polakami, którzy nie chcą ginąć za kraj”;*
- ***Michał Olszewski,*** *szef działu zagranicznego „Wyborczej”, reporter, świadek wojny w Ukrainie: „Można albo walczyć, albo się poddać. Trzeciej opcji nie ma”;*
- ***Paulina i Roman Polkowie:*** *„Plecak ewakuacyjny to nie jest zestaw dla tchórza, który planuje ucieczkę do Hiszpanii”;*
- ***Marek Krukowski:*** *„Obdżektor to nie jest ktoś, kto mówi „pieprzę tę Polskę i wyjeżdżam”;*

Iwona Görke *odpytująca rówieśników, czy walczyliby, czy spakowali uciekli: „Zamiast all-inclusive w Turcji wybiera z partnerką zwiedzanie ojczyzny”;*

- *Oraz działaczka pacyfistyczna i aktywistka LGBT+* ***Monika Tichy*** *w rozmowie z Tomaszem Jakubowskim: „Dzisiejsi mężczyźni mają wielki problem z zaspokojeniem potrzeb seksualnych”.*

Mnie martwi taka wizja: jakby nasz syn kiedyś wrócił z wojny, jak miałabym spojrzeć mu w twarz? Czy byłby wtedy dojrzalszy ode mnie?

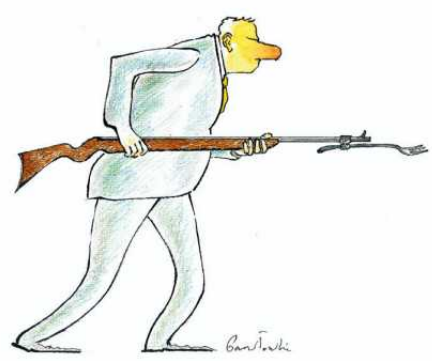

The Eastern Frontier Initiative

- **Artykuły powstały w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellingcat.
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

eprasa.pl 9a923e079a

ILE WAŻY KOŃ TROJAŃSKI

Czy by przekonać do siebie Donalda Trumpa wystarczy dobrze grać w golfa? **A może wystarczy założyć czerwony krawat i wypowiedzieć wojnę Unii Europejskiej?**

Bartosz T. Wieliński

• **Karol Nawrocki, jeszcze prezydent elekt, na po raz pierwszy odbywającej się w Polsce przywiezionej z USA Conservative Political Action Conference (Konferencja Konserwatywnej Akcji Politycznej). Jasionka, 27 maja 2025 r.**

FOT. PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Ilo były najlepiej zainwestowane pieniądze w powojennej historii Finlandii – znajomy dyplomata dzieli się anegdotą opowiadaną w europejskich stolicach. Na początku lat 80. nastoletni Alexander Stubb pojechał po raz pierwszy do USA. Jego ojciec Göran, działacz sportowy – pracował wówczas dla amerykańskiej ligi hokejowej jako łowca europejskich talentów – opłacił pierwsze lekcje gry w golfa. – Nawet jeśli nie zostaniesz zawodowym graczem, to golf ci się przyda – powiedział.

Alexandra od zawodowej kariery golfisty dzieliło niewiele. Grał w fińskiej narodowej reprezentacji, dostał też golfiarskie stypendium na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Ostatecznie zdecydował się jednak studiować nauki polityczne. Swojemu krajowi służył jako szef dyplomacji i premier. Od 2024 r. jest fińskim prezydentem.

Gra w golfa faktycznie mu się przydaje. Dzięki niej nawiązał unikalną relację z innym zapalonym golfistą, prezydentem USA Donaldem Trumpem.

Zaczęło się pod koniec marca od niezapowiedzianej wizyty Stubba w Mar-a-Lago, posiadłości Trumpa na Florydzie, do której przylega wielkie pole golfowe. Grali, a Stubb opowiadał Trumpowi o Rosji i walce Ukrainy, którą Finlandia z całych sił wspiera.

Zachód ciągle dochodził do siebie po skandalicznym potraktowaniu w Białym Domu Wołodymyra Zełenskiego, którego Trump i jego wiceprezydent J. D Vance upokorzyli podczas konferencji prasowej, a potem kazali mu się wynosić.

Przy golfie Stubb próbował wygładzać amerykańsko-ukraińskie zadrażnienia i hamować antyeuropejskie instynkty prezydenta. – Jest bardzo dobrym graczem – komplementował go Trump.

A potem sprawy ruszyły z kopyta, choć w sensie politycznym Stubba, praktyka liberalnej demokracji, wychowanego w nordyckiej kulturze politycznej, od Trumpa, konserwatysty o autorytarnym i mizoginicznym rysie, dzieli przepaść.

Czy gdyby ich rozmowa z geopolityki zeszła na kondycję zachodniego społeczeństwa, granice wolności słowa czy prawa kobiet, skończyłaby się już przy drugim z 18 dołków? Niekoniecznie. Stubb jest jednak pragmatykiem. Po objęciu urzędu ogłosił doktrynę realizmu opartego na wartościach.

W skrócie oznacza ona, że Europejczycy muszą wyjść z wieży z kości słoniowej i pogodzić się z tym, że reszta świata nie zawsze podziela nasze wartości, przestrzega praw człowieka i gwarantuje demokratyczne wolności. Co więcej – trzeba z tą resztą świata nauczyć się współpracować, a nie się na nich obrażać, albo gorzej: próbować ich nawracać. Takie podejście do Trumpa opatentował fiński prezydent.

Start nie był szczególnie trudny. Finlandia utrzymywała z Trumpem dobre relacje za jego pierwszej kadencji. Wówczas amerykański prezydent utyskiwał, że kraje NATO wykorzystują Amerykę nie inwestując w obronność, ale jednocześnie podpisał z nienależącą do Sojuszu Finlandią dwustronną umowę wojskową. Dlatego w Helsinkach nie podzielano powszechnych w Berlinie czy Paryżu obaw związanych z jego powrotem do władzy.

Dziś prezydenci są w stałym kontakcie. Jak pisze „Wall Street Journal", SMS-y od amerykańskiego prezydenta czasami Stubb dostaje wcześnie rano. „Dlaczego wstajesz tak wcześnie" – miał pytać Trump, gdy dostał od Fina od razu odpowiedź.

Politycy rozmawiają raz w tygodniu. Stubb zaczął pełnić rolę przekaźnika. Przekazuje Trumpowi stanowisko Ukrainy oraz krajów Unii Europejskiej, a Europejczykom stanowisko USA. W tej roli pomaga fińska bezpośredniość: Stubb – jak sam przyznaje – nie owija w bawełnę, mówi jednym i drugim, jak naprawdę jest.

Podczas szczytu w Białym Domu, na którym Trump gościł Zełenskiego, przywódców Europy, szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen i sekretarza generalnego NATO Marka Rutte, Stubb siedział naprzeciw amerykańskiego prezydenta.

– Niektóre media mogą się dziwić, dlaczego jest tu prezydent Finlandii – kokietował w swoim wystąpieniu. Ale przecież jego udział w takim formacie był niezbędny. Wiele tygodni wcześniej nazwano go „zaklinaczem Trumpa".

Nawrocki czeka na zdjęcie

Nieobecny w Waszyngtonie prezydent Polski Karol Nawrocki w wymagającego finezji golfa grać nie potrafi. Nie ma żadnych dyplomatycznych doświadczeń, słabo mówi po angielsku. Polskim Alexandrem Stubbem nie jest i nie będzie.

Ma jednak ambicję zbudowania osobistej relacji z Trumpem, tak jak zrobił to jego poprzednik Andrzej Duda. Nie wolno go lekceważyć. Nawrocki w kampanii wyborczej stawiał na podobieństwo z amerykańskim prezydentem mówiąc do wyborców podobnym językiem i obiecując im gruszki na wierzbie. Tak jak Trump otwarcie pogardzał też politycznymi rywalami i lekceważył zadających mu pytania dziennikarzy.

Zresztą nie tylko język ich do siebie upodabnia. Tuż przed wyborami w 2016 r., w których Trump niespodziewanie pokonał faworytkę Hillary Clinton, wydawało się, że skandale obyczajowe, w które był uwikłany amerykański miliarder, przekreślą jego szanse na zwycięstwo.

Z szafy Nawrockiego w kampanii trupy wypadały jeden po drugim: wątpliwe wykorzystywanie apartamentów w Muzeum Drugiej Wojny Światowej i podróże na koszt podatnika po świecie, udział w kibolskich ustawkach, związki z neonazistami i gangsterami, oskarżenia o załatwianie prostytutek klientom. Mimo to został prezydentem. W dniu zaprzysiężenia nawet ubrał się, jak Trump. Nieprzypadkowo

Naśladowanie amerykańskiego prezydenta to dla Nawrockiego jedyna sensowna strategia, jeśli faktycznie – tak jak to nieoficjalnie deklaruje – chce pozostać niezależny od Jarosława Kaczyńskiego i walczyć o rząd dusz na polskiej prawicy.

Polityk bez partyjnej bazy, bez wcześniejszych politycznych osiągnięć, doświadczeń i w zasadzie kontaktów, musi budować pozycję na bezpośrednim kontakcie ze swoimi radykalnymi wyborcami. Musi być wyrazisty, wręcz budzić kontrowersje, nie tyle pogłębiać podziały, co wręcz podsycać płomień wojny domowej. Do tego jednak potrzebna jest franszyza. Polska kopia Donalda Trumpa musi mieć wsparcie oryginału.

Pierwszy krok w tym kierunku wykonano 1 maja, gdy Nawrockiego wpuszczono do Gabinetu Owalnego i pozwolono mu sfotografować się z Trumpem. Udało się dzięki pielęgnowanym przez lata kontaktom polityków PiS z Partią Republikańską i prezydenckim ruchem MAGA.

Nawrockiego do Białego Domu zaprosili zaprzyjaźnieni z PiS-owcami politycy z trzeciego szeregu w obecnej administracji. To Sebastian Gorka, konserwatywny publicysta, zajmujący się obecnie walką z terroryzmem i były speechwroter Trumpa, szef prezydenckiej Rady ds. Polityki Wewnętrznej Vince Haley.

Załatwienie zdjęcia z Trumpem było trudniejsze, Nawrocki czekał na nie przez kilka godzin, ostatecznie udało się je zrobić pod koniec dnia, tuż przed wylotem prezydenta na Florydę. Trump miał powiedzieć Nawrockiemu, że wygra wybory, później po jego zwycięstwie wysłał na swo-

eprasa.pl 9a923e079a

Nawrocki, mimo że nie gra w golfa, może zająć miejsce Orbana, by realizować ukuty przy wsparciu protrumpowskiej Heritage Foundation program rozbicia Unii Europejskiej

jej platformie społecznościowej gratulacje, a w końcu do Nawrockiego zadzwonił i zaprosił do Waszyngtonu. Termin wizyty potwierdzono na 3 września.

W tak dobrze rozwijającej się relacji pojawił się jednak zgrzyt. Nawrockiego nie było wśród gości zaproszonych na poświęcone zakończeniu wojny w Ukrainie spotkanie w Białym Domu, na którym brylował prezydent Finlandii. I to mimo, że dzięki swoim wpływom w MAGA po interwencji w Białym Domu Pałacowi Prezydenckiemu udało się wyprosić z telekonferencji z Trumpem premiera Donalda Tuska i zastąpić go Nawrockim.

Co się stało? Amerykanie po prostu nie zaprosili Nawrockiego do Waszyngtonu, mimo że jego otoczenie usilnie o to zabiegało. Prof. Jacek Czaputowicz, były minister spraw zagranicznych w rządzie PiS – a więc człowiek, któremu trudno przypisywać sympatie wobec obecnego rządu – sugeruje, że Nawrocki mógł czymś zirytować Trumpa podczas telekonferencji.

Z tromtadracji jego współpracowników wynikało, że „udzielał Trumpowi wskazówek, jak rozmawiać z Rosją". Jeśli to faktycznie prawda, to Trump, delikatnie mówiąc egotyk, mógł poczuć się urażony, podobnie jak w przypadku tyrad, że jego szczyt z Putinem w Anchorage wypada w rocznicę zwycięstwa Polski nad Bolszewikami 15 sierpnia 1920 r.

Dyplomacja także polega na powstrzymywaniu się, by nie powiedzieć za dużo. Milczenie jest złotem. Stubb z racji swoich bogatych doświadczeń to wie. Nawrocki będzie musiał się tego dopiero nauczyć.

Złote kije i całowanie w tyłek

To nie doradcy Stubba odkryli, że golf może być kluczem do porozumienia się z Donaldem Trumpem. Przed spotkaniem z prezydentem USA w 2017 r. na polu golfowym intensywnie trenował ówczesny premier Japonii Shinzo Abe.

Nie uprawiał tego sportu jako młody człowiek, opanowanie podstawowych umiejętności było dla niego wyzwaniem i kosztowało parę miesięcy intensywnych ćwiczeń. Podczas gry z Trumpem wywrócił się i spadł do tzw. bunkra, czyli zagłębienia na polu golfowym wypełnionego piaskiem. Amerykański prezydent nawet nie przerwał gry.

Trzeba było przełknąć upokorzenie, bo lansowanie przez Trumpa normalizacji relacji z dysponującym bronią jądrową oraz pociskami średniego zasięgu reżimem w Północnej Korei, było poważnym zagrożeniem. Tak jak dziś Stubb przekonuje Trumpa, że Putinowi nie należy ufać, tak samo Abe naciskał prezydenta USA, by nie ufał Kim Dzong Unowi.

W 2019 r. Abe w Japonii grał z Trumpem w towarzystwie japońskiej gwiazdy golfa Hideki Matsuyamy. Wyniku pojedynku nie ujawniono, ale Trump był zachwycony. – Musimy spędzać więcej czasu razem, bo każda wspólna minuta sprawiała mi przyjemność – mówił.

Ta golfowa dyplomacja przyniosła efekty, bo premier Abe nawiązał bliską relację z Trumpem. Zmarł w wyniku zamachu w 2022 r. Rok później Trump ogłosił, że odnalazł pozłacane kije golfowe, które dostał od japońskiego premiera, a potem gdzieś je zapodział. Abe wiedział, że Trump oprócz golfa uwielbia też złoto.

Europejczycy również szybko nauczyli się sztuki obsługi Donalda Trumpa. Że wystarczy mu schlebiać, schodzić z drogi, podrzucać intrygujące figury retoryczne... Stubb podczas rozmów w Waszyngtonie miał odwieść Trumpa od wymuszania na Ukrainie oddania Rosji niezdobytej części Donbasu mówiąc, że miasta kontrolowane przez Ukrainę w regionie: Kramatorsk i Słowiańsk, to „bastiony, stawiające czoła Hunom". To porównanie miało przypaść do gustu.

Tylko czy długofalową politykę można opierać na grze w golfa i tym, co sam Trump nazywał „całowaniem w tyłek"? Czy europejscy przywódcy są tak naiwni?

Myślę, że po prostu kupują czas i próbują w relacjach transatlantyckich uratować to, co się da.

Tak zaczynał sie brexit

W rozmowach o zakończeniu wojny w Ukrainie koszmarną rolę odegrał przyjaciel Trumpa, miliarder Steve Witkoff, który został jego wysłannikiem do Rosji. Tak zaufał Putinowi, że na rozmowy na Kreml nie brał amerykańskiego tłumacza, tylko polegał na ludziach podstawionych przez FSB.

Omotany przez Rosjan proponował wymianę terytoriów – Rosja miała oddać okupowane skrawki obwodu sumskiego i charkowskiego w zamian za cały Donbas. I zapewniał, że najlepszą gwarancją bezpieczeństwa dla Ukrainy będzie wpisanie do rosyjskiej konstytucji zakazu roszczeń terytorialnych i prowadzenia wojen z sąsiadami.

Pomysły, które byłyby katastrofalne w skutkach, Europejczykom udało się Trumpowi nie wybić z głowy, ale delikatnie wyperswadować. Znowu Stubb użył dobrej metafory, porównując oddanie ukraińskiego terytorium do przekazania Rosji Florydy, Georgii, Północnej i Południowej Karoliny i Virginii. Odniósł pasmo taktycznych sukcesów, ale koniec wojny w Ukrainie jest dalej mglisty...

A obecna amerykańska administracja ciągle naiwnie uważa, że może przeciągnąć Rosję na swoją stronę, na wypadek konfliktu z Chinami – Atak na Tajwan wydaje się nieunikniony w perspektywie kilku lat. Obawa, że za to wsparcie Ameryka byłaby skłonna zapłacić Rosji częścią Europy, jest uzasadniona. Tak, jak to, że

Rosja będzie w najbliższym czasie testować spójność NATO. Zerwanie Europy z Trumpem byłoby jej bardzo na rękę.

Czy Trump jest świadomy europejskich zabiegów wokół niego? Z pewnością tak. To wprawdzie egotyk, ale też makiawelista. Zaprasza do Białego Domu Europejczyków nie po to, by mu prawili komplementy, ale by – skoro inne metody zawodzą – pomogli mu uwolnić się od wojny, którą obiecał zakończył 24 godziny po objęciu prezydentury.

Istnieje ryzyko, że europejscy przywódcy stracą czujność. A przecież jest jasne, że Donald Trump uważa się za wroga Unii Europejskiej i zamierza ją rozbić, by móc dzielić i rządzić starym kontynentem. Takie nastawienie tworzy dobre warunki dla wzrostu jego relacji z Karolem Nawrockim.

Trump będzie potrzebować w Europie swojego konia trojańskiego. Zaprzyjaźniony z nim premier Węgier Viktor Orban do tej roli nie za bardzo się nadaje, bo słabnie i według sondaży nie ma szans utrzymać się u władzy po przyszłorocznych wyborach. O ile ich nie sfałszuje.

Nawrocki, nawet jeśli faktycznie Trumpa zirytował i mimo, że nie gra w golfa, mógłby zająć miejsce Węgra, by realizować ukuty przy wsparciu protrumpowskiej Heritage Foundation program rozbicia Unii Europejskiej w imię oddania narodom Europy zabranej przez Brukselę suwerenności.

Nawrocki – patrząc na poglądy jego wyborców, których wyobraźnię rozpala hasło rzekomej obrony suwerenności, powstrzymania transformacji kraju w niemiecki land – nie będzie miał z tym większego problemu.

W kampanii wyborczej Unię bezlitośnie chłostał: za pakt migracyjny (nie wszedł w życie) czy Zielony Ład (przyjął go rząd PiS, bronił komisarz rolnictwa Janusz Wojciechowski z PiS). Jako prezydent będzie robić to dalej. Nie jest pierwszym politykiem, który UE traktuje jako chłopca do bicia. W Wielkiej Brytanii w ten sposób przygotowywano grunt pod brexit.

Tymczasem w Polsce, by wyjść z UE, nie będzie trzeba organizować referendum. Obecne przepisy zakładają, że tak jak w przypadku każdej innej umowy międzynarodowej, wystarczy poparty przez rząd wniosek ministra spraw zagranicznych i głosowanie w Sejmie.

3 września, gdy Karol Nawrocki pojedzie do Białego Domu, trzeba będzie uważnie wsłuchiwać się w to, co polski i amerykański prezydent mówią o Europie. ●

eprasa.pl 9a923e079a

Śmieci

Jarosław Kaczyński ma w genach potrzebę sortowania.

Michał Rusinek

Jarosław Kaczyński – nazywając „śmieciami" ludzi protestujących w czasie jego przemówienia na ostatniej miesięcznicy smoleńskiej – skłonił mnie do przeczytania na nowo wspaniałej książki Mary Douglas „Czystość i zmaza". Oraz przypomniał mi swoją wypowiedź sprzed dziesięciu lat, w której dokonał aktu sortowania, a ściślej rzecz biorąc – wydzielił „najgorszy sort Polaków", którzy „zdradę mają jakby w genach".

Kaczyński ma natomiast w genach potrzebę sortowania. Kategorie, czy też – mówiąc z rosyjska – sorty, jakimi się posługuje, nie mają charakteru Arystotelesowskich kategorii; bliżej im raczej do Platońskich przeciwieństw: ziarna i plew, dobra i zła, tego, co czyste, i tego, co nieczyste. Kaczyński jest sortowniczym, który uznaje istnienie tylko dwóch przegródek i uzurpuje sobie prawo do umieszczania w nich tego, co uzna za stosowne. I niestosowne.

A właściwie nie tyle „tego", ile „tych", bo jego sortowanie nie dotyczy abstrakcyjnych idei, lecz ludzi. To samo sortowanie uprawiali zapatrzeni w prezesa były prezydent i były premier. W 2016 roku Andrzej Duda mówił o sobie i swoich ludziach: „Tu w Polsce to my właśnie jesteśmy ludźmi pierwszej kategorii", a w 2018 roku Mateusz Morawiecki zwrócił się Matki Boskiej, by miała w opiece „również tych, którzy nie kochają Polski aż tak mocno [...], jak my [...] i którzy trochę błądzą". Pomijając protekcjonalny ton, jest to w zasadzie ten sam gest: władza przyznaje sobie prawo decydowania o tym, kto jest po dobrej, a kto po złej stronie, a nawet kto należy do wspólnoty, a kto jest banitą, wyrzutkiem, śmieciem.

W przypadku Kaczyńskiego to gest dodatkowo haniebny, bo nie tylko pełen pogardy, ale także dehumanizujący. Nazwanie człowieka śmieciem sytuuje go poza marginesem człowieczeństwa. Nancy Isenberg, autorka głośniej książki „White Trash", w wywiadzie dla „Dziennika. Gazety Prawnej" mówiła, że „mieszkańcy pierwszej stałej osady w Jamestown – ci robotnicy najemni, skazańcy, którzy przypłynęli do Nowego Świata – w ojczystej Anglii byli nazywani »waste people«", czyli ludzkimi śmieciami". Nie byli umieszczani na marginesie społeczeństwa, ale wyrzucani nawet poza ten margines. Na śmietnik.

Wspomniałem o Mary Douglas, która wprawdzie pisze o kategorii czystości jako uniwersalnej dla wszystkich kultur i społeczeństw, ale zajmuje się też z konieczności tym, co rozumiemy jako „nieczystość", odpad, śmieć. „Jeśli nieczystość to coś, co jest nie na swoim miejscu" – pisze Douglas – „musimy postrzegać ją przez pryzmat ładu. Nieczystość i brud muszą być wykluczone, jeśli porządek ma być utrzymany". Tworzymy po prostu pewne wzorce: tego, co uznajmy za uporządkowane, i tego, co w porządku się nie mieści i porządkowi zagraża. Ale to my sami jesteśmy autorami tych wzorców: „Nie ma czegoś takiego jak brud absolutny. Brud istnieje tylko w »oku patrzącego«". To my sami wprowadzamy w swoje życie – a niektórzy z nas próbują wprowadzać też w cudze – wzorzec, który nazywamy porządkiem.

Wszystkie elementy, które do tego wzorca nie pasują, bo są „wyraźnie nie na swoim miejscu, zagrażają porządkowi", natychmiast więc „budzą nasz sprzeciw i energicznie zmiatamy je na stronę". Na początku mają jeszcze jakąś tożsamość, „możemy je postrzegać jako niechciane kawałki tego czegoś, z czego się wzięły [...]. To jest stadium, w którym są one niebezpieczne; ich połowiczna tożsamość wciąż w nich tkwi i ich obecność godzi w klarowność całej konfiguracji". Wyrzucamy te śmieci – a właściwie to, co uznaliśmy za śmieci – i zamykamy oczy, by przyspieszyć proces dezintegracji śmieci, kiedy to staną się niezróżnicowaną, bezkształtną masą. Wtedy przestaną być groźne i będą po prostu brudem. „Brud – podsumowuje Douglas – powstał wskutek różnicującej aktywności umysłu, był produktem ubocznym tworzenia porządku". To, co uznajemy za śmieć, nie było nim na początku: było jednym z elementów świata niezróżnicowanego. Został nim nazwany w imię jakiegoś, narzuconego przez kogoś porządku, odseparowany od niego, po czym wrócił do „pierwotnego niezróżnicowania".

Jarosław Kaczyński, mówiąc o ludziach protestujących przeciwko niemu jako o „śmieciach", mówi jak ktoś, kto chce narzucić światu, a przynajmniej społeczeństwu, pewien autorytarny porządek, w którym nie ma miejsca na protesty. Zachowuje się jak dyktator, który uważa, że tylko jego porządek ma prawo organizować społeczną przestrzeń i tylko on może decydować, jaki element do niego należy, a jaki trzeba usunąć jako śmieć. Być może kieruje nim po prostu lęk lub inna emocja, która powoduje, że gotów jest przekroczyć granice przyjęte w dyskursie publicznym w cywilizowanym, demokratycznym świecie.

Jeśli brud jest w oku patrzącego, jeśli podział na to, co uporządkowane, i na to, co nie należy do porządku, ma charakter subiektywny, to mówienie, że ktoś jest „śmieciem", więcej mówi o mówiącym niż o tym, do kogo jest skierowane. Jonatan Culler, teoretyk literatury, zaproponował kiedyś, byśmy, zamiast zastanawiać się, jakie cechy musi mieć tekst, żeby został zaliczony w poczet tekstów literackich, spytali, co to jest chwast. „Czy można wyodrębnić istotę »chwastowości« – coś konkretnego, jakieś je ne sais quoi, wspólne wszelkim chwastom, odróżniające je od niechwastów? [...] Sekret tkwi w tym, że nie ma żadnego sekretu" – pisze Culler.

Po prostu jakiś konkretny ogrodnik uznaje, że danych roślin nie chce w swoim ogrodzie. Ale już inny ogrodnik może być innego zdania. Zamiast dawać sobie wmówić, że jakaś roślina jest chwastem (albo jakaś osoba – „śmieciem"), powinniśmy się zastanowić, dlaczego pozwalamy na to, by jeden człowiek od lat wmawiał nam, że jest ogrodnikiem. I zamiast protestować oraz składać pozwy – przypinamy sobie znaczki z napisem: „Jestem gorszego sortu". Mam cichą nadzieję, że nikt teraz nie wpadnie na to, by nosić znaczek z napisem: „Jestem śmieciem". ●

Antyterapia 7 kroków

Wystarczy, że stracimy zdolność do słuchania siebie nawzajem i zgodzimy się na to, by prawo i instytucje były wyłącznie bronią przeciw „tamtym". Dotyczy to obu stron.

Marcin Matczak

Mecz Maccabi Hajfa z Rakowem Częstochowa i transparent o przeciwnikach jako mordercach obrazuje nie tylko głupotę. Nadaje się na metaforę naszej wewnętrznej polityki – sens przedsięwzięcia niknie, kluczowa jest nienawiść tych, którzy je oglądają.

Jak się produkuje nienawiść w polityce? Schemat jest zawsze ten sam. Każdą sytuację naświetla się wąskim reflektorem, żeby w kadrze znalazły się tylko wybrane fragmenty rzeczywistości. Z reguły są to trzy fakty na krzyż, które prowadzą do jedynego słusznego wniosku: winny jest Tusk albo winny jest Kaczyński. Ewentualnie Ukraińcy, jeśli przekaz nadaje Konfederacja. Niepasujące elementy się wycina. Ważne, żeby przekaz był czarno-biały.

„Nasi" i „tamci"

Przykład: awantura o grant Narodowego Centrum Nauki. Projekt o transpłciowości i BDSM, 750 tysięcy złotych i lawina oskarżeń. Politycy PiS grzmią o „lewackiej indoktrynacji", opozycja szydzi, że środki przyznano za ministra Czarnka. Każda strona swoim odbiorcom sprzedaje wersję, w której wróg jest moralnym i intelektualnym bankrutem.

Podobnie z KPO – blokowanie, odblokowanie, jachty i sauny. Rząd Tuska wskazuje PiS jako winnego zablokowania środków, PiS krzyczy, że to „afera Tuska", i domaga się komisji śledczej. Cel jest jeden: uzbrojenie swojego elektoratu w amunicję emocjonalną na kolejną rundę starcia.

Gramy od lat w tę idiotyczną grę na dwa chóry. „Nasi" widzą tylko to, co obciąża „tamtych", a „tamci" wyłącznie to, co kompromituje „naszych". Każdy obóz wzmacnia tylko ten przekaz, który pasuje jego wyznawcom. To wyścig, kto szybciej i skuteczniej rozpali nienawiść wobec drugiej strony.

Efekt? Wielu ludzi samodzielnie nigdy nie dojdzie w tych sprawach do prawdy. Większość będzie się karmić tym, co potwierdza ich wcześniejsze przekonania. Internetowe armie filtrują treści tak, by podsycać wściekłość i pogardę wobec „tych drugich". Partyjne media ze sprawozdawców zmieniają się w cheerleaderki, które mają podgrzać trybuny. To nie jest już polityczna debata – to mecz, kibolska ustawka i polowanie w jednym.

Jego elementem jest radość z upokorzenia. Kiedyś kpina z Andrzeja Dudy, który czekał na Trumpa, dzisiaj szydzenie z Tuska, który czekał na Nawrockiego. Nieważne, jak długo i czy ktoś chciał kogoś rzeczywiście upokorzyć. Liczy się fabuła: pokazanie sytuacji jako poniżającej. I już można wiwatować: „Tak kończy się lizusostwo" – o Dudzie. Albo: „Wreszcie ktoś go ustawił do pionu" – o Tusku. I już jest ta satysfakcja, że „tamtym" odebrano twarz, a „nasi" mogą to oglądać i celebrować. Karmić własny elektorat obrazem pogardy wobec wroga – to główne zajęcie naszych polityków.

Ta radość z pogardy i upokorzenia cementuje plemienne lojalności. To choroba podobna do nadciśnienia – zabija demokrację powoli. Nikt nie chce wierzyć, że tak jest, ale to proces przerażająco prosty.

Krok po kroku...

Najpierw rozpada się wspólna baza faktów – obraz rzeczywistości. Bo każdy ma swój: w sprawie Smoleńska, w sprawie praworządności, NCN i KPO. Demokracja działa wtedy, gdy ludzie opierają się na wspólnym minimum informacyjnym. Nie muszą się zgadzać co do wszystkich interpretacji, ale muszą uznawać, że dane wydarzenie faktycznie miało miejsce. W stanie głębokiej polaryzacji ten fundament znika: każde plemię ma własne źródła, autorytety i „prawdy". W efekcie argumenty drugiej strony nie są już innym punktem widzenia, tylko są odbierane jak kłamstwo.

W drugim kroku debatę zastępuje tożsamościowa wojna. Przestajemy spierać się o to, jak rozwiązać problemy, a zaczynamy walczyć o symboliczną dominację. Każda propozycja jest oceniana nie po skutkach, lecz po tym, kto ją zgłasza. To zabija zdolność do kompromisu – ustępstwo wobec przeciwnika traktowane jest jak zdrada.

W kroku trzecim następuje paraliż instytucji. Parlament, samorządy i inne instytucje nie są w stanie podejmować decyzji ponad podziałami. Zamiast tworzyć prawo, które będzie służyć większości obywateli, produkują ustawy obliczone wyłącznie na korzyść swojego elektoratu i uderzenie w przeciwników.

W kroku czwartym następuje eskalacja retoryki wrogości, bo państwo przestaje działać. Partie, by utrzymać lojalność swoich wyborców, stale podnoszą temperaturę sporu. Wroga już się nie krytykuje, ale dehumanizuje. W takim klimacie coraz bardziej akceptowalne staje się ograniczanie wolności mediów, nacisk na sądy, marginalizowanie opozycji. Rak rośnie.

Dla „ratowania kraju"

W kroku piątym akceptuje się erozję nienaruszalnych, zdawałoby, zasad. Bo kiedy ludzie są stale mobilizowani do walki z „egzystencjalnym zagrożeniem", jakim jest druga połowa społeczeństwa, łatwiej przekonać ich, że nadzwyczajne środki są konieczne. Zgadzają się na łamanie zasad, bo wierzą, że to dla „ratowania kraju".

W kroku szóstym instytucje stają się narzędziami tylko jednej strony. To prowadzi do sytuacji, w której formalnie wybory nadal się odbywają, ale nie są już równe i wolne.

A w kroku siódmym system traci całkowicie legitymację. Jedna połowa społeczeństwa przestaje wierzyć, że ma jakikolwiek wpływ na decyzje polityczne. Może zbojkotować wybory, może zacząć działać poza systemem. To często kończy się trwałą dominacją jednego obozu (miękkim autorytaryzmem) lub gwałtownym przesileniem i destabilizacją państwa.

Jesteśmy w tym procesie gdzieś między krokiem piątym a szóstym.

Polaryzacja to nie brak kultury politycznej. To mechanizm, który – jeśli osiągnie odpowiednią intensywność – prowadzi do rozpadu demokracji od środka, bez konieczności zamachu stanu. Wystarczy, że stracimy zdolność do słuchania siebie nawzajem i zgodzimy się na to, by prawo i instytucje były wyłącznie bronią przeciw „tamtym". I dotyczy to obu stron.

W tej polityce chodzi o to, by własny obóz był bardziej wściekły, zmotywowany i gotowy do „zabicia" przeciwnika przy urnie wyborczej. Oczywiście wszyscy wierzą, że walczą o prawdę i dobro. A to walka o to, kto w dniu wyborów będzie miał liczniejszy i bardziej rozpalony tłum. I tak jak niedawno na trybunach zupełnie nie chodzi o cel przedsięwzięcia (meczu czy polityki). Chodzi o to, żeby wyzwać przeciwników od zdrajców, a najlepiej morderców. ●

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

ŚWIAT

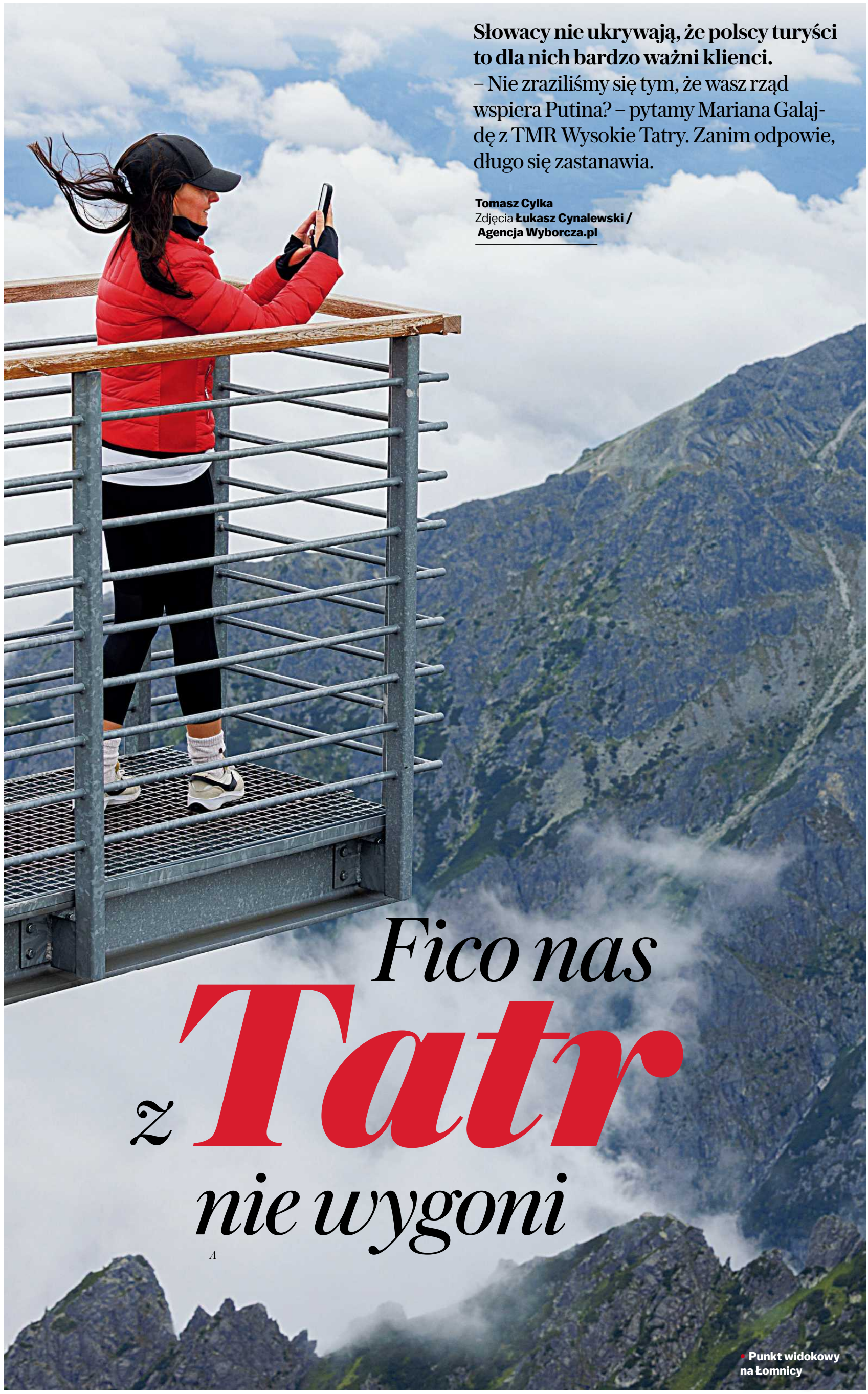

Fico nas z Tatr nie wygoni

Słowacy nie ukrywają, że polscy turyści to dla nich bardzo ważni klienci. – Nie zraziliśmy się tym, że wasz rząd wspiera Putina? – pytamy Mariana Galajdę z TMR Wysokie Tatry. Zanim odpowie, długo się zastanawia.

Tomasz Cylka
Zdjęcia **Łukasz Cynalewski / Agencja Wyborcza.pl**

Punkt widokowy na Łomnicy

eprasa.pl 9a923e079a

Wystarczy długi weekend sierpniowy, żeby wszystkie media w Polsce pisały o tłumach na szlakach tatrzańskich. Kochamy te góry tak bardzo, że nic nas nie zraża przed przyjazdem – nawet gigantyczne kolejki przed wejściem na Giewont, Świnicę czy Rysy, by o kilku godzinach stania do wagonika na Kasprowy Wierch już nie wspominać.

Na Słowacji jest spokojniej, ale tylko trochę. Na Rysy i Krywań też idą tłumy. Luźniej jest w Tatrach Zachodnich, gdzie nawet na Orlej Perci jest niemal pusto.

– Mamy tych Tatr trochę więcej niż po polskiej stronie, dlatego turyści rozchodzą się na poszczególne tereny. Ale z każdym rokiem gości przybywa. Cieszymy się, bo pandemia wszystko wyhamowała, ale na szczęście turystyka się odbudowała.

W końcu wejście na Rysy, najwyższy polski szczyt ze słowackim wierzchołkiem, u nas też bije rekordy. Trzeba trochę postać w kolejce do łańcucha przed Chatą pod Rysami – mówi Marian Galajda ze spółki TMR Wysokie Tatry, która zarządza m.in. popularnymi wyciągami w Tatrach Wysokich i Niskich i kilkoma hotelami. Nie będzie żadnej przesady powiedzieć, że Tatry zna jak własną kieszeń.

Rado Jancosek: O wojnie tu raczej nie rozmawiamy. Nie dyskutujemy, czy polityka naszego rządu jest właściwa, bo my chcemy przede wszystkim promować nasz region

Familia to nie jest rodzinny biznes

Przyjechaliśmy z fotoreporterem w słowackie Tatry w szczycie letniego sezonu. Chcieliśmy się przekonać, czy proputinowska polityka nacjonalistycznego rządu Roberta Ficy ma wpływ na górską turystykę. Czy Polki i Polacy nie zrazili się do południowych sąsiadów?

Na początek zatrzymujemy się w Nowym Smokowcu (słow. Nový Smokovec, ok. 985 m n.p.m.) w samym sercu Tatr Wysokich. Przed nami wielki masyw Sławkowskiego Szczytu (Slavkovský štít, 2453 m n.p.m.). To jeden z tych mniej popularnych szczytów. Nie każdemu chce się wchodzić do góry pięć godzin, by tą samą drogą schodzić cztery. Ani to najwyższe wzniesienie, ani nie ma trudności, jak na Orlej Perci. Tak naprawdę to góra dla prawdziwych pasjonatów. Patrzymy na nią z okien naszego pensjonatu.

Apartmanovy Dom Familia Smokovec wbrew nazwie to nie jest rodzinny biznes. – Nazwa nawiązuje do tego, że jesteśmy nastawieni przede wszystkim na rodziny. Nieważne, jak liczne, każdą przyjmiemy ze słowacką gościnnością – opowiada Zuzanna, recepcjonistka.

Pytamy, co to znaczy słowacka gościnność i czym się różni od polskiej – tej góralskiej? Ale dziewczyna tylko się uśmiecha: – Po prostu, robimy wszystko, by turyści byli zadowoleni.

To nie wojna Polaków wystraszyła

Nasza rozmówczyni przyznaje, że, wyłączając Słowaków, to właśnie Polaków przyjeżdża najwięcej. Ale zastrzega: – Nie ma się co oszukiwać: kiedyś było to o wiele więcej. Zostawali u nas na tydzień, a nawet dłużej. Teraz te pobyty się znacznie skróciły – zauważa Zuzanna. Z czego to wynika?

– Trudno się o tym mówi, ale tak naprawdę chodzi o ceny. Poszły w górę, gdy przyjęliśmy euro. Nikt się nie spodziewał, że tak to wyjdzie, ale matematyki nie oszukamy.

Staliśmy się dla was mniej atrakcyjni, niż gdy były korony – zauważa.

– To nas pani straszy. W Polsce w to graj niektórym partiom politycznym. Ta narracja, że wszystko, co złe, to przez Unię i euro, jest u was bardzo żywa? – pytamy.

– Nie o straszenie chodzi, ale o fakty. Wszystkie ceny zaokrąglano w górę. Nie wiemy, z czego to wynika, ale rachunek jest prosty. Zrobiło się u nas drożej.

Wystarczy, że euro szybuje i Polakom się nie opłaca. Wolą przyjechać z Zakopanego na jeden dzień i wracają do siebie, nawet wliczając dojazd i parkingi się opłaca.

U nas postój też podrożał. Za cały dzień to już wydatek od 10 do 15 euro – zauważa Zuzanna. W przeliczeniu wychodzi to ok. 43 do 70 zł. Dla porównania całodzienny parking w Palenicy Białczańskiej przed Morskim Okiem kosztuje najtaniej 39 zł, ale w popularne weekendy drożeje.

Natomiast za apartament typu studio, ok. 35 m kw. z kuchnią i łazienką, płacimy niewiele ponad 90 euro. To wychodzi za dobę niecałe 400 zł na dwie osoby. Zatem ceny na pewno porównywalne są z Zakopanem czy Kościeliskiem i nie jest to jakaś znacząca różnica.

Skąd więc takie tłumaczenia Słowaków? Pytamy o wojnę w Ukrainie. Może to też ma wpływ?

– Ceny poszły w górę nie trzy lata temu, gdy wybuchła wojna, ale już ponad 10 lat temu. Związek jest oczywisty – mówi Zuzanna i przypomina, że Słowacja przyjęła euro już w 2009 roku. – Wojna w Ukrainie nie miała na to żadnego wpływu. Polityka to nie turystyka i całe szczęście – kończy Zuzanna.

Gości z Azji tutaj nie ma

Z Marianem Galajdą spotykamy się w Tatrzańskiej Łomnicy (Tatranská Lomnica, ok. 900 m n.p.m.) – to druga z popularnych miejscowości u naszych południowych sąsiadów. Jeszcze kilka lat temu startowała stąd w górę stara kolej gondolowa, ale dziś działa już nowoczesny wyciąg, który zwłaszcza zimą bije rekordy popularności z uwagi na liczne trasy zjazdowe dla narciarzy.

– Jeśli chodzi o turystykę, to 50 proc. gości w Tatrach Wysokich stanowią sami Słowacy. Drugą połowę otwierają Polacy i Węgrzy, do tego dochodzą Niemcy. Przed wojną przyjeżdżali jeszcze Rosjanie i Ukraińcy, ale dziś zostali tylko ci drudzy, choć w zdecydowanej mniejszości. Niestety, pół żartem pół serio z biznesowego punktu widzenia zazdrościmy Zakopanemu, że przyciąga turystów z Azji. U nas na razie jest ich niewielu – mówi Galajda, pokazując z krzesełka najważniejsze szczyty Tatr i wskazuje palcem na stare wagoniki obok naszego wyciągu: – Stara gondola wciąż nam służy do przewozu towarów – mówi.

Na stacji Start (1160 m n.p.m.) przesiadamy się do nowoczesnego wagonika, który wywiezie nas nad Łomnicki Staw (Skalnaté pleso, ok. 1750 m n.p.m.). Pytamy naszego przewodnika, czy to najbardziej popularne miejsce, które z racji dostępu z kolejki, można porównać z Kasprowym Wierchem. – Coś w tym jest, choć wasz Kasprowy jest wyższy – zauważa. Faktycznie to ponad 200 metrów różnicy w pionie.

Za bardzo kochamy Tatry

Przy kawie nad Łomnickim Stawem pytamy naszego rozmówcę wprost o politykę i turystykę. – My Polacy, nie zraziliśmy się tym, że wasz rząd otwarcie wspiera Putina? – zagadujemy. Marian Galajda zanim odpowie, długo się zastanawia.

– To nie jest taka prosta sprawa – odpowiada po chwili. – Ale jeśli myślicie, że np. poglądy i zachowania Roberta Ficy [słowackiego premiera] mogą mieć wpływ na spadek liczby turystów w słowackich Tatrach, to myślę, że jesteście w błędzie.

I my, i wy, zbyt kochamy Tatry, by polityka nam w tym przeszkodziła. Góry potrafią ludzi łączyć.

Spójrzcie np., jak wielu waszych rodaków wchodzi na Rysy od słowackiej strony. Owszem, jest tu łatwiej niż od Morskiego Oka, ale te liczby wciąż rosną. Opieramy się polityce – odpowiada Galajda. W jego ocenie nawet w 2022 roku, jeśli turystów ubyło, to tylko zza wschodniej granicy.

– Mamy w Popradzie lotnisko, gdzie można przylecieć np. z Londynu. Brytyjczycy nadal nas odwiedzają, niczego się nie obawiają.

Był może taki moment, zaraz po samym wybuchu wojny, gdy ludzie dopytywali, czy u nas na pewno bezpiecznie. Ale to była chwila, dziś jest OK – tłumaczy.

Domek na Słowacji, impreza w Zakopanem

Z Łomnickiego Stawu na szczyt Łomnicy (2634 m n.p.m.) wjeżdża wagonik następ-

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

Marian Galajda: Połowę gości w Tatrach Wysokich stanowią Słowacy. Drugą otwierają Polacy i Węgrzy, do tego dochodzą Niemcy. Przed wojną przyjeżdżali jeszcze Rosjanie i Ukraińcy

Zuzanna: Wystarczy, że euro szybuje i Polakom się nie opłaca. Wolą przyjechać z Zakopanego na jeden dzień i wracają do siebie. Nawet wliczając dojazd i parkingi to się kalkuluje

nej kolejki. To już nie lada atrakcja i też odpowiednio kosztowna – tylko ten odcinek kosztuje aż 59 euro. Do wagonika, kursującego na drugi po Gerlachu szczyt pod względem wysokości, wchodzi jedynie 15 osób. Udało nam się, ale gdy pogoda jest idealna zdobycie biletu stanowi nie lada wyzwanie – Kasprowy przy tym to betka.

Dla mnie to niesamowite przeżycie, bo trzy lata temu na Łomnicę wchodziłem z przyjaciółmi i znajomymi przewodnikami – Edwardem Lichotą, wicenaczelnikiem TOPR oraz znanym himalaistą Ryszardem Gajewskim.

– W ostatnich latach wiele na Słowacji się zmienia, jeszcze kilka lat temu tu było pusto, zero atrakcji.

Mam znajomego, który kupił na Słowacji domek, by odpoczywać w ciszy, ale na imprezy potrafił zamówić taksówkę do Zakopanego. – mówi Gajewski.

Na szczycie Łomnicy słyszymy sporo rozmów po ukraińsku, ale goście zza wschodniej granicy nie chcą z nami rozmawiać. Uciekają przed dyktafonem i aparatem fotograficznym.

Po 50 minutach zjeżdżamy na dół.
– Wojna nie ma wpływu na turystykę. I całe szczęście – podsumowuje Marian Galajda, podobnie jak Zuzanna z Nowego Smokowca. A przysłuchujący się naszej rozmowie jeden z turystów, który czeka na wejście do wagonika, dodaje: – Góry są tak fascynujące, że polityka tu nie dociera, a jeśli już to w bardzo szczątkowej formie.

Dlatego nawet Fico, przyjaciel Putina, ani Słowaków, ani Polaków nie wystraszy. Za bardzo kochamy Tatry – zaznacza, unoszą kciuk w górę.

Słowacja górami stoi

Słowacja to niewielkie państwo. Żyje tu zaledwie ok. 5,5 mln mieszkańców – to niemal tyle, co samo województwo mazowieckie. Ale góry zajmują znaczną część powierzchni kraju. Stanową ponad 60 proc. terytorium i są to głównie pasma Karpat Zachodnich i Wschodnich.

Z Tatr ruszamy zatem na wschód w stronę Ukrainy. Naszym celem były Bieszczady, ale potężny niż genueński zweryfikował nasze plany. Zamiast iść na Krzemieniec, gdzie spotykają się granice Polski, Słowacji oraz Ukrainy zatrzymujemy się w Bardziejowie (Bardejov) w kraju preszowskim u stóp Beskidu Niskiego. To jedno z najstarszych miast słowackich, wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Zabytkowe stare miasto wkomponowane jest w górski pejzaż, a na południowo-wschodnim zboczu fliszowego Masywu Busowej w spokojnej dolinie Potoku Bardiowskiego działa Uzdrowisko Bardiów (Bardejovské kúpele).

– Można powiedzieć, że jesteśmy takim odpowiednikiem waszej Krynicy-Zdroju, choć oczywiście nie lubimy takich porównań – mówi Rado Jancosek z Regionalnej Organizacji Turystycznej w Bardziejowie, której podlega część uzdrowiskowa. Położenie geograficzne, mikroklimat i wody mineralne, stwarzają warunki leczenia schorzeń dróg oddechowych oraz układu krwionośnego i pokarmowego, a także objawów niewydolności fizycznej i psychicznej.

Przyjeżdżała tu cesarzowa Sissi

Nasz rozmówca z dumą podkreśla, że pierwsze wzmianki o uzdrowisku pochodzą z połowy XIII wieku, a 200 lat później rozpoczęto regularne leczenie kuracjuszy.

– Przyjeżdżała tu m.in. Maria Luiza, małżonka samego Napoleona, rosyjski car Aleksander I i cesarzowa Elżbieta, małżonka Franciszka Józefa I, sławna Sissi, znana ostatnio z popularnego serialu – uśmiecha się nasz rozmówca, pokładając w produkcji Netflixa szansę na przyciągnięcie kuracjuszy, bo ostatnio nie jest z tym najlepiej.

Dlaczego? Rado Jancosek powtarza niemal to samo, co Zuzanna z Nowego Smokowca. – Wiem, że dla was to trudne do zrozumienia, ale gdy wprowadzono euro, ceny poszły w górę.

Pobyt w uzdrowisku podrożał o około 20 procent, a to już znacząca różnica. Staliśmy się mniej atrakcyjni, m.in. dla was, Polaków. Robimy, co możemy, ale nie jest łatwo – przyznaje.

Jancosek zastrzega od razu, że nie chce wchodzić w politykę. Widzi, jak Bardziejów zmienił się w ostatnich latach, także dzięki Unii Europejskiej. Nie dostrzega też związku między spadkiem turystów i kuracjuszy a wojną w Ukrainie. W linii prostej do granicy jest stąd ok. 130 km.

– O wojnie tu raczej nie rozmawiamy. Nie dyskutujemy, czy polityka naszego rządu jest właściwa, bo my chcemy przede wszystkim promować nasz region.

Wiem, że to nie wojna jest przyczyną, że gości mamy nieco mniej. To prosty rachunek ekonomiczny. Jeśli mamy ofertę tańszą i droższą przez kurs euro, wybieramy tę tańszą – wskazuje Jancoszek, ale dodaje: – Będziemy zachwalać Bardziejów i okolice, zapraszać do sanatoriów. Mamy się czym chwalić i nie z takich kłopotów wychodziliśmy – podsumowuje.

Dwa słowackie regiony – Tatry Wysokie i Beskid Niski – ale nastroje podobne. To nie wojna za wschodnią granicą jest przyczyną spadku liczby turystów, tylko przyjęcie euro w 2009 roku. O polityce rozmawia się niechętnie, a premier Fico jeżdżący do Moskwy to temat tabu. O ile jednak na węgierskiej prowincji ludzie chętnie chwalą Orbana, to tu raczej zwycięża taktyka przemilczania. Tak jest Słowakom lepiej.

The Eastern Frontier Initiative

• **Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmacniania europejskiej demokracji.
• Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellingcat.
• Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

eprasa.pl 9a923e079a

• Palestyńczycy czekają na cokolwiek do jedzenia od organizacji charytatywnej. Gaza, 16 sierpnia 2025 r.

FOT. ANADOLU VIA GETTY IMAGES

WOLNO GŁODZIĆ

Odcięcie podbijanych terytoriów od dostaw żywności od dawna wpisuje się w strategie wojskowe i polityczne. **Dlaczego tak trudno za to ukarać?**

Robert Stefanicki

Indyjski ekonomista i laureat Nagrody Nobla Amartya Sen już kilkadziesiąt lat temu zauważył, że klęski głodu zawsze mają podłoże polityczne i ekonomiczne, a najprostszym sposobem ich analizy jest przyjrzenie się cenom podstawowych produktów żywnościowych.

Te na przykład podczas wielkiego głodu w Irlandii w połowie XIX wieku wzrosły trzy do pięciu razy, w Bengalu w 1943 r. nastąpił dziesięciokrotny wzrost, a w Korei Północnej w latach 90. XX w. ryż podrożał dwunastokrotnie. W każdym z tych przypadków z głodu zmarło co najmniej milion osób.

Ziemniaki na sztuki

Wzrost cen w Strefie Gazy nie ma precedensu w historii. 25-kilogramowy worek mąki, który przed wojną kosztował 35 szekli, na początku sierpnia sprzedawano za 625 szekli, a kilogram pomidorów za 100 szekli, czyli 50 razy więcej niż przed wojną. To nie wyjątki – według Izby Handlowej Gazy, od marca, kiedy to Izrael po nieudanych negocjacjach z Hamasem nałożył ścisłą blokadę dostaw, ceny żywności wzrosły o 5 tysięcy procent w ujęciu rocznym. Jedzenie stało się luksusem, na który mieszkańców Gazy nie stać. Najtańsze warzywa – ziemniaki – kupują na sztuki. Bywa, że nawet ciężko pracujący lekarze nie mogą sobie pozwolić na choćby jeden posiłek dziennie.

Alarmy słychać od wybuchu wojny. W listopadzie 2023 r. Human Rights Watch oskarżył rząd Izraela o wykorzystywanie głodu jako broni, wskazując na umyślnie utrudnianie dostaw wody, żywności i benzyny. Do dziś sytuacja z niebezpiecznej zmieniła się w tragiczną.

Komitet ds. Przeglądu Głodu, złożony z czołowych organizacji humanitarnych, stosuje Zintegrowaną Klasyfikację Faz Bezpieczeństwa Żywnościowego (IPC). W założeniu miała ona działać jako system wczesnego ostrzegania, umożliwiający rozpoczęcie pomocy, zanim ludzie zaczną głodować.

Według IPC, aby ogłosić klęskę głodu na jakimś obszarze, co najmniej 20 proc. gospodarstw domowych i co najmniej 30 proc. dzieci musi być dotkniętych skrajnym niedożywieniem, a dwie osoby na każde 10 tys. umierają każdego dnia z powodu głodu, niedożywienia lub powodowanych tym chorób.

Gaza przekracza już te progi. Według ministerstwa zdrowia do 17 sierpnia z głodu zmarło 258 osób, w tym 110 dzieci.

Cztery punkty zamiast czterystu

Wciśnięty między Izrael i Egipt pasek suchej ziemi wielkości Krakowa, zamieszkały przez 2,2 mln ludzi, nigdy nie był samowystarczalny. Po przejęciu władzy przez Hamas w 2007 r. sąsiedzi nałożyli blokady granic i gospodarka Strefy Gazy podupadła.

Połowa siły roboczej nie miała pracy, ponad 60 proc. populacji było zależne od pomocy zagranicznej. ONZ rozdawała żywność, prowadziła sieć klinik oraz szkoły, w których uczyło się 300 tys. dzieci.

Mimo to Gaza potrafiła sama zadbać o przynajmniej niektóre podstawowe potrzeby. Dwie piąte jej terytorium zajmowały grunty rolne,

eprasa.pl 9a923e079a

które dostarczały wystarczającą ilość nabiału, drobiu, owoców i warzyw, aby zaspokoić większość popytu. Na lokalne potrzeby działały małe fabryki i warsztaty. Rząd Hamasu był nieudolny i represyjny, ale zapewniał pewien porządek.

Po prawie dwóch latach wojny prawie nic z tego nie pozostało. Do Gazy dociera o wiele za mało żywności i nie ma efektywnego mechanizmu dystrybucji tego, co udaje się wwieźć. Izrael, który kontroluje ponad 80 proc. obszaru Strefy i jej granice, w maju odebrał agencjom ONZ możliwość karmienia Palestyńczyków i przekazał je prywatnej firmie amerykańskiej.

– Wcześniej było 400 punktów wydawania paczek, teraz są tylko cztery, zazwyczaj funkcjonują dwa dziennie – mówi Joanna Lenartowicz, koordynatorka Polskiej Akcji Humanitarnej na Bliskim Wschodzie.

– Ludzie są w stanie do nich dotrzeć po kilku godzinach marszu, potem przez kilka godzin stoją w kolejce i jeszcze muszą walczyć, by coś dostać. Wygrywają najsilniejsi. Do tego taka wyprawa wiąże się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Codziennie pojawiają się doniesienia świadków, lekarzy oraz nagrania wideo, dowodzące, że izraelskie wojsko strzela do Palestyńczyków w pobliżu lub w drodze do miejsc dystrybucji pomocy. W ten sposób zginęło już ponad 1,4 tys. osób.

Rząd Izraela wszystkiemu zaprzecza. Zrzuca winę na Hamas, który jego zdaniem kontroluje populację Gazy poprzez ograniczanie dostaw żywności. Jest w tym ziarno prawdy: część pomocy przejmują gangi, na drożyźnie zarabiają spekulanci, Hamas pobiera od nich podatki. Gdyby jednak Izrael chciał pozbawić wroga możliwości wykorzystywania niedoborów, jest jeden oczywisty sposób: zalanie Strefy Gazy żywnością, co obniżyłoby ceny.

Izrael nie musiałby za to nawet płacić, bo chętnych do karmienia Palestyńczyków nie brakuje, trzeba im tylko pozwolić. Taki ruch nie dość, że wytrąciłby oręż Hamasowi, to jeszcze poprawiłby katastrofalny wizerunek rządu Benjamina Netanjahu w świecie.

Redukcja do minimum, a potem dalej

Zgodnie ze Statutem Rzymskim Międzynarodowego Trybunału Karnego, celowe głodzenie ludności cywilnej poprzez pozbawianie jej dóbr niezbędnych do przetrwania, w tym celowe utrudnianie dostaw pomocy humanitarnej stanowi zbrodnię wojenną.

Lecz nie jest to łatwe do udowodnienia. Tylko kiedy z głodu umierają więźniowie, da się jednoznacznie przypisać winę strażnikom i ich przełożonym (w izraelskich więzieniach były i takie skandaliczne zdarzenia). W innych przypadkach obrona mogłaby argumentować, że ofiara nie skorzystała z możliwości znalezienia pożywienia lub że mogłaby przeżyć, gdyby nie inne czynniki, na które oskarżony nie miał wpływu. Izraelczycy wskazują, że Gaza nie głodowałaby, gdyby Hamas nie napadł na nich 7 października prowokując trwającą do dziś wojnę.

Głodzący lubi winić głodzonego. Prawie dwa wieki temu w Irlandii miał miejsce „głód ziemniaczany". Bezpośrednią przyczyną było rozprzestrzenienie się grzyba, który zniszczył uprawy rośliny będącej podstawą diety na wyspie. Anglicy obwiniali Irlandczyków, wskazując na ich nadmierne uzależnienie od ziemniaków, lenistwo i posiadanie zbyt wielu dzieci.

Irlandczycy ukuli wówczas powiedzenie: „Bóg zesłał na nas zarazę ziemniaczaną, ale to Anglicy dali nam głód".

Dziś nie ma wątpliwości, że prawdziwą przyczyną była polityka rządu angielskiego, który skolonizował Irlandię i przejął jej zasoby, i narzuciwszy niesprawiedliwe przepisy, pozbawił tubylców praw, dochodów i bezpieczeństwa żywnościowego.

Izrael po wygraniu wojny z państwami arabskimi w 1948 r. wysiedlił 800 tys. Palestyńczyków, spalił ponad 530 wiosek i zniszczył miliony drzew oliwnych, które zostały zastąpione lasami sosnowymi. W ostatnich dwóch dekadach nasiliło się niszczenie gajów oliwnych na terytoriach okupowanych przez uzbrojonych osadników, ich łupem pada 5-10 tysięcy drzew rocznie.

W Strefie Gazy Izrael dusi rolnictwo ograniczając dostawy wody i niszcząc farmy pod pretekstem walki z terroryzmem. Pierwszą blokadę granic Gazy nałożył po przejęciu władzy przez Hamas. Dokumenty ujawnione po batalii prawnej na wniosek izraelskiej organizacji pozarządowej ujawniły, że przez kolejne lata prowadził politykę ograniczania ilości żywności, jaką dopuszczał do Gazy, do poziomu „minimum egzystencji". W tym roku padła nawet ta granica przyzwoitości.

Sudan, Haiti, Mali

Powtarzające się klęski głodu są haniebną porażką społeczności międzynarodowej. Żywności na świecie nie brakuje, lecz jej dystrybucja jest skrajnie nierównomierna. Nie umiemy też pociągnąć winnych do odpowiedzialności.

Raport zatytułowany „Hot spoty głodu", opublikowany w czerwcu przez FAO oraz Światowy Program Żywnościowy (WFP), wskazuje pięć krajów, które w nadchodzących miesiącach może wystąpić śmierć głodowa, jeśli nie zostaną podjęte pilne działania humanitarne. Oprócz Palestyny są to Sudan, Sudan Południowy, Haiti i Mali.

W żadnym z tych miejsc nie jest to wynik samych tylko klęsk żywiołowych ani zmian klimatu. Głód nigdy nie jest wyłącznie winą natury. W każdym przypadku, od co najmniej stulecia, jego zapalnikiem są wojny – także te przeciwko własnemu narodowi, prowadzone przez skorumpowanych satrapów lub chciwych watażków – albo zbrodnicze ideologie, które prowadzą do zniszczenia zasiewów i stad bydła, albo uniemożliwiają produkcję rolną i handel.

Sytuację można też pogorszyć niechcący. Dobrym przykładem jest Somalia, gdzie odnotowano klęskę głodu w latach 2011–12. Jednym z powodów były ograniczenia nałożone przez amerykańską ustawę Patriot Act z 2001 r. Prawo, którego celem była kryminalizacja wsparcia dla jakiejkolwiek grupy terrorystycznej, sprawiło, że niemożliwe było działanie organizacji pomocowych na terenie, gdzie takie grupy działają, bez ryzyka oskarżenia w amerykańskim sądzie.

Szczególnie szkodliwe były restrykcje dotyczące transferów pieniężnych. Przekazy od diaspory stanowią co najmniej 30 proc. dochodu narodowego Somalii, a w obliczu braku normalnego systemu bankowego, fundusze są przekazywane za pośrednictwem firm korzystających z umownego systemu hawala. Od listopada 2001, kiedy USA zamknęły al-Barakaat, największą z tych firm, na podstawie bezpodstawnych zarzutów o jej udział w finansowaniu terroryzmu, banki odmawiały współpracy. W efekcie emigranci somalijscy nie byli w stanie poratować swoich krewnych w kraju.

Dyskryminacja rasowa w żywieniu

Kryminalizację głodzenia wroga można było zapisać w prawie międzynarodowym zaraz po II wojnie światowej. Dla nazistów głód był bowiem najskuteczniejszym narzędziem masowych mordów. Zaczęli od radzieckich jeńców wojennych: w ciągu czterech miesięcy po inwazji na ZSRR z głodu zmarło ich 1,3 miliona, do końca wojny drugie tyle. Milion mieszkańców zmarło w oblężonym Leningradzie, niewiele mniej w Kijowie i Charkowie. 80 tys. Żydów zagłodzono w getcie warszawskim.

Rudolf Höss, zeznając przed Trybunałem Norymberskim, oszacował, że w Auschwitz pod jego komendą zamordowano 2,5 mln osób, a kolejne 500 tys. zmarło z głodu i chorób. Niektórzy historycy twierdzą, że Niemcy wzięli się za aktywną eksterminację więźniów w obozach koncentracyjnych dlatego, że nie udawało się im dostatecznie szybko ich zagłodzić.

Ojciec badań nad ludobójstwem, Rafał Lemkin, książkę „Rządy państw Osi w okupowanej Europie" (1944) rozpoczął od opisu „dyskryminacji rasowej w żywieniu", którą naziści wymyślili w celu fizycznego osłabienia pewnych grup.

Proporcje podstawowych składników odżywczych przydzielano w zależności od narodowości; w przypadku węglowodanów było to od 100 proc. dla Niemców, 76 proc. dla Polaków, 38 proc. dla Greków i 27 proc. dla Żydów.

Jednak prokuratorzy w Norymberdze zrezygnowali ze stawiania zarzutu doprowadzenia do śmierci głodowej. Nie było na to paragrafu. Prawo wojenne nie zabraniało głodzenia, np. by zmusić oblężone miasto do poddania się, legalne było też blokowanie całego kraju.

Karta Norymberska, precyzująca sposób przeprowadzenia nadchodzących procesów, pomimo nalegań Lemkina nie uznała też ludobójstwa za przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego, za to w artykule 6. objęła, jako zbrodnie przeciwko ludzkości, „czyny nieludzkie", „eksterminację" i „prześladowania", co umożliwiło okrężną drogą ściganie sprawców głodu.

Winy aliantów

Jak zauważył Alex de Vaal w książce „Mass Starvation: The History and Future of Famine", gdyby twórcy Karty uznali głód za osobne przestępstwo, alianci musieliby wytłumaczyć się z własnych działań.

25-kilogramowy worek mąki, który przed wojną kosztował w Gazie 35 szekli, na początku sierpnia sprzedawano za 625 szekli

Wielka Brytania prowadziła blokadę Niemiec podczas I wojny światowej, w wyniku której około 750 tys. niemieckich cywilów zmarło z głodu. Blokada ta była utrzymywana (i zaostrzana) przez osiem miesięcy po zawieszeniu broni, aby zmusić Niemcy do podpisania traktatu wersalskiego.

W 1942 r. Churchill ustąpił niechętnie i minimalnie wobec presji, by znieść blokadę Grecji – wydarzenie to doprowadziło do powstania Oksfordzkiego Komitetu Pomocy Głodowi, znanego obecnie jako Oxfam. W następnym roku rząd w Londynie uznał wyżywienie Wysp Brytyjskich za priorytet ważniejszy niż zapobieganie głodowi w skolonizowanym Bengalu, co pochłonęło tam trzy miliony ofiar. Zaminowanie japońskich portów z powietrza w 1945 r. Amerykanie wymownie nazwali Operacją Głód.

Wśród aliantów była też stalinowska Rosja, która w latach 1932-33, wymuszając kolektywizację rolnictwa i obowiązkowe dostawy, zagłodziła miliony Ukraińców. Ten scenariusz, w jeszcze bardziej szaleńczej formie, powtórzyły potem maoistowskie Chiny podczas Wielkiego Skoku Naprzód.

Dopiero w 1977 r., na wniosek Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, dodano nowe postanowienia do Konwencji Genewskich z 1949 r.: „głodzenie ludności cywilnej jako metoda prowadzenia wojny jest zabronione". Jednak, jak pisze de Vaal, ta klauzula jest ograniczona. Po pierwsze, ma zastosowanie tylko w konfliktach międzynarodowych, nie w wojnach domowych. Po drugie, obowiązek stron walczących, aby zezwolić na pomoc humanitarną wygasa w obliczu „wojskowej konieczności" blokady. W 1998 r., podczas negocjacji treści Statutu Rzymskiego, kubańska propozycja zakazu blokad została odrzucona.

Izrael zresztą nie jest sygnatariuszem ani protokołów dodatkowych do Konwencji Genewskich, ani statutu MTK.

Kolejna okazja do uznania głodzenia za przestępstwo nadarzyła się wraz z powołaniem w 2006 r. sądu, który miał osądzić przywódców Czerwonych Khmerów, odpowiedzialnych za zamordowanie w ten sposób ponad miliona Kambodżan w latach 70. Jednak prokuratorzy poszli tą samą drogą, co ich poprzednicy w Norymberdze – i włączyli przestępstwa związane z głodem do innych zarzutów.

Długie skutki głodu

Cierpienie mieszkańców Gazy będzie trwało przez pokolenia, bo skutków długotrwałego niedożywienia nie da się szybko zniwelować, zwłaszcza u dzieci. W reakcji na brak pożywienia organizm przełącza się w tryb przetrwania. Najpierw wyłącza funkcje mniej ważne: układ trawienny zwalnia, układ rozrodczy (jajniki i jądra) może się kurczyć, wzrost i rozwój hamują. Gdy ciało zużyje wszystkie zgromadzone węglowodany, zaczyna spalać rezerwy tłuszczu i szukać energii w narządach, mięśniach i kościach. Spada tętno, ciśnienie krwi, temperatura ciała. Złamania kości są powszechne u dzieci w tym stanie. Rany nie goją się prawidłowo, ponieważ organizm nie ma wystarczającej ilości białka do odbudowy tkanki. Niedożywienie osłabia również układ odpornościowy dzieci, zwiększając ryzyko infekcji, takich jak zapalenie płuc, biegunka, odra i sepsa. To one często są przyczyną zgonów.

Lekarze pracujący w Gazie mówią, że głodni nie potrafią się skoncentrować i nie mają energii, by wykonywać podstawowe czynności, takie jak wstawanie z łóżka czy opieka nad dziećmi. Kobiety czują się przygnębione płaczem swoich dzieci. Te w ciąży lub karmiące piersią są szczególnie narażone: nie mogą przybrać na wadze, wzrasta ryzyko poronienia lub martwego urodzenia.

Niedożywione dzieci są drażliwe, ospałe, apatyczne. Często wydają się jak głuche lub niewidome i dopiero gdy dostaną jeść, wracają do zmysłów. Ale nie wystarczy im zrzucić z powietrza pudełka z jedzeniem, a potem oczekiwać, że urosną.

– U zdrowych dorosłych niedożywienie jest odwracalne, najwyżej wypadną im zęby czy włosy, będą mieć egzemę skórną, świerzb, z braku higieny – mówi nam Małgorzata Olasińska – Chart z Polskiej Misji Medycznej. – Dzieciom może być trudniej odwrócić zatrzymanie w rozwoju fizycznym, umysłowym i społecznym. Te powyżej piątego roku życia to nadrobią, ale muszą dostać zbilansowaną dietę. Najmłodszym, które pozostają na przykład przez połowę swojego życia w ostrym niedożywieniu, będzie bardzo trudno osiągnąć właściwy wzrost i wagę. Możliwości intelektualne też będą mieć obniżone.

Badania przeprowadzone w Chinach wykazały, że dzieci poczęte podczas Wielkiego Skoku Naprzód w latach 1959–60 mają więcej problemów ze zdrowiem fizycznym i psychicznym oraz niższe zdolności poznawcze niż dzieci poczęte przed lub po głodzie. Podobne dowody znaleźli badacze klęsk głodu w Irlandii i w Holandii pod koniec II wojny. Dzieci, które doświadczyły niedożywienia, w późniejszym wieku mają zwiększone ryzyko cukrzycy, chorób serca, nadciśnienia i otyłości, a także niedoborów mięśniowo-szkieletowych. Są również bardziej narażone na lęki, depresję, zespół stresu pourazowego i choroby psychiczne, takie jak schizofrenia.

„Niedożywienie nie tylko ogranicza rozwój poznawczy, ale wiąże się również ze słabymi wynikami w nauce, niskim ilorazem inteligencji, brakiem dochodów w późniejszym życiu i niemożnością utrzymania pracy z powodu problemów behawioralnych"

– powiedział magazynowi „Time" Abyan Ahmed, doradca ds. żywienia w organizacji humanitarnej CARE. „Wprowadza to taką osobę w błędne koło ubóstwa, które może prowadzić do niedożywienia jej dzieci".

Cormac Ó Gráda, irlandzki historyk zajmujący się historią głodu, wskazuje na jeszcze inny jego efekt długoterminowy: uporczywa pamięć o tragedii. Irlandczycy i Hindusi nie zapomnieli tragediach z ubiegłych wieków. Pamięć ta wciąż wpływa na relacje tych narodów z Wielką Brytanią, tak jak pamięć o hołodomorze stanowiła fundament wrogości Ukraińców wobec Moskwy jeszcze przed inwazją Putina. Izraelowi, czy wręcz całemu narodowi żydowskiemu, trudno będzie odpokutować hańbę, w jaką wpędził go rząd Netanjahu. ●

eprasa.pl 9a923e079a

KULTURA NAUKA OBYCZAJE

W trakcie jednego życia będziemy wykonywali wiele różnych prac. **I architektura powinna za tym podążać.**

JASNE MIEJSCE DO DŁUGIEGO ŻYCIA

Z **AGNIESZKĄ LABUS,**
ARCHITEKTKĄ, ZAŁOŻYCIELKĄ FUNDACJI LABORATORIUM ARCHITEKTURY 60+
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Przyjrzałam się swojemu osiedlu, na którym chciałabym się zestarzeć. Okolica jest świetna – w pobliżu są sklepy spożywcze, poczta, przychodnia, dom kultury z zajęciami dla seniorów, dużo zieleni. Mało jest za to miejsc do przysiadania, na przykład w drodze ze sklepu do domu. Starsze osoby siadają więc na betonowych śmietnikach albo skrzyniach z piaskiem. Mankamentem są też malutkie kuchnie i łazienki. No i nie ma wind.

AGNIESZKA LABUS*: Generalnie, duża część Polaków wciąż mieszka na osiedlach z „wielkiej płyty", które borykają się z podobnymi problemami.

Budowano je na potęgę w wyżu demograficznym głównie z myślą o rodzinach z małymi dziećmi. Pod względem rozplanowania mieszkań nie były specjalnie przemyślane, choć urbanistycznym – już bardziej. Przedszkole, szkoły, sklepy musiały być blisko. Ważne były też tereny zielone – podwórko, plac zabaw. Dziś, te osiedla tak jak i nasze społeczeństwo się starzeją, jednak ich infrastruktura nie do końca za tym nadąża.

Kiedy je budowano, nie było przepisów regulujących na przykład szerokość drzwi. Obowiązywały tzw. osiemdziesiątki. To o 10 centymetrów za mało, żeby przejechał przez nie wózek albo chodzik. Do dziś zresztą zdarza się, że ludzie montują w łazien-

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

kach węższe drzwi nie zdając sobie sprawy, że to inwestycja w przyszłość.

Kolejna rzecz to wspomniane przez panią windy. Kiedyś instalowano je w budynkach od czwartej kondygnacji wzwyż, co wynikało z ówczesnych przepisów.

Stąd dziś mówi się o „więźniach czwartego piętra”.
– Właśnie. Jako studentka architektury brałam udział w dużym badaniu „Pol – Senior” – we współpracy ze studentami socjologii, przyglądaliśmy się słynnemu budynkowi „Superjednostka” w Katowicach. Każdy z nas miał przeprowadzić pogłębione wywiady z seniorami, którzy tam mieszkali.

Winda była, tyle że zatrzymywała się co drugie piętro, co powodowało, że większość starszych mieszkańców rzadko wychodziła, a jeśli nawet, to nie mieli gdzie usiąść.

Przed wejściem nie było ławki, a w okolicy – toalet, więc seniorzy przed wyjściem z domu nie pili.

Z badań wiemy, że niewystarczające nawadnianie się grozi nie tylko zasłabnięciem, ale też zwiększa ryzyko zachorowania na chorobę Alzheimera.

Dalej, kuchnie były niewielkie i ślepe, a dostępność światła dziennego ma ogromne znaczenie dla naszego funkcjonowania. I jeśli mamy takie predyspozycje, to w ciemnym mieszkaniu, w którym spędza się dużo czasu, ryzyko zachorowania na depresję wzrasta.

Kolejna rzecz – małe łazienki z wannami. Dla wielu osób mających problem z poruszaniem się są one niewygodne, trudno do nich wejść, a jeszcze trudniej z nich wyjść. Lepiej sprawdzają się brodziki.

• „Humanitas” W Deventer w Holandii. Dom, w którym osoby starsze mieszkają razem ze studentami
FOT. MATERIAŁY PRASOWE OŚRODKA MIESZKANIOWO-OPIEKUŃCZEGO HUMANITAS

Nie dziedziczymy długowieczności, dziedziczymy styl życia. I to on razem z otoczeniem, w jakim funkcjonujemy w 80 proc. wpływa na to, jak długo będziemy żyli.

To, co pani opisuje, wciąż jest standardem w wielu mieszkaniach.
– I wystarczy złamać nogę, żeby się przekonać, jak takie z pozoru nieistotne rzeczy mogą nam uprzykrzyć codzienność.

Wrócę jeszcze do klatki schodowej w tamtym budynku. Dużym problemem były ciężkie, metalowe drzwi wejściowe, których starsze osoby często nie miały siły otworzyć. Dziś takie drzwi są zwykle wymieniane, dostają „wspomagacze”, jednak nie wszędzie.

Same klatki schodowe, czy przestrzenie przed budynkiem nie były dostatecznie oświetlone, co groziło upadkiem. Na półpiętrach nie było żadnego murku, niczego na czym można by oprzeć torbę z zakupami albo przysiąść.

W jednej ze starych kamienic widziałam, jak sąsiedzi się skrzyknęli i na każdym półpiętrze postawili krzesło. Przydaje się nie tylko starszym osobom.
– Pamiętam jeszcze z czasów dzieciństwa, a wychowałam się na osiedlu z wielkiej płyty, jak sąsiedzi na tych półpiętrach stawiali doniczki z kwiatami, wieszali obrazki, co dawało też pretekst do pogawędki, budowało wspólnotę. Teraz spotykam się z tym dużo rzadziej.

Badania profesor Barbary Gronostajskiej z Politechniki Wrocławskiej przeprowadzone na osiedlach z wielkiej płyty, m.in. na wrocławskim Szczepinie zwracają uwagę, że mimo, iż jest na nich dużo zieleni i miejsc spacerowych, to jakość chodników pozostawia wiele do życzenia.
– To pokazuje, że to, że coś istnieje, nie oznacza, że spełnia swoją funkcję.

Super, że jest zielone podwórko, ławki, chodniki, ale co, jeśli te chodniki grożą wywróceniem albo uniemożliwiają poruszanie się na wózku, czy o lasce, a ławka nie ma podłokietników?

Dlatego myśląc o architekturze pomyślnego starzenia się, czy też o architekturze zdrowej długowieczności powinniśmy wnikliwie się przyglądać nie temu, czy coś jest, ale czy ludzie z tego korzystają. Przestrzeń może być bardzo dobrze zorganizowana, jednak jakiś bodziec sprawia, że nie zdaje egzaminu.

Na przykład?
– Skwerku z ławkami nie widać z okna. Osoba, która może by i tam poszła, nie wie, czy jej ulubiona sąsiadka czy sąsiad tam są, więc nic jej nie motywuje do wyjścia. A wiemy, że poczucie przynależności do wspólnoty, wsparcie są niezwykle ważne dla naszego samopoczucia i zdrowia, niezależnie od wieku.

Przyznam zresztą, że nie bardzo lubię myśleć o projektowaniu dla seniorów.

Dlaczego?
– Po pierwsze dlatego, że u wielu osób wiek chronologiczny nie pokrywa się z wiekiem biologicznym. Zresztą, jak widzimy w komunikacji miejskiej 80- latka to od razu nasuwa się nam, że to osoba wymagająca wsparcia, trzeba jej ustąpić miejsca, itd. Rzadko przychodzi nam do głowy, że stojący obok 40- może być chory albo mieć jakąś tymczasową niepełnosprawność i takie same potrzeby.

Po drugie, tradycyjny podział demograficzny niewiele nam mówi o tym, jakie style życia, uwarunkowania rodzinne, możliwości finansowe, mieszkaniowe mają ludzie tak, żebyśmy mogli jak najlepiej dopasować do nich daną przestrzeń. Różnią się też miasta, czy sąsiedztwa w danym mieście. W jednych mieszka się „z dziada, pradziada”, ludzie się dobrze znają. Inne są bardziej rotacyjne i tam może być większa potrzeba rozwiązań, które będą na przykład przeciwdziałać samotności.

Zastanawiam się też, na ile konstruktywne w dyskusji o pokoleniach jest ciągłe podkreślanie różnic między nimi.
– Dlatego wolę patrzeć na projektowanie z perspektywy postpokoleniowej, postdemograficznej – to stosunkowo nowy nurt, który odchodzi od sztywnych podziałów wiekowych i tradycyjnych kategorii demograficznych. Skupia się na tym, co nas łączy – jakie wartości, motywacje, style życie – w oderwaniu od wieku chronologicznego.

Wierzę też, że na pomyślne starzenie się pracujemy całe życie. Potwierdza to nauka – nie dziedziczymy długowieczności, tak naprawdę dziedziczymy styl życia. I to on razem z otoczeniem, w jakim funkcjonujemy w 80 proc. wpływa na to, jak długo będziemy żyli. Dlatego zarówno architektura, jak i urbanistyka są tak istotne.

Ale to o czym do tej pory rozmawiałyśmy to działania doraźne. Windy można dobudować. Osiedle można doświetlić. Posadzić drzewa, choć to już dłuższy proces. Trzeba też mieć do tego przestrzeń, a niestety na wielu osiedlach zielone dziedzińce pozamieniano na betonowe parkingi.

Dzięki m.in. barcelońskiemu projektowi „Superblocks” wiemy już to, czego nie wiedzieliśmy, kiedy je stawiano, że regularny dostęp do skrawka zieleni, ograniczenie ruchu kołowego, odpowiednio zaprojektowane trasy piesze i rowerowe wydłużają życie mieszkańców średnio o 200 dni.

Te doraźne działania są potrzebne, ale to co jest ważniejsze to projektowanie nowych osiedli czy innych inwestycji mieszkalnych tak, żeby od początku brać pod uwagę całe nasze życie, różne jego etapy.

Czyli z myślą, żeby służyły nam równie dobrze za 20, 30 i 50 lat?
– I pracowały na rzecz naszego dobrostanu.

Nazywam to „urbanistyką prewencyjną” albo „budownictwem podążającym za cyklem życia”. Ta koncepcja – „lifelong homes”- wywodzi się z Wielkiej Brytanii, gdzie już takie standardy obowiązują. Ale tam ta oferta mieszkaniowa jest bardzo szeroka.

Bo jednocześnie mamy też domy seniora, różne formy wspólnotowego zamieszkania typu „co-housing”, czy domy wielopokoleniowe. I w tę stronę, moim zdaniem, powinniśmy iść, żeby ta oferta była jak najbardziej różnorodna, bo to będzie odpowiadać współczesnym modelom rodzinnym, które ulegają ogromnym przeobrażeniom.

W zeszłym roku jako Fundacja LAB60+ uczestniczyliśmy w badaniach „Mieszkanie na osi czasu” realizowanych przez „Otodom”, które te zmiany obrazują. Poza rodziną nuklearną mamy rodziny patchworkowe, „gniazdowników”, czyli osoby po 30. roku życia, które nadal mieszkają z rodzicami i to niekoniecznie z powodów finansowych, bardzo dużo jest osób samotnych.

Są jeszcze edukacyjni nomadzi, wielopokoleniowi opiekunowie, czy osoby w różnych kryzysach życiowych, jak donosi tegoroczny raport „Otodomu”- „Sensy zmian mieszkaniowych”.

Kobiety żyją dłużej, więc jak mówimy o starości, to najczęściej ma ona twarz starszej kobiety. Wiemy też, że seniorki mają zwykle niższe emerytury, a z drugiej strony – częściej i chętniej angażują się społecznie, towarzysko.

Współczesne budownictwo mieszkalne powinno wszystkie te kwestie uwzględniać. I nie chodzi o to, żeby w mieszkaniach od razu montować uchwyty w łazienkach, czy dostosowywać je wszystkie do starości, czy niepełnosprawności. Bo nie chodzi tylko o starość i niepełnosprawność.

A o co?
– O bardzo różne sytuacje życiowe.

Współczesne mieszkanie powinno być na tyle elastyczne, żeby dało się w nim wydzielić na przykład przestrzeń dla opiekuna, zamontować podnośnik, czy odpowiednie łóżko, ale powinno też brać pod uwagę na przykład to, że coraz więcej osób ma zwierzęta, a nie dzieci.

A także rozwiązywać kwestie „opuszczonego gniazda”. To znaczy, żeby łatwo dało się je przekształcić z mieszkania, w którym żyła na przykład czteroosobowa rodzina w funkcjonalne lokum dla dwóch, czy jednej osoby.

Wiele osób dawny dziecięcy pokój zamienia w „muzeum” albo w składzik.
– A coraz częściej na pokój do pracy, jak pokazuje badanie „Mieszkanie na osi czasu”.

Wiele i wielu z nas będzie musiało albo będzie chciało pracować na emeryturze, więc to miejsce do pracy też jest takie trochę bez wieku.
– Absolutnie, tak. W ogóle powinniśmy chcieć pracować, czy uczyć się jak najdłużej. I to nie jest tylko kwestia finansów, ale właśnie długości życia. To, że jesteśmy aktywni, mamy cele, angażujemy się, oczywiście może nie pełną parą, jak to bywało wcześniej,

eprasa.pl 9a923e079a

• **TBS-owski kompleks mieszkalny „Ajnfart" w centrum Rybnika. Na dziedzińcu są ławki i siedziska do odpoczynku i nieformalnych spotkań z sąsiadami. A przejścia przez budynek (tzw. ajnfarty) są szerokie, zadaszone, mogą być wykorzystywane na wspólne posiłki czy zabawy dzieci** FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

jest bardzo istotne dla naszego funkcjonowania.

Dlatego dziś mówi się o przejściu z myślenia o trzyetapowym życiu, czyli nauka-praca-emerytura na myślenie o życiu wieloetapowym.

W ciągu takiego życia będąc aktywnymi zawodowo możemy zrobić na przykład półroczną przerwę albo zmienić zawód w wieku lat 50. W ogóle coraz częściej w trakcie jednego życia będziemy wykonywali wiele różnych prac. I architektura powinna za tym podążać.

Jak?

– Na przykład tak, że będziemy tworzyć na osiedlach przestrzenie do pracy co-workingowej.

W Centrum Aktywności Międzypokoleniowej na warszawskim Muranowie można kupić kawę za 5 złotych, posiedzieć, porozmawiać, też popracować. Dzięki takim niezobowiązującym miejscom tworzy się wspólnota. Możliwych rozwiązań jest wiele. Ważne, żeby były one dostępne nie tylko dla zamożnych.

Osobiście sprawdzała pani różne rozwiązania zagranicą. Opowie pani o nich?

– Zacznę od architektury przeznaczonej głównie dla seniorów.

W Deventer w Holandii odwiedziłam „Humanitas"- dom, w którym osoby starsze mieszkają razem ze studentami. Ciekawe są tam proporcje: przy stu sześćdziesięciu starszych pensjonariuszach jest zaledwie sześcioro studentów. To takich sześć „impulsów", które wnoszą do tego domu codzienność – swoje problemy, ale i radości.

Żeby tam mieszkać nie trzeba się stosować do konkretnego regulaminu poza tym, że trzeba być studentem, a także „dobrym sąsiadem". Jak wyjaśnił mi jeden z młodych mieszkańców chodzi o to, żeby czasami zagadać z pensjonariuszami, pograć z nimi w jakieś gry, pójść na spacer, pokazać coś w telefonie, przynieść trochę świata zewnętrznego do domu opieki.

Jeśli chodzi o samą architekturę, nie jest to nic specjalnego. Dom stoi na zwykłym osiedlu, a pokoje wyglądają bardzo „domowo". Generalnie dziś jest taki trend, żeby osoby starsze mogły zabierać do domu opieki własne meble, co jest ważne dla ich poczucia komfortu i bezpieczeństwa.

Bardzo nowoczesnym obiektem jest często opisywana holenderska wioska „De Hogeweyk"- dla osób z zaawansowaną demencją. To innowacyjny kompleks w standardowym osiedlu mieszkaniowym na przedmieściach Weesp koło Amsterdamu, który ma tylko jedno monitorowane wejście, żeby pensjonariusze nie błądzili. Z zewnątrz wygląda to jak zwykły kwartał zabudowy mieszkaniowej, ale wewnątrz jest całe miasteczko: ryneczek, ogródki warzywne, centrum handlowe, w którym można nie zapłacić za zakupy, bo się zapomni, fryzjer, poczta. Ulica handlowa została zaprojektowana tak, jakbyśmy się cofnęli o czterdzieści lat wstecz.

Dlaczego?

– Artefakty przeszłości, które przywołują pozytywne wspomnienia u osób z takimi dysfunkcjami, to bardzo ważny element tego typu projektów. Wnętrza apartamentów zaaranżowano pod styl życia konkretnych mieszkańców. Mamy więc apartament w stylu indyjskim dla osób o takim pochodzeniu, typowy dla starej kamienicy dla kogoś, kto całe życie w niej mieszkał, itd.

Podobno fryzjerzy, sprzedawcy, pracownicy poczty to osoby wykształcone do opieki na osobami z chorobami otępiennymi.

– Tyle, że są jakby w przebraniu. Jest tak ze względu na bezpieczeństwo pensjonariuszy. Byłam świadkiem, jak jedna pani z mnóstwem dokumentów pod pachą biegała tam i z powrotem zdenerwowana, wyraźnie czegoś szukając. Powiedziano mi, że kiedyś była księgową. Dlatego ci opiekunowie są ważni, a zabudowa zamknięta, żeby nikt się samowolnie nie oddalił.

Jakie są koszty zakwaterowania w tej wiosce?

– Niemałe. To nie jest model, który mógłby powstać w każdym sąsiedztwie, niestety.

Natomiast takie dofinansowane przez rząd domy opieki połączone z budynkiem mieszkalnym widziałam w Rotterdamie. Ta nowoczesna mieszkaniówka dla osób 55 plus nazywa się Plussenburgh. Razem z domem seniora i domem dziennego pobytu stanowią jeden kompleks.

Budynek jest bardzo nowoczesny, ma charakterystyczne falujące balkony.

– Jest położony nad taflą wody, a pod nim jeździ tramwaj. Autor kompleksu chciał nawiązać do okresu hippisowskiego, czyli czasów młodości najstarszych mieszkańców. W przestronnej strefie wejściowej stoją rzeźby, jest siłownia, w pobliżu kawiarenki.

Nie jest to typowe, zamknięte osiedle „dla seniorów", lecz kompleks umożliwiający starzenie się w miejscu – mieszkańcy mogą w ramach jednego zespołu budynków płynnie przechodzić od samodzielnego życia do korzystania z opieki, bez konieczności zmiany lokalizacji.

Przestrzenie wspólne, jak siłownie, kawiarenki, czy ogólnodostępne strefy wejściowe są zaprojektowane tak, by sprzyjać integracji i aktywności mieszkańców niezależnie od wieku czy kondycji. Są tu zarówno mieszkania rynkowe, jak i te dotowane przez państwo w ramach budownictwa społecznego, co wyrównuje szanse mieszkaniowe różnych grup.

W odróżnieniu od wielu polskich inwestycji senioralnych, Plussenburgh nie jest „gettem" dla seniorów ani miejscem wyizolowanym – na przedmieściach, „blisko lasu", „w spokoju". To fragment żywego, miejskiego organizmu.

W Holandii zaskoczyło mnie jeszcze łączenie w jednej formie zamieszkania grup o szczególnych potrzebach. Fundacja „Talita", na przykład, w niewielkim budynku w miejscowości Hoyten umieściła osoby starsze z młodocianymi, samotnymi mamami. Seniorzy w tym programie stają się takimi „coachami" życia dla tych młodych mam, one z kolei pomagają im w zakupach i porządkach.

1 RP

> Współczesne mieszkanie powinno rozwiązywać kwestie „opuszczonego gniazda", dać się łatwo przekształcić w lokum dla dwóch, czy jednej osoby. Ale powinno też brać pod uwagę, że coraz więcej osób ma zwierzęta, a nie dzieci

eprasa.pl 9a923e079a

• **Osiedle dla seniorów koło Konina. Na obrzeżach miasta, blisko „zieleni”. Wielu mieszkańców sobie je chwali, jednak takie lokalizacje często wiążą się z ograniczonym dostępem do usług, komunikacji miejskiej i wpisują się w pewien stereotyp myślenia o starości** FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

A co z co-housingiem? Zagranicą jest on coraz bardziej popularny wśród osób starszych.
– Wiele lat temu na stażu na Uniwersytecie w Westminster poznałam grupę pań, które postanowiły wybudować pierwszy w Wielkiej Brytanii co-housing dla starszych kobiet. Siedem lat czekały na dobrą lokalizację od miasta – z łatwym dostępem do metra, usług, kościoła. Otrzymały ją w końcu w dzielnicy High Barnet w Londynie. Panie poznały się w stowarzyszeniu „Older Women Co-housing Network” i miały między 60 a 90 lat.

Byłam tam w momencie, kiedy ten obiekt powstawał. Panie od samego początku współtworzyły ten obiekt z architektem. Pamiętam ożywioną dyskusję, czy zmywarka ma stanąć w przestrzeni wspólnej, czy każda z pań woli ją mieć w swoim apartamencie.

Część wspólna w co- housingach to może być miejsce wspólnych spotkań, relaksu, kuchnia z dużym stołem, ale też przestrzeń otwarta na lokalną społeczność, w której dzieci mogą odrabiać lekcje albo gdzie organizuje się imprezy sąsiedzkie.

Mieszkanki tego co-housingu postanowiły zrobić coś w rodzaju świetlicy. Oprócz tego mają ogród, oraz pokoje dla gości. Korzystają z nich głównie bliscy przyjeżdżający w odwiedziny, ale i badacze, którzy chcą lepiej tę grupę poznać. Bardzo tego u nas brakuje, na przykład w domach opieki.

Dlaczego te panie zdecydowały się na tak jednorodną grupę?
– Spytałam je o to. Odpowiedziały wprost, że nie chcą mieszkać w wielogeneracyjnym budynku, gdzie są rodziny z dziećmi, jest głośno. Były albo samotne albo były wdowami i uznały, że resztę życia chcą spędzić właśnie w taki sposób.

Słuchając ich jako urbanistka uświadomiłam sobie, że jeśli mówimy o skali jednego budynku, to każdy oczywiście może wybrać, z kim chce mieszkać. Natomiast, jeśli już zaczynamy mówić o osiedlu czy kompleksie budynków przeznaczonym dla konkretnej grupy wiekowej, to istnieje ryzyko, że zrobi się z tego „getto”.

I mamy trochę takich przykładów, chociażby słynne, wielkopołaciowe osiedla typu „Sun City” w USA dla osób 60 plus. Oczywiście, są tacy, którzy się w nich doskonale odnajdują. Ale moim zdaniem takie wyobcowanie z codzienności, z tkanki miejskiej, z różnorodności to duży deficyt.

W Polsce powstaje coraz więcej podobnych inwestycji, niestety. Na przykład „Senior Park” w Łodzi, czy apartamenty „Ostoja” koło Konina. Te ostatnie są na obrzeżach miasta, blisko „zieleni”. Wielu mieszkańców sobie je chwali, jednak takie lokalizacje często wiążą się z ograniczonym dostępem do usług, komunikacji miejskiej i wpisują się w pewien stereotyp myślenia o starości.

To znaczy?
– Kiedy pytam studentów, jak sobie wyobrażają swoją starość, zazwyczaj mówią właśnie o małym, białym domku pod lasem, w pobliżu rodziny.

Tylko, że po pierwsze dziś ta rodzina może być porozjeżdżana po całym świecie. Po drugie coraz więcej starszych osób jest nadal aktywna, chce uczestniczyć w życiu kulturalnym, czy społecznym.

Wiele z tych osiedli oferuje dowóz do centrum miasta, a do tego jeszcze 24- godzinną opiekę, ale czy ja bym chciała być na starość wożona jak przedszkolak? Czy wolałabym jednak być jak najdłużej niezależna, z jakimś niewielkim wsparciem?

Jeśli mamy myśleć o modelu to powinien być on jak najbardziej różnorodny – i pod względem formy zamieszkania, i dostępności, i finansowania.

Co-housing, domy na całe życie, apartamentowce łączone z domem opieki, co jeszcze?
– Domy wielopokoleniowe. Zainspirowani rządowym programem, w ramach którego powstało 550 takich domów w całych Niemczech, postanowiliśmy wdrożyć podobny model w Łodzi, w XIX- wiecznej kamienicy.

Pracownia architektoniczna przygotowała projekt, a nasz zespół miał dobrać mieszkańców według tradycyjnego, demograficznego podziału, czyli osoby starsze, młode, rodziny z dziećmi oraz osoby z niepełnosprawnością.

Dziś już wiemy, że to się nie sprawdza, że dobór do takiego domu powinien brać pod uwagę style życia, wychodzić z tej postdemograficznej perspektywy.

Współczesne domy wielopokoleniowe to często katalizatory dzielnicy – miejsce zamieszkania, ale też spotkań, różnych lokalnych wydarzeń, pomocy i wsparcia. Ich mieszkańcy muszą być otwarci na innych, być swojego rodzaju działaczami, społecznikami. Na pewno nie jest to dla każdego.

Co nie zagrało?
– Przede wszystkim, wykonawca źle wykonał dach, który zaczął przeciekać, co wywołało konflikty. To nam pokazało, jak ważna przy takich inicjatywach jest funkcja mediatora, który potrafi rozwiązywać spory oraz wypracowywać konsensus w grupie.

Dom w Łodzi stał się bodźcem do innych takich inwestycji w Polsce. Rok później powstał wielopokoleniowy dom na osiedlu Nowe Żerniki we Wrocławiu. Ma zupełnie inny charakter. To duży, nowoczesny, wielorodzinny budynek z wewnętrznym owalnym dziedzińcem. W dodatku TBS-owski, czyli budownictwo społeczne.

W parterze jest przedszkole, klub fitness, gabinet rehabilitacji, inne usługi. Na półpiętrach zaprojektowano świetlice, gdzie można się spotkać z sąsiadami. Obok standardowych mieszkań są mieszkania wspomagane, z systemem, który pozwala na wezwanie pomocy.

Budynek jest biały, jednolity, nawiązuje do charakteru sąsiadującego osiedla. Smaczkiem jest to, że drewno pozostałe po zabudowie dziedzińca wykorzystano do stworzenia indywidualnych skrzyneczek oznaczających każde wejście do mieszkania.

Z punktu widzenia małych dzieci, które nie potrafią odczytać cyfr, a także starszych osób, na przykład z demencją, to ważne elementy. Można w te skrzyneczki wsadzić kwiat albo coś innego, charakterystycznego i w ten sposób ułatwić odnalezienie się w jednolitej przestrzeni korytarzy.

Innym ciekawym TBS-owskim projektem jest kompleks mieszkalny „Ajnfart” w Rybniku. To połączenie starego z nowym. Składa się z trzech pięciopiętrowych brył, z czwartej strony domykają go dwa istniejące budynki z 1904 roku.

Na dziedzińcu są ławki i siedziska do odpoczynku i nieformalnych spotkań z sąsiadami. A główne przejścia przez budynek (tzw. ajnfarty) są szerokie, zadaszone, zapewniają schronienie przed słońcem czy deszczem i mogą być wykorzystywane na wspólne posiłki czy zabawy dzieci.

Mieszkania mają balkony, okna są duże, więc jest dobre doświetlenie. Kompleks jest w centrum Rybnika, co pokazuje, że budownictwo społeczne może być i dobrze zlokalizowane i jednocześnie mieć fajną jakość.

Ta lokalizacja naprawdę ma znaczenie. Nie tylko z perspektywy dostępu do miasta.

A jakich jeszcze?
– Podam przykład. W Piekarach Śląskich, w jednorodnej zabudowie domów jednorodzinnych jest niewielki skrawek zieleni. Z góry wygląda to jak mini „Central Park”.

Przed wejściem nie było ławki, a w okolicy – toalet, więc seniorzy przed wyjściem z domu nie pili

eprasa.pl 9a923e079a

Niedawno okazało się, że mają tam powstać trzy TBS-owskie bloki.

Lokalni mieszkańcy się oburzyli, bo nie dość, że to ostatni skrawek zieleni w okolicy, to jeszcze, jak się okazało, mieszkają tam chronione zwierzęta – jeże, wróble. Nikt wcześniej tego nie sprawdził.

W dodatku poziom architektury zaprojektowanych bloków jest niski – niewielkie place zabaw, ogromna ilość miejsc parkingowych, mało zieleni. Pytanie, co się będzie działo na drogach i w okolicznych sklepach, gdy przybędzie dodatkowych 147 mieszkań, ponad 300 mieszkańców?

Wyobraźmy sobie teraz, że do tych bloków wprowadzają się osoby starsze. Dla nich zakorzenienie się w takim miejscu mogłoby być bardzo trudne. To jest miejsce, w którym ludzie żyją od pokoleń i nikt ich na te zmiany nie przygotował. I ten brak dialogu, brak jakichkolwiek konsultacji owocuje stresem dla jednych, a potem zaowocuje też stresem dla tych drugich.

Rozmawiać powinno się chyba nie tylko z lokalną społecznością, ale też z socjologami, psychologami, ekologami, demografami?

– Oczywiście! Polska jest najszybciej starzejącym się społeczeństwem Europy, więc planując jakąś inwestycję mieszkalną dziś, musimy się dobrze zastanowić, czy chcemy tam postawić kolejny tradycyjny plac zabaw. Może jest większy sens, żeby miał inną formę?

Na przykład taką jak w Barcelonie, która realizuje program „Playable Cities", gdzie place zabaw mają być dla każdego – małych i dużych, są przestrzenie przeznaczone do różnych gier, sportów.

W chilijskim miasteczku Quillota widziałam międzygeneracyjny park zaprojektowany przez mieszkańców wraz z architektami. Starsze osoby wpadły na pomysł rowerków stacjonarnych wbudowanych w ławkę – można pedałować i jednocześnie rozmawiać z sąsiadem.

– To mi trochę przypomina hiszpańskie miasto Benidorm, nazywane mekką seniorów, bo wiele osób przeprowadza się tam na emeryturę głównie z Wielkiej Brytanii, ale ostatnio też z Polski.

Benidorm stawia na dostępność – dostępne plaże, toalety, nawet biblioteka na plaży. Promenada nadmorska jest długa, a każdy jej odcinek pomalowano na inny kolor, co daje lepszą orientację w terenie. Zjazdy z promenady są oczywiście dostosowane do wózków, ale też meleksów, które starsze osoby często tam wypożyczają.

W Benidrom jest przepis, który każe budować wzwyż, żeby było jak najwięcej tej przestrzeni wspólnej pomiędzy budynkami, dlatego jest tam tyle wieżowców, co oczywiście budzi kontrowersje. Ale inny przepis mówi, że większość okien powinna być skierowana w stronę morza, dzięki czemu mieszkania są jasne i mają ładny widok.

Projektowanie to sztuka trudnych kompromisów, jednak konsultacje to nie wszystko. Potrzebne jest też dobre prawo. Dlaczego w wielu krajach na osiedlach deweloperskich powstają świetlice, czy inne miejsca udostępniane lokalnej społeczności? Jest więcej sztuki w przestrzeni publicznej? Bo jest to uregulowane przepisami.

My mamy ustawę o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym z 2023 roku, która nie wprowadza jednoznacznych, obowiązkowych wymogów dotyczących tworzenia wspólnych przestrzeni społecznych i infrastruktury kulturalnej w inwestycjach deweloperskich. One mogą być promowane przez samorządy lokalne, jednak nie są obligatoryjne.

Co jest w tej w ustawie, z takich dobrych rzeczy?

– Na przykład wprowadza możliwość ustalania tzw. gminnych standardów dostępności infrastruktury społecznej – jeśli gmina określi, że na danym terenie brakuje na przykład szkoły albo przedszkola, nowe osiedla mogą powstać pod warunkiem, że inwestor zbuduje taki obiekt albo będzie partycypował w kosztach. To istotny postęp, jednak wciąż nie obejmuje lokalnych centrów społecznych i kulturalnych.

• **Plussenburgh w Rotterdamie. Nowoczesna mieszkaniówka dla osób 55 plus. Budynek jest położony nad taflą wody, a pod nim jeździ tramwaj** FOT. FRANS BLOK / ALAMY STOCK PHOTO

Co do systemowych rozwiązań – francuski rząd, na przykład, dopłaca, by mieszkańcy mogli zaadaptować swoje mieszkanie pod potrzeby wynikające ze starzenia się.

– W ogóle w dobie zmian klimatycznych musimy odpowiedzieć sobie na pytanie – czy za każdym razem koniecznie musimy budować nowe? Czy nie możemy skorzystać z tego, co mamy?

W Cork w Irlandii program „right-sizing" umożliwia osobom po sześćdziesiątce przeprowadzkę do mniejszych lub bardziej dostosowanych do ich aktualnych potrzeb miejsc. W ten sposób miasto zyskuje większe mieszkania dla młodych rodzin. Niektóre amerykańskie kampusy prowadzą z kolei programy, w których studenci mogą zamieszkać u osób starszych, zwykle za niższą cenę od rynkowej, a czasem za dodatkową pomoc. W ramach tej wymiany starsze osoby mogą chodzić na wykłady uniwersyteckie, czy korzystać z biblioteki.

– Takie inicjatywy są bardzo wartościowe, ale nie każdy będzie chciał z tego skorzystać. I nie dlatego, że nie podoba mu pomysł, ale może mieć obawy, że ktoś zakłóci mu rytm dnia, coś poprzestawia – nie każdy z nas jest elastyczny i otwarty na zmiany, i to niezależnie od wieku.

Może będę monotonna, ale w przypadku takich programów bardzo ważne jest przygotowanie gruntu. Edukacja i uważny dobór osób. Nie może się to odbywać na zasadzie: „a teraz będziemy łączyć seniorów ze studentami, zainteresowanych zapraszamy do kontaktu". Na pewno nie da się tej międzypokoleniowości tworzyć na siłę.

Poza jakością architektury, dobrym projektem, lokalizacją, co jest jeszcze ważne w miejscu, w którym będziemy się starzeć?

– Dobrzy sąsiedzi, którzy nam pomogą, kiedy zaniemożemy albo zorganizują wsparcie. To jest chyba w sumie kluczowe w pomyślnym starzeniu się i dążeniu do zdrowej długowieczności – świadomość, że za ścianą, czy kilka metrów dalej jest ktoś, na kogo możemy liczyć. ●

***Agnieszka Labus**

• architektka długowieczności. Prekursorka projektowania wobec długowieczności w Polsce. Założycielka Fundacji LAB60+. Adiunkta na Wydziale Architektury Politechniki Śląskiej. Ekspertka przy KPRM

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

O **BOGU**, KTÓREGO SZUKAŁ, i **DIABLE**, KTÓRY CZASEM SIĘ BUDZI

Z **LECHEM JANERKĄ**
ROZMAWIA
JAREK SZUBRYCHT

FOT. JACEK POREMBA / MYSTIC PRODUCTION

eprasa.pl 9a923e079a

Pisząc „Zero zer”, myślałem, że nasze umysły zostaną zamienione w informacje, zapisane w formie zero-jedynkowej.

JAREK SZUBRYCHT: Jak czytać tytuł tej płyty? Czy to „Fiu fiu...” wygwizdywane z nutą podziwu, czy raczej lekceważenia?
LECH JANERKA*: „Fiu fiu...” jest obosieczne, więc może trochę w tym lekceważenia, ale więcej zadowolenia, że udało się tę płytę zrobić. Do siebie to zagwizdałem: „Fiu fiu, jednak zrobiłem tę płytę, ale numer!”.

Pamiętasz, kto właściwie tę płytę zrobił? Jakim byłeś człowiekiem w 2002 roku, co cię martwiło, co bawiło?
- Miałem dużo zapału. Chcieliśmy zrobić płytę, która nawiąże energetycznie do pewnych wcześniejszych historii, ale zarazem będzie uciekała od bezpośrednich wpływów. Reanimowaliśmy utwór „W naturze mamy ciągły ruch”, nagrany już wcześniej, na szybko, w wersji znanej z „Co lepszych kawałków”, która mi się nie podobała. Zamknięcie płyty to z kolei „Pieśń mijających się wielorybów”, która została nam po „Urze”.

„Ur” to płyta z 1991 roku, więc ponad dekadę hodowałeś te wieloryby, zanim puściłeś je w świat.
- Zaczęło się od mojego wyjazdu do Stanów. Chciałem sobie kupić porządną gitarę basową i sampler. Z gitarą się udało, z samplerem nie bardzo. Jakieś trzy miesiące po moim powrocie do Polski przyjechał Janusz Kamiński, kamerzysta, który później pracował przy „Liście Schindlera”. Dowiedział się od kogoś, że potrzebuję, i przywiózł mi ten sampler. Usiadłem więc do urządzenia, żeby sprawdzić jego możliwości, zrobiłem na poczekaniu jakiś szkic i okazało się, że to w naszym domu hit tygodnia. W pętli leciało. Przypomniałem sobie o tym numerze, kiedy kończyliśmy „Fiu fiu...”, i próbowałem go wydusić z pamięci samplera, ale okazało się, że coś pogubiłem, pokasowałem, przepadło.

Na to córka mówi: „Ja to nagrałam na magnetofon kasetowy”. Wzięliśmy więc kasetę magnetofonową, szumiącą jak czort, podczyściliśmy to, ponakładaliśmy instrumenty – wiolonczelę, gitarę basową, gitarę akustyczną – i dograłem kilka słów. Dodaliśmy też odgłosy prawdziwych wielorybów.

„Fiu fiu...” to pierwsza twoja płyta wydana w XXI wieku. Z dzisiejszej perspektywy może się to wydawać naiwne, może nawet śmieszne, ale wtedy bardzo się tym nowym milenium przejmowaliśmy. Jakie wiązałeś z nim nadzieje i czego się obawiałeś?
- Jestem słabo lękliwy, więc obaw nie było. Pojawiła się natomiast na „Fiu fiu...” piosenka „Allelujaż”, z tekstem o układzie scalonym, który zacznie za chwilę rządzić. „Zero zer” też wiązała się z postępem cyfrowym. Wszyscy rozwijają skrót AI jako Artificial Intelligence, a mnie się to bardziej kojarzy z Alien Intelligence.

• **Lech i Bożena Janerkowie. Od pół wieku żyją i pracują razem** FOT. JACEK POREMBA / MYSTIC PRODUCTION

Przeczytałem jedną encyklikę naszego papieża i o dziwo strasznie się nią przejąłem

To nie tyle sztuczna, co obca inteligencja. Już właściwie nie wiadomo, co dzieje się w tych algorytmach, same się jakoś porządkują. Powstał problem: co z człowiekiem? Pisząc wtedy „Zero zer”, myślałem, że nasze umysły zostaną zamienione w informacje, zapisane w formie zero-jedynkowej i będą tak trwać, modyfikować się, może kooperować ze sztuczną inteligencją. Ma to też swój wymiar metafizyczny, więc zastanawiałem się, jaki wpływ będzie miała sztuczna inteligencja na ideę Boga.

„W zero jedynkę zmieniam się” – w 2002 roku te twoje wizje brzmiały jak fantastyka, dzisiaj to rzeczywistość.
- Wtedy to była intuicja, dziś już to wszystko się dzieje. Nie mam żadnej pogłębionej wiedzy, ale staram się lizać tematy, które mnie kręcą. Astrofizyka? Czemu nie? Sztuczna inteligencja? Pewnie, absolutnie! Ostatnio dostałem propozycję zaśpiewania piosenki, która też dotyczy AI, ale nie czułem się na siłach. Goście wzięli więc moje wywiady, wrzucili to w sztuczną inteligencję i ona zaśpiewała za mnie. Coś niewiarygodnego. Piosenka już jest skończona i wyjdzie na solowej płycie Wiraszki, wokalisty Much.

Druga historia wiąże się z Bartkiem Straburzyńskim, który grał z nami na „Ur” i z którym znowu gramy od ładnych paru lat. Bartek jest producentem. Siedział z jakimś chłopakiem nad materiałem z ostrzejszymi brzmieniami, ale słabo im szło, więc postanowili zabawić się sztuczną inteligencją. W ciągu pięciu minut zrobiła im dwa numery, które przewyższały jakością ich miesięczną pracę. Byli zdumieni i trochę załamani.

Ciebie trudno wyczuć, więc powiedz, czy kiedy zaglądasz w te wszystkie czarne dziury, robisz to z ciekawością i nadzieją, czy raczej z przerażeniem?
- Od początku dziejów ludzkość zadaje sobie pytania, na które nie ma odpowiedzi. Tymczasem historia uczy, że z czasem te odpowiedzi się znajdują. Wierzę w to, czy raczej mam nadzieję, że kiedyś odpowiemy sobie na wszystkie pytania.

A jednak optymista. Wierzysz w naukę, tymczasem „Fiu fiu...” to płyta, na której sporo miejsca poświęciłeś religii.
- Nie zostałem ochrzczony, rodzice byli niewierzący, więc w dzieciństwie w ogóle nie było tematu. W okolicach szkoły średniej zacząłem się interesować historią starożytną, do kompletu przeczytałem Biblię, ale wciąż Boga do niczego nie potrzebowałem. To nie był dla mnie wielki temat.
Dopiero kiedy napisałem „Jezu, jak się cieszę”, zdałem sobie sprawę z tego, że odwołuję się do chrześcijańskiego kanonu. Temat piosenki był bardzo błahy, dotyczący zupełnie innych rejonów życia, mimo to posłużyłem się językiem odwołującym się do ’Nowego Testamentu. Mogę być niewierzący, ale żyję w kulturze, której fundamentem jest chrześcijaństwo. Na „Fiu fiu...” te tematy znowu wypłynęły.

Były już wcześniej. Na gnostyckiej „Ur” zajmowałeś się Bogiem starotestamentowym, groźnym, tymczasem „Fiu fiu...” proponuje inne spojrzenie na religię,
- Na „Fiu fiu...” przyglądałem się temu, co robi Kościół. Entuzjazmu to we mnie nie wzbudziło, czemu dałem wyraz w piosence „Wirnik”.

„Od swego personelu / Od naziemnego personelu Boże broń”.
- Nie chciałem jednak atakować samej wiary czy ludzi wierzących. To byłaby bzdura. Jeżeli ktoś czerpie z wiary energię i siły, by z optymizmem przeżyć kolejny dzień, czemu miałbym to szturmować i próbować zmieniać ich sposób myślenia? „Daj mi” jest piosenką o tym, jak rozglądam się za Bogiem, ale niczego nie widzę.

Szefem naziemnego personelu Boga jest papież, wtedy jeszcze nasz. Jego cień pojawia się na tej płycie tu i ówdzie. Jest papa mobile, jest „Karol przed duże P”.
- Jak już wspomniałem, żyję w tej kulturze, w tym miejscu i czasie. Nawet gdybym nie chciał się do tego odnosić, mimowolnie pojawiają się zwroty, słowa, określenia, które wiążą się z chrześcijaństwem. Przeczytałem jedną encyklikę naszego papieża i o dziwo strasznie się nią przejąłem. Nie podobało mi się to, co tam opowiadał. Do tego stopnia, że napisałem o tym piosenkę „Chcę tego”, która znalazła się na płycie „Bruhaha”.

Wróćmy do „Fiu fiu...”, która jest też płytą o przemijaniu, stąd to zaglądanie za zasłonę śmierci.
- Już w wieku 10 lat, kiedy po raz pierwszy byłem na pogrzebie, połapałem się, że i ja umrę. Nie powiem, żeby ta myśl mnie jakoś szczególnie dołowała, ale żyję z tą świadomością. Kiedy nagrywaliśmy „Fiu fiu...” jeszcze wierzgałem, teraz po prostu się z tym godzę.

Mam wrażenie, że pewne tematy odkrywałeś trochę wcześniej niż inni przedstawiciele tej generacji polskiego rocka i okolic, stąd twoja konkurencyjna przewaga.
- Długo słuchałem muzyki, nie wnikając w teksty, przede wszystkim dlatego, że słuchałem rzeczy anglojęzycznych. Chłonąłem emocje, harmonię, melodie. Po raz pierwszy postanowiłem zerknąć, o co chodzi, kiedy zetknąłem się z „Epitaph” King Crimson. Byłem wtedy w szkole średniej i postanowiłem sobie to przetłumaczyć.

Dużo też słuchałem Beatlesów i sparzyłem się na wielu ich tekstach. Byłem rozczarowany, kiedy zaczynałem rozumieć, o czym śpiewają we wczesnych piosenkach, ale cóż, to byli bardzo młodzi ludzie, właściwie dzieci. Natomiast te późniejsze teksty, dziwne niczym „Alicja w Krainie Czarów”, na przykład „Strawberry Fields Forever”, „I Am the Walrus” czy „Come Together”, były rzeczami na granicy bełkotu i fisiowania. Przestałem się więc tym przejmować. Słuchałem muzyki i cieszyłem się jej energią.

Polskich zespołów prawie nie słuchałem. Poznałem je właściwie, dopiero kiedy zacząłem koncertować i spotykać tych ludzi. Pamiętam, że kiedyś próbowaliśmy wygrać gitarę w jakimś konkursie. Brał w nim też udział pewien duet...

Wyskoczył dzieciak z kartką i zapytał ze sceny, czy ktoś ma pożyczyć gitarę. Połowa widowni to gitarzyści, więc ktoś się zlitował, dał mu gitarę. Ten drugi siadł za bęben, chcieli mu dać pałeczki, ale walił w perkusję gołymi rękami i czytając z tej kartki, wrzeszczał: „Partyzanci, partyzanci, pierdoleni kombatanci”. Był chyba 1982 rok, więc przyznaję, zrobiło to na mnie wrażenie. W ten sposób poznawałem coraz więcej tekstów polskich wykonawców. Czasami były równie zabawne, czasem niespójne, a czasem po prostu beznadziejne. W szkole miałem polonistę, który dopilnował, żeby uczniowie

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski;
FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 9a923e079a

dowiedzieli się, czym jest banał. No więc wiedziałem.

„Fiu fiu...” jest trzecią, a więc ostatnią częścią trylogii, którą zagrał z tobą gitarzysta Wojciech Seweryn. Wcześniej usłyszeliśmy go na „Bruhaha” i „Dobranoc”, i niestety więcej już nie usłyszymy.
- Zwolniłem poprzedniego gitarzystę, Bartka Straburzyńskiego, bo się spóźniał na próby. Zdarzało się nam czekać na niego półtorej godziny. Do pewnego momentu byłem cierpliwy, ale któregoś razu zareagowałem: „Słuchaj, emeryci czekają, a ciebie nie ma. Nie szanujesz nas”. Na to Bartek: „A co to, kurwa, Pafawag?!” [rzecz się dzieje we Wrocławiu, a Pafawag to największa tamtejsza fabryka, produkująca wagony – przyp. red.] Rozbawił mnie, ale musiałem być konsekwentny, więc zostałem bez gitarzysty.

Perkusista mówi mi: „Jest tu gość we Wrocławiu, który lubi twoją muzykę i wszystko umie”. Dwa dni później nagrywaliśmy już z Wojtkiem Sewerynem koncert „Bez prądu” w Radiu Łódź.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w przeddzień koncertu. „Znasz z grubsza repertuar?” – zapytałem. „Znam. Pożyczę gitarę akustyczną i zagram” – odpowiedział. Co ciekawe, ta piękna gitara Yamahy zepsuła mu się w trakcie koncertu i momentami grał lekko przesterowanym dźwiękiem. To nie było zamierzone.

Rzeczywiście wszystko umiał?
- Tak. Do każdej piosenki proponował 10 wersji gitary, co mnie trochę dezorientowało. Przy pierwszych dwóch płytach chyba jeszcze nie do końca wiedział, czego oczekuję. Natomiast przy „Fiu fiu...” nie powiedziałem do niego ani słowa. Już wiedział, w czym rzecz, i zagrał wspaniale, miał szatańskie pomysły. Kiedy robiliśmy „Daj mi”, orzekł: „Tu potrzebujemy największego fuzza, jaki jest we Wrocławiu” i rzeczywiście przywiózł wielkie pudło, wpiął się w to i zabrzmiało idealnie.

A kiedy już skończyliśmy nagrywanie sekcji rytmicznej do wszystkich piosenek, powiedziałem perkusiście: „Mam tu jeszcze taką partię basu, nagrajmy to dla hecy, może coś się wydarzy”. Wojtek to usłyszał, wziął od Bożeny efekt, którego ona używa przy wiolonczeli, i zagrał na tym niesamowitą partię gitary. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. Tak zabłysnął, że od razu zechciało mi się dopisać tekst i powstał utwór „Ceremonie”, praktycznie zaimprowizowany w studiu.

PLEBISCYT NA PŁYTĘ 25-LECIA

Wybierzcie z nami album minionego ćwierćwiecza. Na **wyborcza.pl/plyta25** znajdziecie formularz, w którym można zagłosować na maksymalnie trzy albumy z poniższej listy. Ten zestaw 25 tytułów wytypowało 48 zaproszonych przez nas dziennikarzy muzycznych i kulturalnych. Zabawa trwa do 26 sierpnia, a kto nagrał Płytę 25-lecia, poinformujemy 29 sierpnia.

- 2000: **Kaliber 44,** „3:44”, S.P. Records
- 2000: **Paktofonika,** „Kinematografia”, Gigant Records
- 2001: **Ścianka** „Dni wiatru”, Sissy Records
- 2001: **Lenny Valentino** „Uwaga! Jedzie tramwaj”, Sissy Records
- 2001: **Pogodno** „Sejtenik miuzik & romantik loff”, Noff Records
- 2002: **Lech Janerka,** „Fiu fiu...”, BMG Poland
- 2002: **Myslovitz,** „Korova Milky Bar”, Sony Music Entertainment Poland
- 2002: **Cool Kids of Death,** „Cool Kids of Death”, Sissy Records
- 2003: **Raz, Dwa, Trzy** „Trudno nie wierzyć w nic”, Warner Music Poland
- 2003: **Sistars,** „ Siła sióstr”, Warner Music Poland
- 2004: **Skalpel** „Skalpel”, Ninja Tune
- 2004: **Kapela ze Wsi Warszawa,** „Wykorzenienie / Uprooting”, Jaro Medien
- 2005: **Lao Che,** „Powstanie Warszawskie”, Ars Mundi
- 2005: **Maria Peszek,** „Miasto mania”, Kayax
- 2009: **Hey,** „Miłość! Uwaga! Ratunku! Pomocy!”, QL Music
- 2010: **Brodka,** „Granda”, Sony Music Poland
- 2012: **Kamp!,** „Kamp!”, Brennnessel
- 2014: **PRO8L3M,** „Art Brut”, RHW Records
- 2015: **Syny,** „Orient”, Latarnia Records
- 2015: **Zbigniew Wodecki with Mitch & Mitch Orchestra and Choir,** „1976: A Space Odyssey”, Lado ABC
- 2015: **Taco Hemingway,** „Umowa o dzieło”, Taco Corp / Asfalt Records
- 2016: **Furia** „ Księżyc milczy luty”, Pagan Records
- 2018: **Dawid Podsiadło,** „Małomiasteczkowy”, Sony Music Entertainment Poland
- 2019: **Hania Rani,** „Esja”, Gondwana Records
- 2021: **Fisz Emade Tworzywo,** „Ballady i protesty”, Mystic Production

Niestety, Wojciech Seweryn zmarł dwa lata po premierze „Fiu fiu...”.
- To ostatnia płyta, którą razem zrobiliśmy. Szkoda. Ja wolno pracuję, więc miałem dopiero szkice „Plagiatów”, ale Wojtek już nie miał na to siły. Poza tym przeniósł się do Warszawy, co go też dogięło. A potem niestety zniknął. Poświęciłem mu piosenkę „I jak ci tam w tym niebie”.

„Fiu fiu...” nagrywaliście z Bartkiem Dziedzicem, późniejszym producentem gwiazd.
Realizował ten materiał, dograł klawisz do kilku utworów i krzywił się w tych momentach, w których powinien się krzywić, jak prawdziwy producent. Nagrywaliśmy to w Łodzi, w studiu Michała Wiśniewskiego. Świetny był. Pojawiał się czasami o trzeciej w nocy i darł mordę, bo musiał sobie pokrzyczeć. Niestety, kiedy wróciliśmy do Wrocławia i posłuchałem tego w domu, okazało się, że kicha, że to w ogóle nie brzmi, nie ma siły i energii. Załamaliśmy się i materiał rok przeleżał w kuble. W końcu zabraliśmy się do pracy. Zmienialiśmy tempa, tnąc numery na milion części, gdzie się da wymieniając bęben na mocniej brzmiący, na automat. Strasznie to było pracochłonne, ale w końcu zadziałało.

Zmieniliście wytwórnię, płyta ukazała się z nalepką BMG Poland.
- Występowałem na jubileuszu Lady Pank, gdzie poznałem Biljanę Bakić. Zgadaliśmy się, że oboje mieszkaliśmy przez chwilę w Nowym Jorku i pośmialiśmy się z różnych nowojorskich wspomnień. Na koniec okazało się, że ma wytwórnię płytową. Dała mi wizytówkę: „Jakbyś coś miał, to zadzwoń”. Kiedy kończyliśmy reanimować „Fiu fiu...”, przypadkowo założyłem marynarkę, w której grałem na tej imprezie Lady Pank, i znalazłem jej wizytówkę. Zadzwoniłem i mówię, że mam materiał. „Ile chcesz kasy?” – zapytała. Odpowiedziałem, a ona: „To masz”. „Może byś posłuchała?”, „Nie trzeba, fajne rzeczy robisz, bierzemy”.

Kiedy już oddałem im materiał, odezwał się Paweł Jóźwicki, który wtedy pracował w BMG. Pamiętam, że siedzieliśmy w jego maluchu i paliliśmy papierosy. Zimno było jak czort, a on mnie agitował: „Zostawimy twój wokal, może część basów, resztę wypierdzielimy. Ja tu mam gości od rapu, oni ci zrobią do tego podkłady i dopiero wtedy ta płyta będzie taka, jaka być powinna”. Przez chwilę nawet to rozważałem, ale w końcu odpowiedziałem mu, że gdybym chciał zrobić płytę rapową, tobym ją zrobił.

Od premiery „Gipsowego odlewu falsyfikatu” minęły prawie dwa lata. Wiem, że masz standardy jak z „Interstellar” – na Ziemi minęła dekada, a ty ledwie mrugnąłeś – ale odgrażałeś się, że masz więcej piosenek i za chwilę je wypuścisz.
- Myślałem o tych piosenkach, ale są błahe. Gdybym był pazerny na cash, pewnie szybko bym to wydał, bo nazwisko robi swoje i parę tysięcy sztuk bym pewnie sprzedał. Nie wiem, może do tego dojrzeję i w przyszłym roku zacznę do nich zaglądać.

Kiedy oddałem „Gipsowy odlew...”, rozleciał mi się komputer, na którym go robiłem. Padł dysk w komputerze i równocześnie dysk, na którym robiłem backupy. Dane nie do odzyskania. Gdyby to się wydarzyło dwa tygodnie wcześniej, nie byłoby tej płyty. Część rzeczy nagrywaliśmy w moim domowym studiu, ale od tamtej pory nawet do niego nie wszedłem, od prawie dwóch lat. Graliśmy w tym czasie dużo koncertów, na to nałożyły się moje problemy ze zdrowiem, kumulacja nieszczęść. Nie będę więc obiecywał, że za chwilę wydam kolejną płytę. Wydaje mi się, że powinienem polec w ciszy i z pokorą. Gdybym zamknął teatrzyk „Gipsowym odlewem falsyfikatu”, chyba nie byłoby najgorzej?

Ale przyznaję, czasami budzi się ten diabeł z tyłu głowy i mówi: „Weź coś tam brzdąknij”. Kto wie, może... ●

Lech Janerka

- ur. 1953, obywatel Wrocławia, kompozytor, autor tekstów, basista i wokalista. Od końca lat 70. gra z żoną Bożeną, wiolonczelistką, najpierw w zespole Klaus Mitffoch, później po prostu jako Lech Janerka. Nagrywa rzadko, ale za to dobrze. Jego ostatni album – „Gipsowy odlew certyfikatu” (2023) – był naszą Polską Płytą Roku, został również nagrodzony pięcioma Fryderykami. „Fiu fiu...” z 2002 r. to w naszym plebiscycie kandydatka do najważniejszych polskich płyt ćwierćwiecza.
- Na Płytę 25-lecia można głosować do 25 sierpnia. Zwycięzcę plebiscytu ogłosimy 29 sierpnia.

REKLAMA

Kraj/34390563

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

Zakazany kinkowy owoc

Jakub Gessler Nowak

Czekam w kolejce przed lokalem w centrum Warszawy. Są tu dziś rozdawane karty klubowe zezwalające na pojawienie się dzisiejszej nocy na imprezie z serii Lust Supper. By ją otrzymać, musiałem się zgłosić przez stronę internetową imprezy i podać im link do moich social mediów. Lust Supper to jedna z cieszących się coraz większą popularnością imprez kinkowych (z ang. *kinky* – perwersyjny, udziwniony), czyli takich, na których uczestnicy poza klasyczną zabawą do muzyki elektronicznej mogą w bezpiecznych warunkach eksplorować ekstraordynaryjne formy erotyki, często związane z praktykami BDSM.

Wstęp kosztuje między 100 a 250 złotych – zależnie od wielkości imprezy i tury, w której kupimy bilet. Jednak ostateczną decyzję, kto może wejść, podejmują organizatorzy na podstawie zawartości Instagrama albo Fetlifa (portal społecznościowy dla fetyszystów). Selekcja jest dość subiektywna.

Bez karty nie wejdziesz

– Chodzi tu o względy bezpieczeństwa: każdy, kto wchodzi do nas, musi posiadać kartę klubową. I musi ją posiadać fizycznie – mówi mi Maciej Kondor, jeden z organizatorów. – W momencie, kiedy ta osoba złamie regulamin, np. przez niechciany dotyk, to wiem, kim jest. Odbierając kartę klubową z numerem, sprawdzamy dane, jakie nam podał. Utrata karty klubowej jest równoznaczna z dożywotnim zakazem wstępu na nasze imprezy. Jest tylko jedna szansa, jeśli ją stracisz, to nie masz już czego szukać na polskiej scenie kink. Ta bardzo ważny element, który sprawia, że nie ma u nas takich problemów, jakie można spotkać w „normalnych klubach", czyli nachalnych pijanych mężczyzn z trudnością w zrozumieniu słowa „nie".

Kilka godzin później rozpoczynam wieczór przed jednym z warszawskich klubów. W kolejce ludzie wyglądają, jakby byli w trakcie osobliwego przepoczwarzenia. Spod zwyczajnie wyglądających bluz i kurtek wystają obroże, lateksowa i koronkowa bielizna. Po wejściu do klubu będą musieli w pełni zrzucić kokon przeciętności.

Po sprawdzeniu biletów trzeba przejść pod uważnym spojrzeniem dziewczyny w obcisłej lateksowej sukience wyciętej w strategicznych miejscach, której szyję zdobi plakietka z napisem „Door Bitch". Sprawdza, czy wszystkie osoby wchodzące do klubu przestrzegają dress codu. Czyli? Niedozwolone są codzienne ubrania, zwłaszcza bawełna i dżins, stroje wieczorowe, klasyczne garnitury, mundury polowe, kostiumy cosplay oraz tanie przebrania na bale maskowe.

„Jeśli masz na sobie swój outfit, wychodzisz na miasto, wbijasz do normalnego klubu i nikt na Ciebie dziwnie nie patrzy – to na pewno NIE jest dobry strój! Ma być niegrzecznie. Ma być perwersyjnie. Ma być z fantazją" – wyjaśniają organizatorzy.

To spotkanie ma być zupełnie inne od wszystkiego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. – Tu chodzi o otwartość i pozbycie się wstydu. Pozwalamy na znakomitą większość rzeczy, które mogą wpaść nam do głowy. Pod warunkiem że wszyscy inni dookoła też się zgodzą – mówi Maciej. – U nas panuje kult świadomej zgody, którego pilnie strzeżemy. W tej przestrzeni bezpieczeństwo jest na pierwszym miejscu.

Zawodowy pan lochu

Pokrzepiony tą informacją i wystrojony w komplet skórzanych ubrań przekraczam wrota świata fetyszystów. Jest jeszcze wcześnie, dopiero minęła północ, ale parkiet jest pełen. Tańczy kilkaset osób. Wszystko drży w rytm ciężkiego basu muzyki techno. Wystrój klubu też jest odpowiedni: stroboskopy błyskające na czerwono, na ścianach ozdoby w klimatach BDSM, za konsolą DJ-a wyświetlane są erotyczne montaże ze scenami seksu.

Pomieszczenia po obu stronach parkietu są oddzielone ciężką kotarą. Z jednej strony siedzi chłopak w skórzanej kurtce, szortach z PCV i oficerskiej czapce. Na piersi ma plakietkę „Dungeon master". Jego rolą jest kontrolowanie pokoju rozrywek, w którym poza materacami uczestnicy mogą znaleźć dyby i krzyż św. Andrzeja w kształcie litery „x" dostosowany do tego, by móc do niego przywiązywać ludzi. To wszystko pomysły Kondora, który odpowiada za wystrój wnętrza. – Chcemy, by nasza impreza wyróżniała się na tle innych tego typu – podkreśla.

Mijam dark room, samotne wchodzenie i obserwowanie jest jednak niezgodne z regulaminem. Żegnają mnie jęki rozkoszy i rytmiczne uderzenia ciał albo batów niknące w głośnym industrialnym bicie. Zza kotary czuć zapach ciał i perfum. Organizatorzy zastrzegają jednak, że tu nie chodzi tylko o seks. Istotne są otwartość na siebie i innych oraz odrzucenie konwenansów. Kluczowe znaczenie ma społeczność. To środowisko ludzi ciekawych, życzliwych i gotowych wesprzeć szczególnie te osoby, które dopiero wchodzą w ten świat. Jeszcze nie wiedzą, czego szukają. Nie potrafią nazwać swoich potrzeb. Tu mogą spotkać kogoś, kto pomoże im eksplorować własną seksualność i przekonać się, że nie trzeba się tego wstydzić.

– Podoba mi się ta atmosfera, głównie dlatego, że czuję się tu bardzo bezpieczna – mówi mi Gosia, jedna uczestniczek. – Nikt cię nawet nie dotknie bez twojej wyraźnej i entuzjastycznej zgody. Nie każdy przychodzi tu stricte dla seksu, ale też po prostu dla tej swobody wyrazu. Nieważne, w jak dziwnym i abstrakcyjnym stroju przyjdziesz, nikt cię nie oceni. Bardzo dobrze wpływa na mnie „realność" ciał innych ludzi – patrzy się na półnagie kobiety i mężczyzn, zwykłych ludzi. – To bardzo poprawia mój odbiór własnego ciała. Nie trzeba być idealnym, żeby być „hot".

Świadomiej znaczy bezpieczniej

Imprezy odwiedza bardzo różnorodna grupa. – Są tu eskapistyczni kierownicy wyższego szczebla leczący swoje życiowe fru-

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

FOT. IGORIGOREVICH/GETTY IMAGES

W Polsce coraz bardziej otwarcie organizowane są imprezy kinkowe – przestrzenie, w których można eksperymentować z własną cielesnością i fantazjami.

stracje, urzędnicy państwowi starający się za wszelką cenę utrzymać anonimowość – jednak na imprezie łatwo może się coś wymknąć, nauczycielki, debatujący o filozofii studenci kierunków artystycznych, matki w życiówce swojej kondycji, ludzie, którzy planowali outfit na swój lubieżny performance miesiącami, i kolesie w samej przepasce na biodrach albo nawet i bez niej – opisuje Julia, jedna z uczestniczek. Ciało skrywa niemal wyłącznie za fishnetem, na szyi ma obrożę. – Fantazjuję sobie, że to, co może łączyć tych ludzi, to dzika wolność ekspresji, pełen ekscytacji flirt z przyzwoleniem, a czasem wręcz zachętą do bycia sobą.

Kiedyś usłyszałam, że jeśli masz kompleksy, to przyjdź z nimi na Lusta, na pewno już je tu ktoś sfetyszyzował.

Wstęp na imprezę jest od 18 lat. – Nie uważasz, że to trochę za wcześnie? Że taka impreza może być dla kogoś demoralizująca? – pytam Kondora.

– Mam trzydzieści osiem lat, w 2000 r. miałem 13. Bawiłem się klockami, miałem marginalny dostęp do internetu. To były inne czasy. To nie jest tak, że otwieramy się dla osiemnastolatków po to, żeby mogli tu uprawiać seks. Oni i tak to robią. A tu przynajmniej mogą robić to w miejscu bezpieczniejszym. Staramy się też zadbać o uświadamianie ich, dlatego na każdej naszej imprezie jest stoisko SIN.

SIN, czyli Społeczna Inicjatywa Narkopolityki, jest organizacją pozarządową, która od kilkunastu lat zajmuje się edukacją i redukcją szkód wynikających z zażywania narkotyków. Od lat jest też obecna na imprezach i festiwalach, gdzie oferuje pomoc i stara się, by uczestnicy bawili się bezpiecznie. Przekonuje, że najlepiej jest nie brać substancji psychoaktywnych wcale, ale jeśli już się to robi, by robić to z możliwie najmniejszą dla siebie szkodą.

Ich stoisko spotykam trochę na uboczu, w oddaleniu od sceny i ostrych świateł. Ta przestrzeń ma sprzyjać wyciszeniu i pozwalać na spokojną rozmowę. Za stołem stoi drobna dziewczyna z burzą rudych włosów w stroju ewidentnie wpisującym się w dress code. Od uczestniczki odróżnia ją identyfikator z logo organizacji.

– Na pewno nie ma tu więcej ćpania niż na imprezach rave czy techno, tylko przez system kart klubowych ludzie się z tym mniej kryją, przez to, że to zamknięta społeczność. Dla nas jako partyworkerów to ułatwienie: ludzie bardziej otwarcie o tym mówią i widzimy, co się dzieje i co się bierze. Przez co łatwiej jest udzielić pomocy. Tu ludzie wydają się mieć na ten temat większą wiedzę, poza tym siłą rzeczy wymagana jest większa świadomość na temat zagrożeń związanych z cielesnością i zdrowiem, w tym chemseksu. Jasne, zdarzają się przypadki przedawkowania, zwykle alkoholu.

Na stoisku znajdują się przedmioty potrzebne w bezpieczniejszej zabawie: prezerwatywy, lubrykanty, słomki i chusteczki odkażające. Za stołem na ziemi rozłożone są materac oraz koce i poduszki, można na nich przysiąść i porozmawiać. Siadamy tam z Martyną, która koordynuje z ramienia SIN pracę na imprezach kink. Opowiada mi, jak wygląda współpraca z Lustem.

– Imprezy LS to paradoksalnie najmniej wymagające wydarzenia dla naszego zespołu – opowiada. – Myślę, że kluczowym czynnikiem jest tu wyższa średnia wieku uczestników oraz ich motywacja: eksperymentowanie odbywa się tu głównie w sferze cielesnej. Niemniej jednak nasze stoisko cieszy się dużym zainteresowaniem, również wśród osób pijących tylko alkohol bądź całkowicie trzeźwych. Zawsze mamy dostępne świeże owoce i elektrolity, co stanowi bezpieczną przystań dla każdego imprezowicza.

Niepozorny domek na Saskiej Kępie

Lust Supper to oczywiście niejedyna taka impreza w Polsce. Odwiedzam jeszcze Fetish Chateau, niepozorny, choć spory dom z ogródkiem na Saskiej Kępie. To największe studio BDSM w Polsce.

Jest pokój medyczny z fotelem ginekologicznym, sala do korepetycji z tablicą kredową i witkami dla niegrzecznych uczniów, piwnica stylizowana na mroczny dark room, sypialnia z wielkim łożem z możliwością krępowania i klatką pod materacem oraz wiele innych rozwiązań, które mają nawiązywać do najskrytszych fantazji klientów. Pokoje można wynająć na godziny oraz doby, ale odbywają się tu też imprezy, które w przeciwieństwie do Lust Supper mają klimat raczej domówki.

Staję przed dwoma kobietami zarządzającymi tą przestrzenią. Evil Woman jest zawodową dominą, świadczy odpłatnie usługi polegające na sprawowaniu kontroli i dominacji nad mężczyznami zgodnie z ustalonym wcześniej scenariuszem i zasadami bezpieczeństwa. Mocny makijaż, duże usta, równie duże piersi ściśnięte błyszczącą krótką sukienką z lateksu. Obok niej stoi Moon, menedżerka klubu. W Fetish Chateau zabawa odbywa się przy muzyce elektronicznej. Żeby wejść na imprezę, trzeba przestrzegać zasad i dress code'u. Nie ma opcji, by dostać się tu z ulicy; trzeba być wpisanym na listę, a za bilet płaci się z góry. Koszt: 150-200 zł zależnie od edycji, bilety można kupić na stronie studia. Na początku, jak tłumaczy Evil Woman, to miała być po prostu przestrzeń do wynajęcia.

– Zrobiliśmy pierwszą imprezę tylko dla znajomych i okazało się, że to jest niesamowicie klimatyczne miejsce na eventy – wspomina. Dziś organizują imprezy w całej Polsce: we Wrocławiu, w Krakowie, Gdańsku, Poznaniu.

Skąd decyzja o otwarciu takiej przestrzeni?

– Jestem zawodową dominą i po prostu chciałam mieć miejsce, gdzie ja i moje koleżanki będziemy mogły spotykać się z uległymi – mówi Evil Woman bez cienia skrępowania. Dziś Fetish Chateau ma już pięć lat. Przetrwało, mimo iż niemal zaraz po otwarciu wybuchła pandemia.

Przestrzeń jest naprawdę klimatyczna, ale nie tylko to przyciąga ludzi. Moon tłumaczy, że one same chodzą na inne fetyszowe eventy, roznoszą wieści, zapraszają ludzi, więc kiedy tylko ogłaszają datę, bilety wyprzedają się błyskawicznie. A kto właściwie przychodzi na te imprezy?
– Wszyscy! – śmieje się Evil Woman. – Mamy lekarzy, prawników, osoby pracujące fizycznie, panią ze sklepu, pana z budowy, młodych studentów.

Moon dorzuca, że to naprawdę ludzie w każdym wieku, a jedynym wspólnym mianownikiem jest otwarta głowa i chęć eksplorowania swojej seksualności. – Cała reszta tutaj nie ma żadnych etykietek – mówi. Także politycznych, bo w Chateau bawią się zarówno lewicowcy, jak i konfederaci. Dlatego jak czasem wejdzie się do pokoju chilloutowego, ludzie rozprawiają tam nierzadko o polityce czy nauce. Poważne debaty o sprawach światopoglądowych w skąpych strojach ze skóry i lateksu potrafią wyglądać naprawdę zabawnie.

Wątpliwości jednak są

Mimo że organizatorzy wkładają dużo wysiłku, by te imprezy były maksymalnie bezpieczne, pewne zagrożenia jednak istnieją.

– Wątpliwa bywa dla mnie momentami kwestia higieny – mówi Gosia. – To, ile osób jednego wieczoru uprawia seks na tym samym podłożu, sprawia, że jest ryzyko wymienienia się zarazkami. To dość małe grono, często wchodzące w interakcje seksualne z wieloma osobami naraz. Organizatorzy niby zapewniają środki odkażające do podłoża oraz prezerwatywy, ale one nie chronią przed wszystkim.

– Osoby chodzące na imprezy kinkowe są w grupie wyższego ryzyka zakażenia chorobami przenoszonymi drogą płciową przez częstszą zmianę partnerów i kontakt z płynami ustrojowymi – tłumaczy lek. Anna Kułak. – Prezerwatywy pozwalają na ograniczenie ryzyka zakażenia m.in. HBV, HCV czy HIV, ale należy pamiętać, że nie chronią chociażby przed HPV. Z kolei środki dezynfekujące powierzchnie mogą pomóc w utrzymaniu higieny, ale większość preparatów może nie działać w pełni na patogeny wywołujące choroby weneryczne. W tej sytuacji zagrożenie chorobami przenoszonymi drogą płciową jest realne.

Organizatorzy zdają sobie z tego sprawę. Były edycje Lust Supper, na których organizowano mobilny punkt badań w kierunku chorób przenoszonych drogą płciową.

Gosia zwraca też uwagę na kwestie emocjonalne. – Kogoś ten klimat na pewno może przerosnąć albo zestresować. To jednak dość duże przełamanie tabu, nie dla każdego jest to proste.

Konsultuję to z Marceliną Średniawską, psycholożką i edukatorką seksualną.

– Mimo że środowiska BDSM opierają się na zasadach bezpieczeństwa, świadomej zgody i otwartej komunikacji, mogą pojawić się zagrożenia psychiczne – jak w każdej intensywnej aktywności seksualnej – tłumaczy psycholożka. – Do najczęstszych należą przekraczanie własnych granic pod presją, by wypaść jak najlepiej. Osoby z doświadczeniem przemocy seksualnej są szczególnie narażone na flashbacki, czyli nagłe, niekontrolowane nawroty wspomnień lub doznań z momentu przemocy, które przeżywa się tak, jakby działy się tu i teraz. Choć podobne reakcje mogą występować także w codziennym życiu seksualnym, imprezy kinkowe ze względu na swoją intensywność mogą je nasilać lub wywoływać częściej.

Fala wznosząca

Imprezy kinkowe stają się w Polsce coraz popularniejsze. Na początku, w 2017 roku, Lust był domówką na 20 osób, obecnie przychodzi od 300 do 800 osób – w zależności od edycji – i wszystkie bilety się rozchodzą. Organizatorzy robią również letni festiwal w Gorzanowie pod nazwą Lust Summer, który odwiedzi ponad 300 osób. Z roku na rok imprezy cieszą się coraz większym zainteresowaniem.

– Wydaje mi się, że jako społeczeństwo jesteśmy bardziej otwarci i świadomi – mówi Kondor. – Jesteśmy w miejscu, w którym Niemcy byli 30 lat temu. Tam zawsze seksualność była czymś bardziej naturalnym, podobnie jest zresztą u Czechów czy Ukraińców. U nas otwartość w tej sferze od zawsze była związana z grzechem. Wydaje mi się, że to pobudzenie ma też związek z laicyzacją. Ludzie pozwalają sobie na więcej. I dobrze, że istnieją takie imprezy. Osoby, które kiedyś musiały się wstydzić, teraz mogą w końcu się realizować.

– W Polsce nie ma nawet tak naprawdę żadnego dedykowanego klubu fetyszowego, który rzeczywiście regularnie organizowałby takie imprezy, jak to się dzieje w Berlinie czy Londynie – przyznaje Moon. Ale obie z Evil Woman zgadzają się, że podobnych wydarzeń jest coraz więcej.

– Kiedy 10 lat temu wchodziłam do tego środowiska, odbywał się jeden, maksymalnie dwa eventy w miesiącu – mówi Evil Woman. Teraz praktycznie co tydzień coś się dzieje. ●

eprasa.pl 9a923e079a

ŻEBY

Jak zwiększyć dzietność w Polsce? Najprościej przez wprowadzenie przez państwo odpowiedzialnej polityki prorodzinnej. Czyli jakiej?

Marta Panas-Goworska

W najnowszych danych opublikowanych przez GUS wynika, że współczynnik dzietności w Polsce w 2024 r. wyniósł 1,099, to najniżej w całej Unii Europejskiej. Podczas gdy w 1990 r. kształtował się na poziomie 1,991. Dla zapewnienia zastępowalności pokoleń wartość tego wskaźnika powinna wynosić około 2,1. Oznacza to, że liczba urodzeń w Polsce jest obecnie o mniej więcej połowę niższa od poziomu gwarantującego utrzymanie stabilnej wielkości populacji.

Nic więc dziwnego, że płodność, rozrodczość i polityka prorodzinna są tymi tematami, które zagrzewają do dyskusji polityków różnych opcji. Prócz nich do polifonicznego chóru dołączają przedstawiciele kleru, medycy, działacze społeczni. W mniejszym stopniu sami zainteresowani, zwłaszcza kobiety. Najrzadziej jednak w dyskusjach o prawach reprodukcyjnych można usłyszeć prawników specjalizujących się w tych zagadnieniach. Analiza polskiego i unijnego ustawodawstwa niesie zaś ze sobą wnioski nieoczywiste, których wielu polityków nie widzi albo chciałoby nie dostrzegać.

Z **MARTĄ PUŚCION*** ROZMAWIA **MARTA PANAS-GOWORSKA**

MARTA PANAS-GOWORSKA: Obniżenie dzietności wpływa realnie na starzenie się społeczeństwa, a w konsekwencji jego obumieranie. I w tym wszyscy są zgodni. Jednak w kwestiach rozwiązań praktycznych, także dotyczących medycznego wspomagania rozrodu, panują chaos i niezrozumienie. Jak widzisz to ty i twoje środowisko?

MARTA PUŚCION*: Mamy do czynienia z katastrofą demograficzną i po prostu nas, Polaków, będzie ubywać. Odnoszę natomiast wrażenie, że nikt z nas nie chce się tym naprawdę na poważnie zająć.

Specjaliści od prawa też?

– Oczywiście, ponieważ prawo może zarówno zachęcać do powiększania rodziny, jak i zniechęcać do prokreacji.

Różni eksperci wypowiadają się właśnie w sprawie tego, co powinniśmy zrobić jako kraj, aby zachęcić Polaków do posiadania dzieci, ale i polepszyć kondycję demograficzną w Polsce. I jednym z takich rozwiązań, które mogłyby mieć wpływ na zwiększenie dzietności, jest wprowadzenie przez państwo i rząd odpowiedzialnej i dobrze zaplanowanej polityki prorodzinnej. Mam tu na myśli wprowadzenie różnych rozwiązań prawnych, które np. dotyczą podatków czy finansowania w jakiś sposób mieszkań dla rodzin, w szczególności młodych małżeństw czy osób, które mają małe dzieci.

Oczywiście zachętą mogą również być rozwiązania wprowadzane w przepisach, umożliwiające pełną realizację wolności prokreacyjnej.

Z tą wolnością prokreacyjną w Polsce mamy chyba szczególny problem. Ale czy nie wynika to po części z ogólnoeuropejskiej sytuacji legislacyjnej? O ile w Unii Europejskiej funkcjonuje jeden podstawowy dokument dotyczący szeroko rozumianych praw człowieka, tj. europejska konwencja praw człowieka, to pozostawiono państwom członkowskim spory margines samostanowienia. I jednego zapisu regulującego choćby wszystkie aspekty wspomagania prokreacji nie ma.

– Tak, ani na świecie, ani w Europie nie ma jednakowych uregulowań, które dotyczyłyby medycznie wspomaganej prokreacji, korzystania z jej zasad, a przede wszystkim tego, kto i kiedy ma dostęp do poszczególnych metod. Te rozdźwięki są spore, od niezwykle restrykcyjnego dostępu dla niektórych grup w jednych krajach, do bardzo dużej wolności w innych.

To znaczy, że nasza dzietność jest ściśle skorelowana z sytuacją prawną danego kraju?

– Tak. A skoro w Europie i na całym świecie występują takie różnice, to ma to swoje konsekwencje, które związane są z występowaniem turystyki prokreacyjnej.

Do tej pory w dyskursie publicznym funkcjonowało raczej pojęcie „turystyki aborcyjnej", a tu mamy niejako drugą stronę medalu. Co to właściwie jest turystyka prokreacyjna?

– Albo – jak częściej się mówi – transgraniczna opieka reprodukcyjna, co jest terminem uznawanym w Europie za bardziej neutralny. Polega ona na tym, że jednostki poszukują realizacji swoich planów reprodukcyjnych poza granicami kraju, w którym na co dzień mieszkają.

Można np. do turystyki prokreacyjnej zaliczyć podróże w celu realizacji planów rodzicielskich, ale też zakupu produktów leczniczych czy skorzystania z różnych świadczeń zdrowotnych.

Czytałam niedawno wywiad z parą polskich sportsmenek, które rozważają wyjazd za granicę, żeby poddać się procedurze in vitro. Byłyby przykładem takiego praktycznego wykorzystania transgranicznej opieki reprodukcyjnej?

– Tak, ale nie tylko pary homoseksualne czy osoby samotne szukają pomocy za granicą. Także osoby w pewnym wieku, przykładowo kobiety po menopauzie, decydują się właśnie na wyjazd z kraju i skorzystanie z medycznie wspomaganej prokreacji. Przede wszystkim związane jest to z występowaniem ograniczeń podmiotowych w danym kraju dotyczących dostępu właśnie do MAP-u albo z ograniczeniami tzw. przedmiotowymi.

Wyjaśnijmy od razu te pojęcia. MAP to z angielskiego medically assisted procreation, czyli medycznie wspomagane poczęcie. Kiedy natomiast możemy mówić o ograniczeniach przedmiotowych w kontekście prokreacji?

– W niektórych krajach ograniczenia są związane z dawstwem np. komórek jajowych czy nasienia. Istnieją np. różne regulacje dotyczące tego, kto może zostać dawczynią jajeczek, czy w ogóle można stosować dawstwo komórek rozrodczych kobiecych.

Czyli nie tylko rodzice pragnący potomstwa są beneficjentami turystyki prokreacyjnej. Kto jeszcze może na tym skorzystać? Osoby, którym z różnych względów zależy na jak największej dyskrecji?

– Na przykład, ponieważ chcą skorzystać z macierzyństwa zastępczego, które w wielu krajach jest zakazane. Niektórzy decydują się na wyjazd w związku z regulacjami dotyczącymi anonimowości dawców lub ich nieanonimizacji. Może też chodzić o możliwość skorzystania z badań.

Dopowiedzmy, diagnostyki w kierunku występowania ewentualnych wad genetycznych. A co w sytuacji, kiedy hipotetyczna kobieta zostaje sama w wyniku śmierci partnera? Czy to zamyka jej szanse na macierzyństwo z tym konkretnym człowiekiem? Jak to wygląda z prawnego punktu widzenia?

– Taka kobieta również może zdecydować się na skorzystanie z usług tego rodzaju poza granicami kraju. Są osoby, które chcą pośmiertnie wykorzystać komórki rozrodcze lub wcześniej stworzone zarodki.

I gdzie wtedy można pojechać?

– W Europie pożądanymi kierunkami prokreacyjnymi są Hiszpania, Czechy, Dania i Belgia. Takim „królestwem" dotychczas była Ukraina, natomiast od 2022 roku, od inwazji rosyjskiej, biznes surogacyjny został ograniczony. Można powiedzieć, że miejsce Ukrainy powoli zajmuje Albania, kraj, który będzie jeszcze bardziej otwierał się na osoby szukające macierzyństwa zastępczego.

Natomiast jeżeli chodzi o trendy światowe, to bardzo popularnym kierunkiem są Stany Zjednoczone.

Czy są prowadzone statystyki, jak duża jest skala tych wyjazdów?

– Szacuje się, że nawet 5 proc. świadczeń udzielanych w Europie obejmuje osoby niemieszkające stale w kraju korzystania z leczenia niepłodności. Głównym powodem wyjazdów są ograniczenia prawne dotyczące właśnie zakazu stosowania konkretnej metody leczenia albo niemożliwości skorzystania z MAP-ów ze względu na nieodpowiedni wiek, orientację seksualną czy status cywilny.

Mówiłyśmy o prawie do „dostępu do zgodnej ze standardami medycznymi opieki zdrowotnej w dziedzinie reprodukcji". Nie sposób jednak nie poruszyć i innych aspektów prawa reprodukcyjnego w rozumieniu UE i Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Znajdziemy w tamtejszych dokumentach zapis, zgodnie z którym „podstawowym prawem wszystkich par i jednostek" jest „swobodne i odpowiedzialne decydowanie o liczbie dzieci, odstępach między nimi i o czasie ich poczęcia".

– Nie tylko decydowanie o prokreacji, ale i unikanie prokreacji, bo to temat, który – jak mi się zdaje – wzbudza w Polsce większe emocje niż samo staranie się o dziecko.

Czyli zbliżamy się do haseł z „czarnych protestów" oraz kontrowersji wokół tabletki „dzień po"?

– Tabletka „dzień po" jest przyjmowana po odbyciu stosunku seksualnego, podczas

> Do turystyki prokreacyjnej można zaliczyć podróże w celu realizacji planów rodzicielskich, ale też zakupu produktów leczniczych czy skorzystania ze świadczeń

eprasa.pl 9a923e079a

NAS NIE UBYWAŁO

którego nie były użyte inne metody antykoncepcji. Działa w ten sposób, że zatrzymuje owulację oraz utrudnia zapłodnienie komórki jajowej. Czyli de facto można powiedzieć, że głównym celem zastosowania tej tabletki jest zapobieganie poczęciu dziecka, a nie przerwanie istniejącej ciąży. Rekapitulując, celem przyjęcia tabletki „dzień po” nie jest aborcja.

Problem nie zasadza się więc w samym preparacie, ale w niezrozumieniu, celowym bądź nie, jej działania?
– Moim zdaniem to właśnie z tego powodu, że wiele osób nie rozumie, jak działa tabletka, często uznaje więc, że dochodzi do terminacji ciąży. A to nie jest tożsame, za pomocą takich preparatów zapobiegamy ciąży, a nie ją usuwamy.

Jeszcze do niedawna był problem z dostępnością tabletki. A może nie tylko dostępnością, bo w dobie wyszukiwarek w kilka minut można zlokalizować poszukiwany lek w dowolnej aptece w Polsce. Gorzej, że najpierw trzeba nieraz dosłownie uprosić lekarza, żeby zechciał nam ją przepisać...
– Przez pewien czas była ona faktycznie dostępna jedynie na receptę. Potem wprowadzono zmianę i wystarczyło pójść do apteki, aby ją kupić. Później znowu wprowadzono obowiązek uzyskania preskrypcji na ten lek. W czasie poprzednich wyborów parlamentarnych oraz częściowo w trakcie kampanii prezydenckiej trwała dyskusja dotycząca tego, w jaki sposób należy umożliwić korzystanie z tego typu świadczenia zdrowotnego.

We Francji, gdzie statystycznie na jedną kobietę rodzi się aż 2,1 dziecka, ten sam lek wydawany jest bezpłatnie uczniom przez szkolne pielęgniarki.
– Spór dotyczący sprzedaży tabletki „dzień po”, czyli antykoncepcji awaryjnej, powstał z tego względu, że prezydent Andrzej Duda zapowiedział, że nie zgodzi się na podpisanie żadnej ustawy, która znosiłaby recepty na tę pigułkę. Zawetował projekt nowelizacji ustawy, a tłumaczył to tym, że pozwalałaby na zakup tabletki osobom od 15. roku życia bez konieczności wyrażenia zgody przez ich przedstawiciela ustawowego.

Ministerstwo Zdrowia niejako obeszło potencjalne weto prezydenta, wprowadzając rozporządzenie o programie pilotażowym, który zakłada możliwość wypisywania recept na pigułkę „dzień po” przez farmaceutów.

Podkreślmy jednak pewną znaczną, by nie powiedzieć grubą, nieścisłość prawną. Z bólem gardła czy nieżytem nosa nastolatek powinien uzyskać zgodę na badanie lub leczenie od rodzica lub opiekuna prawnego. Ale ten sam, powiedzmy piętnastolatek, może już zgodnie z prawem współżyć, choć to oczywiście temat na odrębną rozmowę.
– Tak, przede wszystkim jest to związane z granicą wieku, po którego przekroczeniu każdy z nas może legalnie uprawiać seks. Uzasadnione to było również opinią ginekologów, którzy wskazują, że po prostu dziewczęta w tym wieku osiągają już dojrzałość płciową. Dlatego postanowiono umożliwić dzieciom od 15. roku życia zakup takiej tabletki.

Wiemy już, że antykoncepcja awaryjna nie ma nic wspólnego z przerywaniem ciąży. Jednak tematu aborcji nie da się w naszej dyskusji pominąć?
– Mam wrażenie, że problem aborcji – ważny z punktu widzenia wolności prokreacyjnych i praw wszystkich, w szczególności kobiet w Polsce – jest mimo wszystko tematem zastępczym. Najważniejsza jest depopulacja Polski. To tym powinniśmy się naprawdę bardzo poważnie zająć.

Czyli aborcja według ciebie nie ma tak istotnego wpływu na demografię Polski?
– Jak wcześniej mówiłyśmy, dostęp do terminacji ciąży stanowi zagadnienie o istotnym znaczeniu w demografii, ponieważ wpływa na wybory prokreacyjne. Konieczne jest również poszerzanie dostępu do procedur medycznie wspomaganej prokreacji i leczenia niepłodności. Jednak działania te – choć istotne – nie są wystarczające, aby polepszyć sytuację Polski.

Co jeszcze należałoby z punktu widzenia prawniczki, ale także osoby na co dzień zajmującej się prawami reprodukcyjnymi zrobić?
– Przede wszystkim powinniśmy wyposażyć osoby w odpowiednią wiedzę na temat zdrowia reprodukcyjnego. Zainwestować w edukację już od najmłodszych lat, abyśmy mogli zrozumieć, jaki wpływ na płodność mają decyzje podejmowane w odniesieniu np. do używek, alkoholu czy żywności, którą spożywamy.

Wydawać by się mogło, że to, czy się z kimś wiążemy, czy nie, ma wydźwięk emocjonalny i indywidualny, jednak samotność czy niespełnienie w związku wpływa na całokształt społecznego dobrostanu. A tym bardziej fakt, czy w naszych związkach pojawiają się bądź nie dzieci. Z tej perspektywy brak ewentualnego potomstwa nie jest już tylko naszą osobistą sprawą. Czyją zatem również? Lekarzy, prawników?
– Po pierwsze, odnoszę wrażenie, że samo pojęcie niepłodności bardzo się zmedykalizowało. Po drugie, mamy tu do czynienia ze zmianą rozumienia niepłodności, czyli przejściem z jego rozumienia medycznego do rozumienia w kontekście społecznym. To ma wpływ przede wszystkim na zakres zastosowania i wykorzystywania medycznie wspomaganej prokreacji.

Jeżeli bowiem uznamy, że niepłodność społeczna powinna umożliwiać skorzystanie z MAP, wtedy powinniśmy stwierdzić, że osoby samotne, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ale też osoby homoseksualne, również powinny mieć dostęp do MAP-u na równi z parami heteroseksualnymi, pozostającymi w związku małżeńskim i w związkach nieformalnych.

Barierą będzie orientacja seksualna?
– Nie tylko. Niepłodność społeczna jest związana z wykorzystaniem tych wszystkich metod MAP wśród osób, szczególnie kobiet, które już naturalnie nie mogą mieć dzieci, natomiast kiedyś mogłyby być nawet płodne, ale już przeszły menopauzę, więc nie mogą naturalnie począć dziecka. Również takie osoby możemy uznać za niepłodne z perspektywy społecznej.

Dodajmy, że menopauza nie zawsze jest konsekwencją fizjologii kobiety, coraz częściej mówi się o przedwczesnej, czy wręcz wymuszonej menopauzie, z którą mogą mieć do czynienia nawet trzydziestolatki. Na co więc powinniśmy zwrócić uwagę w kontekście niepłodności społecznej?
– Legislatorzy muszą dostrzec konsekwencje psychologiczne i społeczne niepłodności. Niepłodności rozumianej w jakikolwiek sposób, czyli sytuacji, w której dana jednostka czy dana para nie może mieć dziecka, a które w równym stopniu dotykają osoby ze zdiagnozowaną niepłodnością, jak i osoby społecznie niepłodnej.

Konsekwencje te są związane np. ze stresem wynikającym z tego, że te osoby nie mogą mieć dziecka, a wskazują często na brak np. satysfakcji związanej właśnie z niemożliwością spełnienia pragnienia o potomstwie.

Powiedziałaś, że „powinniśmy zainwestować w przekazywanie dobrych informacji na temat płodności”. Zakończmy więc praktycznymi wnioskami. Czy prawniczka i prawo jako takie mogą być użyteczne dla osób starających się o potomstwo?
– Oczywiście, że tak, ponieważ jeżeli jako państwo decydujemy się na to, że uznajemy rodzicielstwo i posiadanie dzieci za niezwykle ważną wartość, właściwie z każdej perspektywy, w szczególności dla całego społeczeństwa, to również jako państwo powinniśmy wprowadzać odpowiednie rozwiązania, które będą zachęcać do posiadania dzieci.

Co warto podkreślić, to to, że już w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, w której w pierwszej części poświęconej zasadom ustroju naszego państwa znajduje się przepis, który mówi o tym, że właśnie małżeństwo, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod szczególną ochroną i opieką państwa. Dlatego też państwo powinno, ale także musi prowadzić politykę prorodzinną. Natomiast powinno się to odbywać w przemyślany i dobrze zaprojektowany sposób.

Jak twoim zdaniem powinni się do tego odnieść nasi decydenci?
– Konieczne jest wprowadzenie zmian w przepisach i umożliwienie realizacji pełni praw prokreacyjnych dla wszystkich osób, niezależnie od płci, orientacji seksualnej bądź wieku.

Powinny zostać wprowadzone odpowiednie zmiany w przepisach dotyczących aborcji, a także zmiany w przepisach dotyczących ustawy o leczeniu niepłodności. Należy rozszerzyć dostęp do terminacji ciąży dla kobiet, który obecnie – na skutek wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. – jest ograniczony jedynie do dwóch przesłanek. Konieczne jest również zapewnienie szerszego dostępu do leczenia niepłodności dla wykluczonych obecnie grup takich jak m.in. samotne kobiety.

W zakresie problemów demograficznych polskie państwo powinno prowadzić politykę prorodzinną, która będzie w odpowiedni sposób zaprojektowana. ●

***Marta Puścion**

• prawniczka specjalizująca się w prawach reprodukcyjnych, badaczka polskiego i unijnego ustawodawstwa odnoszącego się do demografii, zdrowia reprodukcyjnego, a także seksualności.

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl 9a923e079a

Most zły

Większość ludzi w sytuacjach, które wydają się beznadziejne, decyduje się żyć

Z **CHRISTIANEM RÜCKEM,** SZWEDZKIM PSYCHIATRĄ ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

FOT. JUSTIN SULLIVAN/GETTY IMAGES

FOT. JUSTIN SULLIVAN/GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

DOROTA WODECKA: Czy każdy z nas jest gotów się zabić, a jeśli do tej pory tego nie zrobił, to tylko dlatego, że nie znalazł się w sytuacji, która by go do tego powiodła?
CHRISTIAN RÜCK*: To prawda. Każdy z nas jest zdolny do samobójstwa, co jest wyjątkową cechą gatunku ludzkiego. Wszyscy dorośli nosimy w sobie tę możliwość, czy też ryzyko, i kwestią okoliczności może być, czy z tej możliwości skorzystamy.

W mojej książce pojawia się uderzający przykład: kiedy w trakcie zamachu terrorystycznego na World Trade Center z okien wieżowca wyskoczyło prawie 200 osób. Zostały uwięzione ponad pożarem na najwyższych piętrach. Były w ekstremalnej sytuacji.

Osoby w głębokiej depresji też czują się, jakby zostały uwięzione na szczycie wieży World Trade Center, a pod nimi szaleje ogień. I one też mogą podjąć decyzję o pozbawieniu siebie życia.

Rocznie na całym świecie taką decyzję podejmuje około 800 tys. ludzi. Jest ich więcej niż ofiar wojen i morderstw razem wziętych. Dwie z trzech osób odbierających sobie życie to mężczyźni, a próby samobójcze podejmowane przez nich częściej kończą się śmiercią.

Czy wiemy, dlaczego w tych samych okolicznościach jedni się zabiją, a inni będą żyć?
– Nie, tego też nie wiemy.

Większość ludzi w sytuacjach, które wydają się beznadziejne, decyduje się żyć.

Wystarczy wspomnieć więźniów Auschwitz, którzy przecież nie rzucali się masowo na druty pod napięciem, lub osoby ciężko chore i cierpiące. Nie potrafimy przewidzieć, kto umrze wskutek samobójstwa. Oczywiście, kiedy trafia do szpitala mężczyzna w średnim wieku z liną zawiązaną wokół szyi, to wiemy, że musimy natychmiast działać farmakologicznie i psychoterapeutycznie, bo ryzyko, że on się zabije, jest bardzo duże.

W większości przypadków nie mamy takiej zdolności przewidywania, niestety. Każdy bowiem ma taką dziurę w ziemi, do której w pewnym momencie może wpaść, ale nawet jeśli nie możemy przewidzieć dokładnie, kto w nią wpadnie, to możemy starać się temu zapobiegać.

Napisałeś książkę o samobójstwie i eutanazji, która została uznana za szwedzką książkę roku w kategorii non fiction. Co cię zmotywowało do jej napisania? Poczucie winy z powodu samobójstwa twojej pacjentki, którą wypisałeś ze szpitala, czy empatia wobec swojej rodziny mierzącej się z tajemnicą samobójczej śmierci twojej ciotki?
– Jako psychiatra pracuję w systemie opieki zdrowotnej, gdzie najczęściej staramy się samobójstwem zarządzać. Czyli minimalizować jego ryzyko, leczyć, prowadzić terapię. Mój cel przy pisaniu tej książki był inny. Chciałem otworzyć swoje serce na problem samobójstwa, zbliżyć się do niego i rzeczywiście je zrozumieć. Motywowały mnie do tego moje osobiste doświadczenia, o których wspomniałaś.

Kiedy zostajemy zderzeni z samobójstwem naszych bliskich, dobija nas poczucie winy, że przeoczyliśmy sygnały zapowiadające dramat. Zarzucamy sobie, że gdybyśmy byli bardziej uważni, nie doszłoby do niego.
– Samobójstwo popełnia się ukradkiem, oszukując bliskich. Nikt nie powie: dziś w nocy się powieszę, tylko raczej zachowa się niczym złodziej zakradający się nocą do domu. Samobójcy najczęściej nie zostawiają listów do bliskich, co tylko potęguje ich zagubienie i niezrozumienie, co i dlaczego się stało.

Ta kombinacja sekretnego działania i niezrozumienia motywów plus trudność przewidzenia tego, co się stało, utrudnia ludziom radzenie sobie z samobójczą śmiercią swoich bliskich. Chciałbym im przekazać bardzo ważną wiadomość, może niełatwą do zrozumienia, ale ważną.

Tak?
– Czyjeś samobójstwo nie jest konsekwencją czy skutkiem tego, że popełniliście błędy. Czyli to nie dlatego jakaś osoba się zabiła, że do niej nie zadzwoniliście w poprzednim tygodniu. A zwykle ludzie czują, że to oni zrobili coś złego i to z tego powodu ktoś inny odebrał sobie życie. Nie, to nie jest ich wina.

Samobójcze myśli ma co ósmy Polak, a co półtorej godziny ktoś próbuje odebrać sobie życie. Skoro myśli samobójcze są tak powszechnym doświadczeniem, ciebie też dopadły?
– Myśli o samobójstwie mogą być bierne, rozważające taką możliwość czy zjawisko, i one nie są niepokojące. Alarmujące są myśli o aktywnym działaniu, czyli konkretnym sposobie, w jaki dana osoba planuje zakończyć życie. Ja myślałem o samobójstwie, ale nigdy nie miałem myśli, które wskazują na to, że mógłbym się zabić.

Chciałbym jednak do tych statystyk dodać trochę nadziei. Skłonności samobójcze są problemem psychiatrycznym, który ma dobre rokowania, co oznacza, żewiększość osób, które mają myśli czy podejmuje poważne próby samobójcze, ostatecznie jednak przeżywa i żyje dalej.

W wielu krajach liczba samobójstw w ostatnim czasie spada. Na przykład w Finlandii, w naszym sąsiadującym kraju, w ciągu 20 lat spadła o 50 proc.

Finowie są najszczęśliwszym narodem na świecie.
– Ale nikt, kto odwiedził Finlandię, w to nie wierzy. W każdym razie, chociaż w samobójstwie są pewne aspekty związane z beznadzieją, bo jest ono wyrazem najwyższej formy poczucia beznadziei, to jednak sytuacja sama w sobie, związana z samobójstwami, nie jest beznadziejna.

Nie jest prawdą, że kiedy ktoś targnie się raz na swoje życie, to targnie się kolejny raz aż do skutku?
– Moje doświadczenie zdobyte zarówno w pracy nad książką, jak i w klinice, pozwala mi stwierdzić z pewnością, że to nie jest prawda.

Ludzie, którzy podjęli próbę samobójczą i zostali uratowani, czują wstyd, że chcieli ze sobą skończyć, i radość, że żyją. Oni nie chcieli umrzeć, tylko życie było dla nich za trudne, żeby żyć. Nie widzieli innego rozwiązania, by zakończyć swoją niemożność podołania życiu, ale z pewnością chcieliby je mieć.

Osoby, które przeżyły skok z mostu Golden Gate, a przeżywa go jeden, dwa procent, mówiły, że skacząc, miały nadzieję, że przeżyją. Cytuję w książce wypowiedź jednego z mężczyzn.

Mówił: „Wiedziałem, że przeżyję. Myślałem sobie, że tym, co różni tych, którzy umierają, od tych, którzy przeżywają skok z Golden Gate, jest chęć życia, a ja miałem ją wyjątkowo silną". To jest jednak zaskakujące, że skaczesz, bo chcesz się zabić, a myślisz, by przeżyć.
– Niekoniecznie zaskakujące. Zaskakująco łatwe jest powstrzymanie ludzi przed próbą samobójczą. Wystarczy na przykład postawić barierki na mostach, które upodobali sobie samobójcy, by zniechęcić ich do odebrania sobie życia.

Nie są wysokie, teoretycznie mogliby się na nie wspiąć, ale tego nie robią. I nie szukają innych mostów, o czym wspominam w książce, przywołując przykład dwóch mostów w Waszyngtonie leżących blisko siebie. Na jednym z nich dochodziło do połowy samobójstw w mieście. Kiedy zamontowano bariery, które utrudniały skok do Potomacu, samobójstwa w tym miejscu całkowicie ustały.

Rzut kamieniem jest drugi most, bez siatki, ale tam z kolei liczba samobójstw nie wzrosła, podobnie jak nie wzrosła na żadnym moście w mieście.
– Wystarczy naprawdę niewielki czynnik, niewielkie zakłócenie procesu, żeby przerwać działanie samobójcze.

W ramach tak zwanej prevention through design, która jest metodą projektowania niekoniecznie wygodną dla całego społeczeństwa, ale chroniącą jednostki, siatkujecie w Szwecji mosty albo stawiacie barierki przy torach w miejscach, gdzie dochodziło do częstych samobójstw.
– W ten sposób utrudnia się ludziom odebranie sobie życia. Przekonanie o tym, że to nie ma najmniejszego sensu, bo i tak znajdą sposób, by się samemu zabić, okazuje się bezpodstawne.

Mówiłeś, że uratowani wstydzą się. Z jakiego powodu?
– Ich akt samobójczy jest publicznym wyznaniem, że znaleźli się na takim dnie, że nie warto żyć. I to upublicznione wyzwanie bywa powodem wstydu.

Przytaczam w książce list pożegnalny Virginii Woolf do męża. Bardzo mnie jego tekst porusza, bo na wszelkie sposoby starała się go przekonać, że zrobił wszystko co możliwe i że nie ma w tym żadnej jego winy. Wręcz pisze, że jedyne, co jej pozostało, to pewność jego dobroci.

Więc samobójcy rozumieją, że ich akt będzie katastrofą dla ich bliskich, co też jest potem źródłem wstydu i żalu.

Emil Cioran, emigrant rumuński żyjący w Paryżu, mówił, że myśl o możliwości popełnienia samobójstwa trzyma go przy życiu.
– Część osób znajduje pociechę w myśli, że jeśli już będzie w takim potrzasku, że nie będzie mogła liczyć na pomoc, może się sama usunąć z tego świata.

Przykład Belgijki Natalii Jacobs, cierpiącej na zaburzenie afektywne dwubiegunowe, dowodzi, że nie jest to tylko powszechnie znany bon mot. Miała wyznaczoną datę eutanazji, a ty rozmawiałeś z nią trzynaście lat później. Przed planowaną śmiercią zmieniła radykalnie swoje życie, wyzwalając się z presji oczekiwań społeczeństwa, i zdaje się, to wystarczyło, by mogła żyć dalej mimo bólu psychicznego.
– Natalia twierdzi, że bardzo pomogła jej rozmowa z psychiatrką. Nie odwodziła jej od eutanazji, ale rozmawiała z nią na temat ścieżki życia i ścieżki śmierci. Osobom, które myślą o samobójstwie, trudno porozmawiać o tym z kimkolwiek, bo ludzie boją się tego tematu i świrują, jak słyszą, że ktoś chce popełnić samobójstwo.

Dla Natalii już sama rozmowa była bardzo pomocna. Lekarka zaproponowała jej, by w tym czasie, jaki jej pozostał, zaczęła żyć pełnią życia. Natalia odeszła z pracy, zerwała kontakt z rodzicami i toksycznymi przyjaciółmi. Pomyślała, że teraz już może robić wszystko, na co ma ochotę, bo i tak już niedługo umrze.

I po pewnym czasie nagle poczuła, że jednak warto żyć, że życie jest warte życia. Nie jest to zaskakujące. W Stanach Zjednoczonych pacjenci, którzy dostaną zezwolenie na eutanazję, czyli przekonali lekarzy, że ich życie jest nie do zniesienia i nie mogą już dłużej żyć, kiedy dostają tabletki, które mogą zażyć w domu i skończyć swoje cierpienie, ostatecznie tego nie robią.

Opisujesz praktyki eutanazji w różnych krajach. Zdziwiło mnie twoje zdanie, że jesteś skołowany, gdy czytasz warunki niezbędne do tego, by belgijski lekarz mógł zabić pacjenta leczącego się psychiatrycznie. „Zabić" to bardzo mocne oskarżenie, zważywszy, że ów lekarz nie łamie prawa.
– W różnych krajach przyjęto różne rozwiązania prawne. W Szwajcarii nie jest dozwolona eutanazja, tylko wspomagane samobójstwo. Różnica jest taka, że o ile w wypadku eutanazji to lekarz kończy życie pacjenta, wstrzykując mu śmiertelną mieszankę leków, tak w wypadku wspomaganego samobójstwa to dana osoba sama przyjmuje tę śmiertelną dawkę, którą otrzymuje od lekarza. Czyli lekarz tylko ułatwia jej popełnienie samobójstwa.

W Belgii, o której tam była mowa, dozwolona jest eutanazja, czyli lekarz kończy życie tej osoby. I słowem „zabić" chciałem jasno i wręcz brutalnie powiedzieć, co się tak naprawdę dzieje, ale moje zdanie nie ma na celu osądzenia kogokolwiek.

Więc o co ci idzie?
– Eutanazja jest tak mocno naładowanym moralnie pojęciem i zjawiskiem, że wymyślane są kolejne jej nazwy, by złagodzić to, czym jest. Oficjalną nazwą, jaka obowiązuje aktualnie, jest „medyczne wspomaganie umierania", co brzmi całkiem przyjemnie, a nawet pozytywnie.

To jest typowe dla trudnych tematów, że się wymyśla dla nich nowe pojęcia, nowe terminy, żeby to, czego dotyczą, brzmiało łagodniej. A ja chciałem się temu przeciwstawić i dlatego użyłem słowa „kill", czy zabić, żeby obudzić czytelnika.

Bo przecież skoro lekarz kończy życie pacjenta, szykując mu śmiertelną dawkę substancji, to tego pacjenta zabija. Chciałbym dodać, że zadaniem lekarza jest ratowanie życia, ratowanie osób chorych i zaskoczeniem jest dla mnie, że wielu lekarzy tak łatwo uznało, że w porządku jest wstrzykiwanie pacjentom zabójczych substancji.

Ale jakie mają wyjście? Przecież nie będą powoływać się na klauzulę sumie-

Osoby, które przeżyły skok z mostu Golden Gate, a przeżywa go jeden, dwa procent, mówiły, że skacząc, miały nadzieję, że przeżyją

eprasa.pl 9a923e079a

nia, skoro prawo wymaga od nich właśnie wstrzykiwania pacjentom zabójczych substancji?
– W Belgii często lekarze używają argumentu, dlaczego to oni mają decydować za osoby, które chcą poddać się eutanazji. Ale ja tak tego nie widzę. Ja myślę, że to, co oni robią, to jest poddanie się beznadziei. Zastanawiam się, jak to możliwe, że psychiatra przed południem stara się powstrzymać swoich pacjentów przed samobójstwem, a po południu wstrzykuje innym pacjentom śmiertelny zastrzyk. Ja tych dwóch rzeczy nie potrafię połączyć.

Australijski lekarz, zwany Doktorem Śmierć, który dziesięć lat temu stracił prawo wykonywania zawodu, pracuje obecnie nad maszyną zwaną Sarco, w której to algorytm, a nie lekarz, zdecyduje, czy człowiek jest w pełni władz umysłowych, by móc się zabić.
– Sarco wymyślone przez Philipa Nitschkego to kapsuła z plastiku, w której może zmieścić się człowiek. Gotów na odebranie sobie życia naciska stosowny przycisk, co powoduje, że sarkofag wypełnia się zabójczym gazem.

Zespół Nitschkego pracuje nad stosownym algorytmem, by wyeliminować potrzebę mieszania się w eutanazję personelu medycznego. Ten, kto zda test przed sztuczną inteligencją, otrzyma czterocyfrowy kod, który aktywuje Sarco. Algorytm będzie wydawać ocenę niezależnie od osobistych poglądów lekarza. Jestem temu przeciwny.

W Belgii i Holandii dozwolona jest eutanazja z powodu cierpienia psychicznego. Opisujesz przypadki młodych ludzi, którzy dostali na nią zgodę, a chorowali na depresję, autyzm, PTSD, czyli choroby, które można skutecznie leczyć.
– W Holandii i Belgii główną przyczyną, z powodu której ludzie ubiegają się o prawo do eutanazji, nie są powody psychiatryczne, tylko choroby somatyczne, głównie nowotwory. Ale oczywiście przyczyny psychiatryczne też są częste.

To, co wydaje się atrakcyjne osobom, które o nią wnioskują, to po pierwsze ulga w cierpieniu, poczucie kontroli, szansa na przyjemną śmierć, jeśli tak można powiedzieć.

Unikają tych okrutnych aspektów samobójstwa, o których już mówiliśmy. Nie muszą używać żadnej drastycznej metody, nie zaskakują swoich bliskich, a nawet ci bliscy mogą im towarzyszyć przy śmierci, co się może wydawać dobre.

Mówimy o osobach z problemami psychiatrycznymi, a zważywszy na to, jak często takie osoby mają myśli samobójcze, nic dziwnego, że zaczynają poszukiwać takiej ścieżki, jeżeli jest taka prawna możliwość.

Zaskoczyło mnie, jak łatwo można z niej skorzystać.
– Jestem przeciwnikiem eutanazji z powodów psychiatrycznych. Uważam, że to jest niebezpieczne, bo otwiera drogę do czegoś, nad czym możemy stracić bardzo łatwo kontrolę.

Uważasz, że państwo ma prawo zabronić obywatelom eutanazji? Przecież nie zabrania im samobójstwa.
– Zarówno Szwecja, jak i Polska za naszego życia przeszły przemianę od idei kolektywistycznej do promowania wartości indywidualistycznych. Wraz z tą zmianą zmieniło się podejście do samobójstwa. Przez wieki było ono zabronione z powodów religijnych czy moralnych.

W starożytnej Grecji samobójstwo było zakazane, a samobójców chowano na uboczu, nie oddając im honorów. Platon kategorycznie sprzeciwiał się samobójstwu, zaś jego uczeń Arystoteles dopuszczał je w przypadku silnych bólów głowy i choroby.
– W starożytnym Rzymie dopuszczalne były samobójstwa honorowe. Dość wspomnieć Lukrecję, która zgwałcona przez przyjaciela męża zabiła się, dając swoją drogą podwaliny pod powstanie rzymskiej republiki.

W starożytnym Rzymie przykładano wagę do honoru, szacunku i godności. Być może najczęstszą akceptowaną przyczyną samobójstwa był wstyd. Żołnierz wolał upaść na własny miecz, niż zostać pojmany; ktoś inny zabijał się, bo popadł w długi lub jego dziecko swoim zachowaniem przynosiło hańbę całej rodzinie.

Szokującą kategorią były zgwałcone kobiety, bo wstyd okrywał w takich przypadkach ofiary, a nie sprawców. I to właśnie one mogły poprzez samobójstwo odzyskać swój honor, tak jak zrobiła to Lukrecja.

Ale od czasów Augustyna znika jakiekolwiek usprawiedliwienie dla samobójstwa. W książce „Państwo Boże", którą napisał w 410 roku, dowodził, że chrześcijaninowi nie wolno odebrać sobie życia w żadnych okolicznościach. Jest ono sprzeczne z przykazaniem: Nie zabijaj.
– Tomasz z Akwinu ugruntował postrzeganie samobójstwa jako bezwarunkowego błędu, powtarzając za Augustynem, że życie jest darem i wyłącznie Bóg może je dawać lub odbierać.

Ten chrześcijański pogląd wpływał na zachodnie prawodawstwo. Państwo karało rodzinę zmarłego, zajmując jego dobytek lub wtrącając do więzienia tych, którzy przeżyli próbę targnięcia się na swoje życie. Zgodnie ze szwedzkim prawem z 1734 roku taki człowiek mógł zostać skazany na „karę więzienia o wodzie i chlebie, ziarnie lub ryżu, w zależności od okoliczności".

Za to w Prusach dwadzieścia lat później Fryderyk II nakazał znieść karę, która groziła niedoszłym samobójcom. W 1823 roku Wielka Brytania uchyliła wymóg, żeby chować samobójców na rozstaju dróg i z kołkiem wbitym w ciało.

W Szwecji dopiero w 1908 roku zaczęto chować samobójców na cmentarzach publicznych. W Indiach, gdzie liczba samobójstw wykracza ponad średnią, dopiero w 2017 roku zniesiono karę – nawet rok więzienia – za próbę samobójczą.

Jednak kultura indywidualistyczna, która kładzie silny nacisk na kwestie wolności, wpłynęła na postrzeganie zarówno samobójstwa, jak i prawa do wspomaganego zakończenia życia czy eutanazji. Człowiek ma wolność i prawo do decydowania także o swojej śmierci. To jest stosunkowo nowa myśl, ale wydaje się, że większość osób ją akceptuje. Na przykład w Niemczech Sąd Najwyższy uznał, że samostanowienie, możliwość wyboru własnej śmierci, jest jednym z praw człowieka.

I to jest interesujące, że równocześnie funkcjonują dwa sprzeczne przekonania. Bo z jednej strony większość ludzi popiera prawo do decydowania o swojej śmierci, a z drugiej strony nadal mamy przekonanie kulturowe, że samobójstwo jest czymś złym.

W Polsce, tak jak i w Szwecji, eutanazja nie jest dozwolona prawnie, ale wydaje się, że dla wielu osób jest akceptowalna jako idea. Równocześnie jednak poparcie dla programu „Zero samobójstw" jest w Szwecji bardzo duże.

Twoje projekty badawcze wpisują się w szwedzką strategię rządu: „Zero samobójstw". Mam wątpliwość, czy działania państwa mogą sprawić, że ludzie przestaną odbierać sobie życie.
– „Zero samobójstw" jest ideą niemożliwą do zrealizowania, ani celem, do którego powinniśmy dążyć. Obawiam się również, że przyjęta przez szwedzki rząd strategia może wywoływać fałszywe przekonanie, że samobójstwo w ogóle nie powinno się zdarzać, a skoro się zdarza, to stoi za tym czyjś błąd.

To nieprawda. Nie ma żadnego sposobu, by je całkowicie wyeliminować, ale ich liczbę możemy zredukować i na tym zasadza się szwedzki plan.

Jego inspiracją jest szwedzka strategia zera osób ginących na drogach, którą przedstawiono w 1997 roku. Wtedy na drogach ginęło około 500 osób rocznie.
– Budowano ronda, stawiano bariery energochłonne, fotoradary, montowano blokady alkoholowe. Celem było ograniczenie liczby ofiar wypadków drogowych o połowę do 2020 roku i cel osiągnięto – ich liczba zatrzymała się na 204.

Szwecja ma obecnie jeden z najniższych na świecie wskaźników osób zabitych na drogach – niższy o ponad połowę od średniej w Unii Europejskiej, a w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi, w Szwecji ginie niemal sześć razy mniej osób w przeliczeniu na liczbę mieszkańców.

Widzę jednak różnicę między zbudowaniem ronda a powstrzymaniem człowieka przed samobójstwem, zważywszy, że jak ustaliliśmy, nie wiadomo, kto je popełni i w jakich okolicznościach. Trudno więc mówić o działaniach prewencyjnych.
– Prewencyjne jest osiatkowywanie mostów. Nie wiem, czy pamiętasz, ale wspominam w książce, że liczba samobójstw w Wielkiej Brytanii spadła, kiedy w kuchenkach gazowych zaprzestano używać gazu pozyskiwanego z węgla kamiennego, który zawierał wysoki poziom tlenku węgla.

Na początku lat 60. XX wieku zaczęto wytwarzać gaz z innego węgla, a z czasem zastąpiono go gazem ziemnym. Ilość tlenku węgla w dostarczanym do domów gazie drastycznie spadła do poziomu, który nie był już groźny dla ludzi.

I uwaga, kiedy spadła liczba samobójstw popełnianych z użyciem gazu, nie wzrosła liczba samobójstw przy zastosowaniu innych metod. Szczególnie wyraźny spadek odnotowano wśród osób starszych.

Decydującym czynnikiem ograniczenia liczby samobójstw w Finlandii był szybki dostęp do pomocy psychiatrycznej.

Jedną z metod zmniejszającą liczbę samobójstw jest zmiana składu leków stosowanych u pacjentów. Są mniej toksyczne, więc trudniej sobie samemu zaszkodzić, przedawkowując je celowo. To są metody prewencyjne.

W Szwecji wdrażacie metodę szybkiego reagowania. Na czym ona polega?
– Szwajcarzy wymyślili bardzo krótki program terapeutyczny, który się wdraża u pacjenta tuż po próbie samobójczej, jeszcze w szpitalu. Opisałem go w książce. Podczas pierwszej rozmowy terapeuta usiłuje zorientować się, jakie myśli danej osoby popychają ją do tego, żeby się zabić. Rozmowa z pacjentem jest nagrywana i podczas drugiej sesji wspólnie oglądana.

Na sesji trzeciej terapeuta i pacjent układają plan, który ma zapobiegać występowaniu kolejnych kryzysów. Terapeuta próbuje więc wspólnie z pacjentem odkryć, co takiego doprowadziło u niego do próby samobójczej. Przyjmuje perspektywę pacjenta, odchodząc nieco od roli eksperta medycznego i pozwalając tej osobie samej zostać ekspertem.

Na czym polega zmiana podejścia?
– Wcześniej lekarz lub terapeuta mówili do pacjenta, że ma depresję i powinien się leczyć, a on odpowiadał im, że nic mu w życiu nie wychodzi. Rozmawiali ze sobą w różnych językach. W programie szybkiej interwencji opiekun próbuje zrozumieć opowieść o życiu pacjenta, poznać osobiste przeżycia, które stały za próbą samobójczą, i ocenić, czy one mogą doprowadzić do kolejnej próby samobójczej, a jeśli tak, jak pacjent ma sobie w tej sytuacji radzić.

Zaskoczyło mnie, że jeśli ktoś planuje się zabić, może mu pomóc zaczepienie nawet obcej osoby, której powie: Pomóż mi.
– Badania wskazują na to, że jeśli dostaniemy nawet chwilową pomoc w momencie, kiedy mamy impuls samobójczy, to może ona temu samobójstwu zapobiec.

Jesteś zaangażowany w projekt Saving Lives.
– Tak, w szpitalu, w którym pracuję. Dotyczy przewidywania ryzyka samobójstwa u konkretnych osób. Opiera się on na tym, żeby pozyskiwać i analizować jak najwięcej informacji z życia codziennego pacjentów.

Zdobywamy ogrom informacji i z wykorzystaniem sztucznej inteligencji szacujemy ryzyko, czy ktoś ponownie targnie się na swoje życie. Innym obszarem badań jest przyglądanie się temu, jak wyraźnie myśli samobójcze zmieniają się w czasie.

Wiesz, że swoją książką stajesz po stronie życia, mimo że starasz się zachować neutralność?
– Zastanawiałem się nad tym, dlaczego różne osoby odmiennie postrzegają samobójstwo i to, komu – że tak to ujmę – wolno je popełnić. Jak to się dzieje, że część osób, na przykład Philip Nitschke, uważa, że wolność wyboru jest więcej warta od tego, że umrze kilkoro „troubled teens", jak to ujął, a ja z kolei instynktownie myślę inaczej?

Ale nie napisałem tej książki, aby kogokolwiek do czegokolwiek przekonać. Chciałbym, by czytelnicy przemyśleli kwestie, które w niej podnoszę, doszli do swoich wniosków i odnaleźli w życiu sens. ●

Christian Rück

• jest psychiatrą, profesorem psychiatrii w sztokholmskim Instytucie Karolinska, doradcą do spraw naukowych w American Foundation for Suicide Prevention oraz jednym z ekspertów w największym szwedzkim dzienniku „Dagens Nyheter". „Życie warte życia" to jego druga książka, wcześniej napisał „Olyckliga i paradiset. Varför mår vi dåligt när allt är så bra?" (2020, Nieszczęśliwi w raju. Dlaczego czujemy się tak źle, kiedy mamy tak dobrze?).

1 RP

W Indiach dopiero w 2017 roku zniesiono karę – nawet rok więzienia – za próbę samobójczą

eprasa.pl 9a923e079a

ADAM MICHNIK POLECA

Ukraina i barbarzyńcy

PRZYSZLI GRABIĆ I ZABIJAĆ

• **Mieszkaniec Kijowa, ranny podczas rosyjskiego ataku na jego miasto, przed swoim domem. 31 lipca 2025 r.**
FOT. REUTERS/THOMAS PETER

Ukraińscy uchodźcy mają różne głosy.
Mariupolscy ostre, charkowscy ze szczyptą popiołu.
Ci z Buczy nie mają słów, zostało tylko łkanie.

Igor Pomierancew*

„Armia konna”, „grady”, „buławy”

Będzie dużo cudzysłowów. Po ukraińsku cudzysłów to „łapki”, z akcentem na ostatniej sylabie.

„Miała babuleńka/ Dwie wesołe gęsi,/ Krzyczy babuleńka:/ »Oj przepadły gęsi!«” [fragment popularnego wiersza dla dzieci Marii Kłokowej-Łapinej].

„Dowódca szóstej dywizji ogłosił, że Nowogród-Wołyński został o świcie zdobyty. Pomarańczowe słońce toczyło się po niebie jak odcięta głowa. Zapach wczorajszej krwi i zabitych koni kapie w wieczorny chłód. Mosty są wysadzone i musimy przejść rzekę w bród” [fragment opowiadania Isaaka Babla „Przejście przez Zbrucz”; ten i wszystkie dalsze cytaty z jego opowiadań pochodzą z jego zbioru „Armia konna”].

Znowu przyszli. Mosty znów są wysadzone. Odcięta głowa znów toczy się po niebie. Najeźdźcy wysadzają mosty, żeby powstrzymać kontratak. Ukraińcy wysadzają, żeby zatrzymać najeźdźców. Jak zbudować most? W każdym języku jest ogromny słownik budowniczych mostów. Nazwałbym ten słownik poezją industrialną.

Ociosane bierwiona. Konstrukcje nośne, wieże wsporcze, stalowe liny do przęseł mostu, groble, zapory i pale, wybór miejsca między brzegami rzeki, cieśniny, zatoki, pogłębiarki do pogłębienia toru wodnego, budowanie podpór, robienie wykopów, szalunków z ramami ze zbrojonej stali, pylony do przymocowania lin nośnych, rusztowania mobilne, podnośniki hydrauliczne i cylindry hydrauliczne, rusztowania, system rozporowy, montaż i spawanie złączy śrubowych, lin lub odciągów.

Jaki wspaniały, rzekłbym boski, zamysł i skala! A potem pojawiają się przybysze i wszystko się wali. Ich leksyka jest dużo uboższa: zniszczyć granatnikiem poszycie filarów mostu, podłożyć dynamit i nacisnąć guzik zdalnego detonatora. Wszystko diabelnie proste.

Babel: „Pomarańczowe słońce toczyło się po niebie jak odcięta głowa. Zapach wczorajszej krwi i zabitych koni kapie w wieczorny chłód”

„Hordy nędzarzy ciągną na twoje stare miasta, o Polsko, rozbrzmiewa nad nimi pieśń o zjednoczeniu wszystkich poddanych, biada ci, Rzeczypospolita, biada ci, książę Radziwille, i tobie, książę Sapieho, którzy powstaliście na godzinę!” [z opowiadania Babla „Kościół w Nowogrodzie Wołyńskim”].

O Ukraino! Ich ordy ciągną na twoje wiśnie. Swoje sady wycięli do korzeni, teraz wzięli się za „wiśniowy sadek koło chaty”.

„Siedli wieczerzać przy chatynce,/ Gwiazdka wieczorna mruga z dala,/ Córka wieczerzę wnet podała,/ Matuś chce burę dać dziewczynce,/ Lecz słowik na to nie pozwala” [fragment wiersza Tarasa Szewczenki „Wiśniowy sadek koło chaty”].

eprasa.pl 9a923e079a

Nie będzie córka nakrywać do stołu, będzie się ukrywać w piwnicy przed gwałcicielami. I słowik nie będzie śpiewać: ogłuchł od wrzasków barbarzyńców. O Polsko! Ty wytrwałaś. I ty zwyciężysz, hetmanie Mazepo!

„Na wprost pod moimi oknami kilku Kozaków rozstrzeliwało za szpiegostwo starego Żyda ze srebrzystą brodą. Starzec piszczał i się wyrywał. Wtedy Kudria z drużyny karabinów maszynowych wziął jego głowę i schował pod pachą. Żyd się uciszył i rozstawił nogi. Kudria prawą ręką wyciągnął kindżał i ostrożnie staruszka zarżnął, nie obryzgawszy się krwią" [z opowiadania Babla „Beresteczko"].

W szczytowym momencie tej wojny do Humania przyjechały z zamorskich krajów tysiące chasydów: wprost do matecznika „nazizmu". Przyjechali na obchody Szawuotu – święta podarowania Mojżeszowi na górze Synaj Dziesięciu Przykazań. Jedno z nich mówiło: „Nie zabijaj". Ale w Torze są też takie słowa: „Jeśli złodziej zostanie przyłapany przy włamaniu i tak pobity, że umrze, ten, kto zabił, nie będzie winien przelanej krwi" (Księga Wyjścia 22,2, przekład za Biblią Gdańską).

„Co było dalej? Dalej był front, Armia konna i żołdactwo, pachnące mokrą krwią i ludzkimi szczątkami" [z opowiadania Babla „Słońce Italii"]. Co było dalej? Dalej był front, żołdactwo, pachnące mokrą krwią i ludzkimi szczątkami. I „Armia konna" (1923-37). W maju 1939 r. Isaak Babel został aresztowany i pół roku później rozstrzelany. „Patrzył na świat jak na majową łąkę, na łąkę, po której chodzą kobiety i konie" [z opowiadania Babla „Historia jednego konia"; w oryginale: „Obaj patrzyli..."].

Gówno

W połowie lutego 2022 r. rosyjski ambasador w Szwecji w wywiadzie dla gazety „Aftonbladet" powiedział: „Proszę wybaczyć wyrażenie, ale sramy na zachodnie sankcje". Osobiście nie mogę mu tego wybaczyć, ponieważ ambasador zobowiązany jest mówić językiem dyplomacji, a jeśli tego nie robi, to znaczy, że nie jest ambasadorem, tylko szambiarzem.

W 1995 r. podczas pierwszej wojny czeczeńskiej rozmawiałem z uchodźczynią z Groznego – Fatimą. Zadałem jej standardowe pytanie dziennikarskie: „Co panią najbardziej poraziło? Czołgi? Bomby?". Zastanowiła się i nieśmiało odpowiedziała: „Rosyjscy żołnierze wchodzili do naszych pustych domów i... załatwiali się w naszych łóżkach. Proszę wybaczyć, załatwiali się, przykrywali gówno kocem, znów się załatwiali i nakrywali całą kupę poduszkami. Nie mogliśmy w to uwierzyć".

Luty 2022, rosyjski ambasador dla szwedzkiej gazety: „Proszę wybaczyć wyrażenie, ale sramy na zachodnie sankcje"

W marcu 2022 r. uchodźczyni Natałka z obwodu czernihowskiego na moje pytanie: „Co panią najbardziej poraziło podczas okupacji?", odpowiedziała: „Zajmowali nasze chaty i srali do łóżek".

Ci rosyjscy żołnierze, którzy załatwiali się w Czeczenii, zostali zabici albo wrócili kontuzjowani, albo spokojnie umarli w swoim łóżku. Ale ich synowie lub wnuki przyszli na Ukrainę i powtórzyli to, czego nauczyli ich ojcowie lub dziadkowie. Na liście zbrodni wojennych nie ma paragrafu „załatwianie potrzeby fizjologicznej w łóżkach obywateli okupowanego państwa". W międzynarodowym trybunale podobne przypadki nie będą rozpatrywane. Ale smród zostanie na długo. Ekolodzy będą mieli co robić.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Mieczysław Jastrun*

Z ognia i popiołu

O tych czasach z ognia i popiołu
Będą mówiły suche roczniki historii,
I nikt już nie będzie wiedział
Jak smakowała śmierć
Tym, którzy byli na kaźń prowadzeni.

Umieraliśmy, rodziliśmy się na nowo,
I niewinne rzeczy tego świata
Nagle ukazywały nam nieprzyjazne twarze.
Z książek czytanych w młodości
Wypłynęła na wierzch brudna oliwa.

I wiedzieliśmy tylko jedno:
Człowiek nie mógłby żyć ani godziny
W świecie, z którego uszłaby nadzieja,
Jak woda z rur nieszczelnych uchodzi.

Schwytani połykali prawdę swoją jak diament
I umierali z nią.
Ocaleni deptali testament
Umierających wtenczas – dla nadziei.
Upodlenie przerosło przewidziane normy.

Nie chcę wtórować klaszczącym chórom
Ani opłakiwać zbyt wielu niepogrzebanych.

Złowieszcza słodycz w ustach przysięgłych fałszerzy.
Z dziur w ich pośmiertnych koszulach wyskoczą szczury.
Kret czarny wyjdzie z ich miękkiego gardła.

Rozwieje się dym po wojnach,
Roztopi się w deszczach wiosennych
Pamięć, zburzone będą pomniki na placach,
Zmienione imiona,
Ulecą w powietrze razem ze śniegiem
Wykopane w nim ślady.
W legendę ostygną dzieje –
I tam gdzie drut otaczał obozy milczącej zagłady
Z okna chusteczka powieje.

1950-1956

***Mieczysław Jastrun** - 1903-83, poeta, eseista, prozaik, tłumacz. Autor licznych zbiorów wierszy, esejów filozoficzno-kulturowych i literackich oraz przekładów poezji francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej.

Utwór za: Jastrun, **„Wiersze wybrane",** wybór i wstęp Iwona Smolka, Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN", Lublin 2025, seria Biblioteka Zapomnianych Poetów pod red. Piotra Mitznera, nr 27.

FOT. WŁADYSŁAW MIERNICKI / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kupisz mi nową walizkę?

Matka przyjechała z Mariupola. Mitia długo ją namawiał do przyjazdu do niego do Pragi. Mówił: „Mamo, Rosjanie was zabijają. Twoi studenci się rozpierzchli. Błagam cię na kolanach". Jego przyjaciele z dzieciństwa pomogli i matka dotarła do Pragi. Przyjechała z rodzinną walizką z fibry z miedzianymi okuciami na rogach. Po drodze pękła. „Kilka dni na niej mieszkałam". Mama przyjechała, usiadła na krześle i nie chciała więcej wstawać.

– Mamo, chcesz zupy?

– Wywar gotuje się na ogniu trzy godziny. Kociołek z wodą godzinę.

Mitia kolekcjonował starą porcelanę. Kredens ze szklanymi drzwiczkami był zastawiony czeskimi serwisami do herbaty, złoconymi lub szkliwionymi, solniczkami, pieprzniczkami, karlsbadzkimi i marienbadzkimi pijałkami. „Mamo, kiedyś lubiłaś czeskie szkło, obejrzyj". Ale mama nie oglądała ani nie chciała potrzymać w rękach filiżanki.

Mitia powiedział: „Chodź, pojedziemy na praski zamek, zajdziemy do katedry Świętego Wita, popatrzymy na wały i mury obronne, zejdziemy Złotą Uliczką, na której Franz Kafka pisał swojego »Wiejskiego lekarza« i spotykał się z Felicją". Mama odparła: „Ten lekarz źle skończył, a Kafka zachorował na gruźlicę i nie ożenił się z Felicją".

Mitia powiedział, że dogadał się w Szkole im. Natalii Gorbaniewskiej, że mamę przyjmą na kurs języka czeskiego. Mama powiedziała: „Ona jest oczywiście bohaterką, ale nie mogę sobie wyobrazić: sierpień, upał, a ona jedzie wózkiem z niemowlęciem na plac Czerwony... Ja bym nie potrafiła".

Mitia powiedział: „Mamo, wszystko rozumiem, ale trzeba żyć dalej. Mariupol został starty z powierzchni ziemi". Mama wstała z krzesła, podeszła do kredensu ze szklanymi drzwiczkami, wyjęła karlsbadzką pijałkę, przycisnęła ją do twarzy i powiedziała: »Mitia, kupisz mi nową walizkę... na kółkach?«".

Jesteś w kraju?

Praca w radiu wyostrza słuch. Na przykład psychopatów poznaję od razu. Urywany głos, na pytanie odpowiadają pytaniem: „Dlaczego pan mnie o to pyta?". To nie głos, lecz diagnoza.

Z uchodźcami sprawa jest bardziej skomplikowana. Uchodźcy z Kosowa po prostu chrypieli. Rodzime słowa albańskie starały się przyćmić łacińskie. Tych ostatnich było więcej, a one się nie męczyły. W łacińskich samogłoskach i spółgłoskach sonornych rozbrzmiewała nadzieja.

Na wojnie inaczej się mówi, inaczej słyszy. Syn jest teraz starszy ode mnie o wojnę

Ukraińscy uchodźcy mają różne głosy. Mariupolscy mają głosy ostre, charkowscy ze szczyptą popiołu, ci z Buczy nie mają słów, zostało tylko łkanie. Dzieci brzmią jak dorośli. Powiedziałbym, że mają głosy przyprószone siwizną. Zdanie zaczynają dziecięco, ale potem przechodzą na dorosłe słowa i intonację:

– W dzieciństwie chce się żyć, ale co zrobić, gdy taki twój los?

Ale to doświadczenie ze studia. Mam też inne. Osobiste.

Mój syn Peter zbiera na wyzwolonych terenach Ukrainy świadectwa zbrodni okupantów. Jest Brytyjczykiem. Występował już w Komitecie Helsińskim przy Kongresie Amerykańskim.

Nienawidzę zwrotu: Komitet Helsiński. Ma on już 60 lat. Należy do słownika obrońców praw człowieka. Przypomniałem ich sobie po imieniu: Jurij, Jelena Gieorgijewna, Aleksandr, Piotr, Malwa, Mykoła, Oksana Jakiwna, Lowko.

Oksanę znałem. Siedziała dwa czy trzy razy. Bez końca. Jej syn Ołeś też siedział. Spotkaliśmy się w Kijowie w drugiej połowie lat 70. Rozmawialiśmy o paczkach: co, komu. Do psychuszki produkty, na zesłanie książki. Zawsze jej towarzyszyła wołga. Za szybą siedziało dwóch tajniaków. Patrzeli na nas, ja na nich. Oksana do nich przywykła. Mnie ze strachu lekko mdliło, ale starałem się dorównać Oksanie. O „helsińczykach" napisałem kilka wierszy:

eprasa.pl 9a923e079a

„Wyroki/ dostali tak długie,/ że zaczyna się o nich zapominać,/ i kiedy/ w końcu się okazuje,/ że ktoś wyszedł na wolność,/ ogarnia cię przerażenie,/ ale wkrótce,/ usłyszawszy przez radio/ o powtórnym aresztowaniu,/ oddychasz pełną piersią/ i upajasz się szczęściem”.

A teraz znów ten helsiński. W Ameryce. Gdzie jest mój syn? Dzwonię:

– Synku, gdzie jesteś?

– Tato, nie pytaj.

– Jesteś w kraju?

– Jestem na ruinach.

– Dużo zebrałeś?

– Too much.

– Synku, co z twoim głosem?

– Nie pytaj. Zadzwonię z Warszawy.

Na wojnie inaczej się mówi, inaczej słyszy.

Syn jest teraz starszy ode mnie o wojnę.

Po co oni przyszli?

W 1938 r. Antoine de Saint-Exupéry opublikował [w gazecie „Paris-Soir”] artykuł „Wśród nocy głosy wrogów nawołują się z okopów”. Czas akcji: czwarta rano. Wrogowie rozmawiają w tym samym języku: hiszpańskim. Mogą się wzajemnie zabijać, strzelać do ogienka papierosa, ale od czasu do czasu się nawołują. To ich akustyczny mostek, ich wspólna przeszłość, wysadzona przez wojnę.

Głosy mają zachrypnięte, słowa popękane. Każda strona ma swojego szerokopierśnego krzykacza z tubalnym głosem. Nabiera pełną pierś powietrza i krzyczy:

– An-to-nio! To... ja... Le-on!

Noc wzmaga echo, roztacza je po dolinie rozdzielającej wrogów, głos płynie do drugiego okopu. Po pięciu sekundach echo wraca, poszarpane na strzępy:

Wrogowie rozmawiają w tym samym języku. Mogą się wzajemnie zabijać, ale od czasu do czasu się nawołują. To ich akustyczny mostek, ich wspólna przeszłość wysadzona przez wojnę

– P-o-r-a s-p-a-ć!

Wydaje się, że rozmawiają bliscy, krewni.

I znowu głos jak grom:

– An-to-nio! Za... co... ty... walczysz?...

– Za... Hiszpanię... A ty...

– Za... chleb... dla... naszych... braci...

To oczywiście rozmowa frankisty z socjalistą.

– Spo-koj-nej nocy Ami-go!...

W dzień Antonio i Leon zabiją jeden drugiego, ale będą wiedzieć za co.

Na Ukrainę najeźdźcy przyszli z drugiej strony. Owszem, rozmawiają w zrozumiałym języku, ale są obcy, napływowi. Ukraińscy żołnierze wiedzą, za co mogą umrzeć. Natomiast wrogowie na pytanie: „Za co walczycie?”, nie mają odpowiedzi. Nie powiedzą prawdy: „Przyszliśmy grabić i zabijać”. ●

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 3.0

*Igor Pomierancew

• ur. w 1948 r. w Saratowie na Ukrainie. Żył na Zabajkalu i Zakarpaciu. Absolwent wydziału filologii romańsko-germańskiej uniwersytetu w Czerniowcach. W 1978 r. został zmuszony do emigracji na Zachód. Pracował w Radiu BBC, potem w Radiu Swoboda. Jest autorem kilku książek poetyckich i prozatorskich. W Polsce jego utwory ukazały się w antologii „Radio Swoboda” (2015) i tomie „KGB i inne wiersze” (2022). Ojciec brytyjskiego dziennikarza Petera Pomerantseva.

Felietony pochodzą z tomu Igora Pomierancewa **„Mój pierwszy schron”,** którego polska edycja ukazała się w lipcu tego roku nakładem lubelskiego wydawnictwa Warsztaty Kultury w przekładzie Zbigniewa Dmitrocy (wykorzystaliśmy jego przypisy). Tytuł całości – „Wyborcza”.

Za pięć trzynasta

Wielcy krojczy

Trump idzie po pokojowego Nobla, a to wymaga maślanej miny i lotu gołąbka w rozrzedzonym powietrzu

Jarosław Mikołajewski

Ostatnie działania wokół mordowania Ukrainy przez Rosję i próby przerwania tej zbrodni wytwarzają obrazy tak mocne, że trudno myśleć o czymkolwiek innym. Sam narzuca się spisany z życia kiepski dramat sceniczny, tragedii z elementami groteski.

Osoby dramatu: prezydent Zełenski, prezydent Trump, Putin, chór przywódców europejskich, krzycząca nieobecność kraju nad Wisłą.

Scena pierwsza. Wciąż nie da się zapomnieć prasceny, kiedy w gabinecie jajokształtnym bohater, tysiące razy zabity i poharatany łajdackimi atakami Putina, zostaje zbesztany, lecz nie upokorzony – bo się nie dał – przez prezydenta Trumpa i jego giermka, niezrozumiany, zbyt dumny, żeby dać się wciągnąć w brudną przepychankę. Niepodważalny jak Jezus przed sądem Piłata. Osobny. Ostatni ratunek dla pojęcia politycznej godności.

Scena druga. Po czerwonym dywanie, w stronę prezydenta Trumpa kroczy Putin, zadowolony z siebie, z lekkim trudem podtrzymujący w sobie dziarskość przemarszu. Trump gubi się w niedopracowanej roli. Chciałby rozpłynąć się w zachwycie i uwielbieniu dla mistrza, które jednak – jak się mylnie obawia – mogłoby odebrać cząstkę uwielbienia jemu samemu, ogranicza się więc do przyjaznej choreografii. Putin, nieprzenikniony w kocim uśmiechu, wie, że w tym samym czasie kolejne drony i rakiety spadają na Ukrainę. Nie wiadomo tylko, czy po tylu zbrodniach zachował świadomość, że każdy pocisk to krew, śmierć, rozpacz, pył zawalonych domów.

Scena trzecia. Sposób, w jaki Putin zaczyna konferencję prasową, pokazuje, co działo się w tzw. zaciszu gabinetu rozmów. Czyli jest oderwany, śliskoretoryczny, mówi o kraju i ludziach jak o klockach Lego, prawdziwych na tyle, na ile pozwala własnej zbrodniczej wyobraźni. Huśta się. Bredzi. Współobecny na konferencji prezydent Trump nie umie odciąć się od poetyki Putina, a przecież by mógł: choćby tak, jak w filmie „To właśnie miłość” od przemocowej bezczelności prezydenta USA serią dumnych obrazów odcina się premier Wielkiej Brytanii (Hugh Grant). Lecz nie takie są umiejętności i wzorce filmowe prezydenta Trumpa.

On idzie po Nobla w dziedzinie pokoju, a to wymaga maślanej miny i lotu gołąbka w rozrzedzonym powietrzu.

Scena czwarta. Przy poważnej, lojalnej i godnej obecności chóru europejskich przywódców prezydent Trump przyjmuje prezydenta Zełenskiego. Zapach torsji wywołanych wcześniejszą próbą upokorzenia prezydenta Ukrainy przechadzką Putina i konferencją prasową zostaje z trudem zneutralizowany dezodorantem o poziomkowym zapachu.

Niektórzy obserwatorzy oczekiwaliby, że prezydent Trump uklęknie przed prezydentem Zełenskim jak przed Chrystusem, poprosi o przebaczenie i błogosławieństwo, lecz prezydent USA wybiera inny scenariusz. Zdecydowanie różny od poprzedniej sceny upokorzenia, lecz jednak nieznośnie powściągliwy.

W rozmowie z prezydentem Trumpem prezydenta Zełenskiego wspiera dobra obecność europejskich polityków, wśród których nie ma żadnego z dwóch polskich przywódców, Leszka Czarnego i Leszka Białego.

Dramaturga kusi z jednej strony wizja potencjalnej obecności Karola Nawrockiego pomiędzy prezydentem Francji, kanclerzem Niemiec a szefem NATO, z drugiej musi przyznać, że tak brawurowa realizacja sceniczna trzeszczałaby w szwach. Nawrockiemu byłoby do twarzy z prezydentami Erdoganem, Orbánem, ale ich tutaj nie ma. W poetyce europejskiej odnalazłby się doskonale premier Donald Tusk, lecz dwór Nawrockiego zrobił wiele, by do tego nie doszło.

Scena piąta. Postaci znikają. Na scenie stoją dwa puste krzesła. W tle – krwawa mapa Ukrainy z tysiącem krawieckich przymiarek wszystkich, którzy kandydują do tytułu wielkiego krojczego żywej, obolałej skóry. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34386523

W PIĄTEK 29 SIERPNIA W WYBORCZEJ PORADNIK

WRACAMY DO SZKOŁY

• **Gdzie i kiedy** najtaniej zakupić wyprawkę szkolną?

• **Jak wybrać biurko i krzesło?** Na co zwracać uwagę?

• **WAŻNE DLA RODZICÓW:** co może być sprzedawane w szkolnym sklepiku, czy szkoły mogą wymagać zakupu ubezpieczenia, jakie inne wydatki może narzucić placówka

• **Ile kosztuje dobra nauka języka** i czy kursy online są równie skuteczne jak stacjonarne?

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

ALE HISTORIA

Złota era POCZTÓWKI

Pierwsze kartki pocztowe budziły zgorszenie, choć wcale nie miały na odwrocie widoczku.

WOJCIECH SZOT

Był 13 lipca 1951 roku. „Serdeczne pozdrowienia posyła tobie Kochany mężu Łucja. Kochany mężu mam prośbę do ciebie, przywieź z sobą cherbatę i kwasu cytrynowego 2 deka, bo tu niema nic. Herbatę mamy w domu w kredensie pod jajkami. Do rychłego i miłego zobaczenia. Twoja żona Łucja". Na wszelki wypadek dopisała: „kwas kupisz w drogerji" (pisownia oryginalna).

Mąż miał na imię Ryszard, a pocztówkę wysłano do Chorzowa, w którym najwyraźniej herbatę łatwiej było dostać niż na Ziemiach Odzyskanych, gdzie – u rodziny lub na wczasach – przebywała Łucja. Tylko pozornie wszystko się tu zgadza.

Gdy kilka dni później Ryszard zajrzał do skrzynki pocztowej, mógł poczuć niepokój. Czarno-biała pocztówka przedstawiała widok na ukryte wśród wzgórz miasteczko. I podpis: „Gottesberg in Schlesien, höchste Stadt Preussens". Gottesberg na Śląsku, najwyżej położone miasto w Prusach. Niewielki dopisek umożliwiał datowanie pocztówki. 1940 rok. W 1951, gdy Łucja była tam na wczasach, miasteczko nazywało się już Boguszów.

Na Ziemiach Odzyskanych brakowało wszystkiego, nie tylko herbaty. Również pocztówek. Używano niemieckich, które poprzedni właściciele zostawili w magazynach sklepików i mieszkaniach.

W muzealnych i prywatnych kolekcjach zachowały się przykłady polonizacji widokówek – zamazywano niemieckie nazwy, dopisywano polskie. Jak widać niekonsekwentnie.

CZY TO KONIEC PIĘKNEJ HISTORII?

Dzisiaj również trudno o pocztówki. – Coraz trudniej je dostać – skarży się na Instagramie Marek, który nad morze pojechał z chłopakiem. – Lubimy tradycyjną formę pozdrowień znad morza. Dzisiaj już nikt nie ma zapisanych adresów, pod które trzeba wysłać pocztówkę z wakacji. Pod tym względem jesteśmy konserwatywni – uważa.

– Od kilku lat obserwujemy spadek liczby wysłanych kartek wielkanocnych i nie tylko – od kilku do kilkunastu procent rok do roku – mówił w 2024 roku w Polskim Radiu Daniel Witkowski, rzecznik prasowy Poczty Polskiej.

Najpierw telefony komórkowe, następnie serwisy społecznościowe sprawiły, że zwyczaj wysyłania pocztówek zamiera. Czy to koniec pięknej, ponad 150-letniej historii? A może – zaskakująco – początek złotej ery? Drugiej w historii.

NOWY SPOSÓB KORESPONDOWANIA

„Nieprzyzwoite" – tak w połowie XIX wieku oceniano pomysł, by wysyłać do kogoś zapisane karty bez wkładania ich do koperty. Zanim narodziły się pocztówki, Heinrich von Stephan, dyrektor poczty i założyciel Reichspostmuseum, pierwszego na świecie muzeum poczty, wpadł na pomysł kart pocztowych. Już sama idea wzbudziła kontrowersje.

Co z tajemnicą korespondencji? – pytali przeciwnicy. Obawiano się „upadku moralności". Był rok 1865 i von Stephan nie był osamotniony. W kilku krajach wizjonerzy poczty rozważali wprowadzenie nowych, atrakcyjnych dla zwykłego człowieka form komunikacji. Do dziś trwają spory o to, kto i kiedy pierwszy zaprojektował kartę pocztową.

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

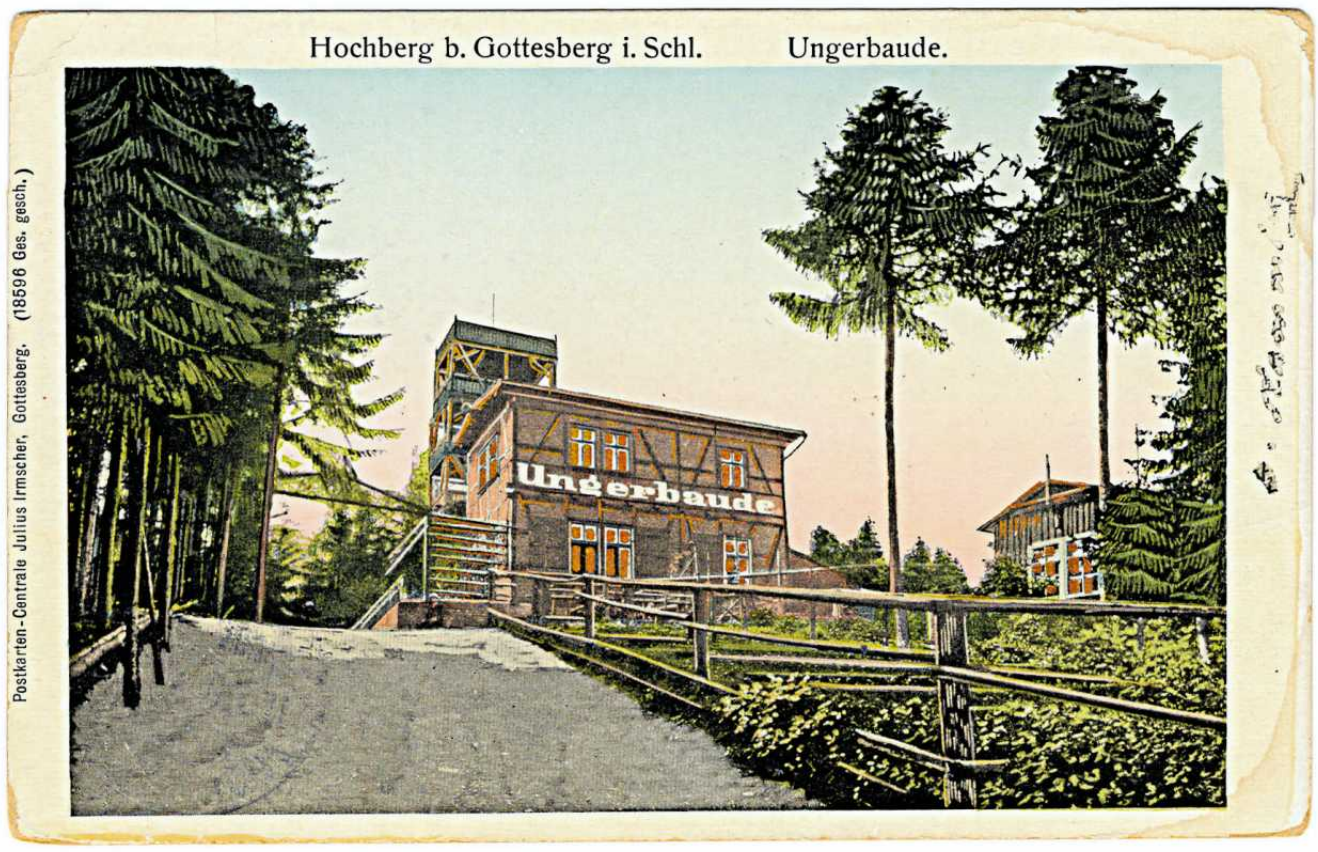

▲ **Schronisko Ungerbaude i wieża widokowa na szczycie Hochbergu, data stempla: 1908 rok**

FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZBIORY WOJCIECHA SZOTA

Za ojców europejskiej pocztówki uważa się dwóch obywateli Lipska – księgarza Friedleina i kupca Pardubitza, którzy niezależnie od siebie w 1868 roku przedstawili projekty prototypów karty pocztowej. Na awersie znajdowały się miejsce na adres i instrukcja, jak wypełnić kartę. Rewers zajmował formularz, z którego wysyłający mieli wybierać informację, którą chcą przekazać adresatowi. Pomysł nie spodobał się jednak pruskiej administracji.

Podchwycił go jednak austriacki ekonomista Emanuel Herrmann, który w „Neue Freie Presse” opublikował artykuł „O nowym sposobie korespondowania pocztą”. Idea spodobała się naczelnemu poczmistrzowi cesarstwa. I tak 1 października 1869 roku z Perg koło Linzu do Kirchdorfu wysłano pierwszą „kartę korespondencyjną”. Nadawca próbował za jej pomocą ustalić detale dotyczące przyjacielskiego spotkania. Oryginał spoczywa w skarbcu Muzeum Komunikacji w Berlinie.

ZŁOTA ERA PO RAZ PIERWSZY

Sukces kart pocztowych był natychmiastowy. Przez trzy miesiące pocztowcy sprzedali ich ponad trzy miliony. Zadecydował o tym fakt, że – w odróżnieniu od listu – były mniej formalne, prostsze, a do tego ich wysłanie było o połowę tańsze. Po sukcesie Austriaków pruskie władze nie miały już argumentów przeciwko nowince. W pierwszym dniu uruchomienia „kart korespondencyjnych” w samym Berlinie sprzedano ich 45 tysięcy.

Rewolucję w komunikacji przyspieszyła wojna francusko-niemiecka, która wybuchła w 1870 roku. Wojskowe oddziały pocztowe zwolniono z opłat. W ciągu pięciu miesięcy żołnierze wysłali do swoich domów ponad 10 milionów kart korespondencyjnych. Karcianą rewolucję zaczęły wprowadzać inne państwa. Pierwsi byli Finowie i Brytyjczycy, a po nich Belgowie, Duńczycy i Kanadyjczycy.

W 1871 roku w liście do „Gazety Narodowej” anonimowy mieszkaniec Pistynia zachwycał się, że „karta korespondencyjna z Trydentu, aż do zakątka prawdziwego Pokucia [kraina historyczna, dzisiaj w Ukrainie] przez tyle rąk i taką drogę za 2 centy przebiega”. Co prawda do gazety napisał nie po to, by pochwalić „karty korespondencyjne”, ale by narzekać, że kolejnych dwóch centów domaga się Nittman, kierownik poczty w Pistyniu, za dostarczenie ich pod właściwy adres przez „dziewięcioletniego Żydka”.

W 1872 roku pierwsze państwa zrezygnowały z monopolu na produkcję kart pocztowych, umożliwiając ich drukowanie prywatnym firmom. Karty zaczęły służyć jako sposób na przekazanie życzeń świątecznych. A wraz z rozwojem turystyki – wakacyjnych pozdrowień. Przedsiębiorcy niemal natychmiast wpadli na pomysł, że karty pocztowe zyskają na atrakcyjności dzięki ilustracjom.

Na produkcję pocztówek niemal natychmiast przeszli twórcy grafik tworzonych na zlecenia co bogatszych mieszczan czy fabryk. Ernest Knippel tworzył dla przemysłowców z Górnego Śląska litografie przedstawiające budowane przez nich huty i fabryki. To dzięki jego grafikom możemy dzisiaj zobaczyć, jak wyglądała niewielka wieś Kattowitz u progu ery przemysłowej. I choć biznes szedł mu dobrze, to w latach 70. XIX wieku, żeby poszerzyć działalność, zaczął produkować karty pocztowe.

Jednak dopiero dwie dekady później, wraz z rozwojem chromolitografii, która pozwalała na bardziej masowe drukowanie kolorowych kart, nastąpiło to, co historycy nazywają złotą erą pocztówki. W Europie jej początek datuje się na 1890 rok. W Stanach Zjednoczonych – dekadę później.

WIEŻA UNGERA JAK WIEŻA EIFFLA

Impulsem do rozwoju pocztówek była wieża Eiffla. Wzniesiona w 1889 roku konstrukcja była najbardziej zadziwiającą budowlą ery industrializacji. Karty pocztowe z jej fotografią przyczyniły się do rozpowszechnienia najbardziej dziś znanej formy – pocztówki z widokiem. Wcześniej awersy kart pocztowych często zapełniały reklamy czy konwencjonalne przedstawienia.

Pocztówki złotej ery zachwycały. Te małe, misterne dzieła sztuki często tworzone były przez wybitnych grafików i ilustratorów. Można było na nich znaleźć wyidealizowane pejzaże, scenki rodzajowe czy postaci z lokalnych mitologii. Drukarze odeszli od formatu pocztówkowego i produkowali zarówno miniaturowe karty, jak i większe formaty. Były pocztówki wycinanki i pocztówki harmonijki. Do widoków z gór doklejano ususzone kwiaty, a do tych znad morza wsypywano drobinki piasku.

Druk pocztówek zlecały miasta, jak również właściciele hoteli, restauracji, a nawet zwykli mieszkańcy. Zbudowano kościół? Postawiono pomnik? Wykopano przejazd kolejowy? Pocztówki ilustrowały historię miast i miasteczek. Dzisiaj często są jedynymi źródłami wiedzy o tym, jak wyglądał świat ponad sto lat temu.

To dzięki nim możemy zobaczyć, jak wyglądała gospoda, którą w 1901 roku na szczycie Hochbergu postawił Robert Unger. Z góry rozpościerał się epicki widok na leżące u jej zbocza miejscowości – Gottesberg i Rothenbach. Unger obok gospody zbudował 12-metrową wieżę widokową, która przyciągała turystów. Na pocztówkach, których druk zlecił, możemy zobaczyć atrakcje przygotowane dla gości – zaprzęgi kozie czy występy orkiestry przebranej za krasnoludki. Nie szczędził Unger na reklamie – pocztówki są pełne kolorów, czasem wypukłe, a na jednej z nich okna restauracji świecą się dzięki specjalnej farbie.

Ungerbaude, czyli „schronisko Ungera”, zamknięto już w 1915 roku z powodu obaw przed zawaleniem się budynku w wyniku szkód górniczych. W XXI wieku po budynku nie ma już śladu. Pozostały pocztówki.

ZALEW OBRAZÓW

Niebagatelny był wpływ pocztówek zarówno na sztukę, jak i rozwój rynku drukarskiego. Niemal w każdym miasteczku działały lokalne zakłady drukarskie, które utrzymywały się z ich sprzedaży. Tylko w 1900 roku niemiecka poczta przetransportowała 440 milionów pocztówek. Mówiło się o „zalewie obrazów”.

W czeskich Pardubicach, mieście liczącym na początku XX wieku około 25 tysięcy mieszkańców, w czasie złotej ery pocztówki produkowało kilkanaście zakładów. Obok drukarni wydawali je właściciele zakładów fotograficznych, sklepów z pamiątkami, a nawet Josef Ždarský, właściciel magazynu tytoniowego.

Szacuje się, że do 1914 roku w samych Niemczech wysłano kilka miliardów pocztówek, a podczas I wojny światowej żołnierze niemieccy wysłali ich około 10 miliardów.

Wraz z masową popularnością pocztówek „z widokiem” pojawili się kolekcjonerzy. Już w 1887 roku w Stanach Zjednoczonych zaczęło ukazywać się „The Curio”, pismo poświęcone kolekcjonowaniu kart pocztowych, a na przełomie wieków powstały pierwsze organizacje deltiologów, jak dzisiaj nazywamy kolekcjonerów pocztówek. Ruch kolekcjonerski szybko stał się masowy. Na początku XX wieku zbieranie pocztówek było hobby, któremu oddawały się setki tysięcy ludzi.

POLACY NIE GĘSI

W podbitej przez zaborców Polsce nie brakowało pocztówek.

Pierwsze pojawiły się oczywiście w zaborze austriackim, ale szybko pocztówkowa mania opanowała wszystkie zabory. Już w 1899 roku odbyła

◀ **Pierwsza karta pocztowa w historii została wysłana 1 października 1869 roku z Perg koło Linzu do Kirchdorfu**

FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZBIORY MUZEUM KOMUNIKACJI W BERLINIE

◀ **Pocztówka wydana z okazji warszawskiej wystawy „kart pocztowych ilustrowanych” w 1900 roku**

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 9a923e079a

▲ **Pocztówka autorstwa Oskara Keila przedstawiająca kolonię Gross Hau, dziś część Pastewnika w okolicach Bolkowa** FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZBIORY WOJCIECHA SZOTA

▲ **Pocztówka przedstawiająca ulicę Feldstrasse w Gottesberg (Boguszów), data stempla: 1916 rok** FOT. DOMENA PUBLICZNA, ZBIORY WOJCIECHA SZOTA

się w Krakowie wystawa „kart pocztowych ilustrowanych". Kolejną – pod koniec 1900 roku – zorganizowano w Warszawie. Zachęcano do przesyłania kart wydawców, kolekcjonerów, ale też ludzi sztuki. Tych ostatnich komitet organizacyjny Pierwszej Wystawy Kart Pocztowych poprosił o nadsyłanie kart z rękopisami, które następnie miały być zlicytowane na charytatywnej aukcji.

Eliza Orzeszkowa na pocztówce z fragmentem Puszczy Białowieskiej napisała: „Pisarz, to taki człowiek, który przez życie całe nad krośnami siedząc, wzrok podnosi ku ideałom i z nich wzory dla tkanin swoich zdejmuje". Rękopisy wysłał też m.in. Sienkiewicz, a namalowane przez siebie pocztówki zaoferowali Wojciech Kossak i Henryk Siemiradzki.

Na wystawę nadesłano 60 tysięcy kart pocztowych. Zaprezentowano ponad 30 tysięcy. Trwającą dwa tygodnie ekspozycję odwiedził tłum – ponad 16 tysięcy osób. Głosami publiczności za najciekawszą kolekcję uznano zbiór popularnej wówczas aktorki Romany Święckiej.

„OBLĘGORKA" CZY „SIENKIEWICZÓWKA"?

Na łamach „Kurjera Warszawskiego" ogłoszono także niezwykły konkurs. „Dotychczas nie mamy jeszcze właściwego wyrazu czysto swojskiego dla określenia w jednym słowie »karty korespondencyjnej«. »Odkrytka« jest słowem źle zbudowanym, ponieważ mówi się »list otwarty«, nie »odkryty«, nazwa ta więc nie licuje z duchem języka naszego. »Korespondentka« brzmi bardzo z cudzoziemska".

Składający się ze stołecznej inteligencji komitet przeoczył zupełnie, że większość ludzi mówiło „respontki" lub po prostu: „kartki".

Za wymyślenie najlepszego, „czysto polskiego" słowa oferowano „piękny album do kart pocztowych". Na konkurs nadesłano 296 propozycji nowych nazw. Spośród nich jurorzy wybrali pięć najbardziej wartościowych. Zwycięzcę wybrali widzowie wystawy. Wygrała „pocztówka", na którą oddano 141 głosów. Dalsze miejsca zajęły „otwartka", „liścik", „listówka" i „pisanka".

Zwyciężczynią konkursu okazała się Marja z miejscowości B. Szybko jednak na jaw wyszło, że Marja z B. to Henryk Sienkiewicz. Co ciekawe, wśród nadesłanych propozycji znalazły się „oblęgorka" i „sienkiewiczówka".

Nie wszystkim jednak spodobał się wybór „pocztówki". Redakcja „Poradnika Językowego" protestowała przeciwko szukaniu na siłę polskich nazw. „Po co przerabiać tużurek, skoro leży bardzo dobrze", pytano dowcipnie. Zdaniem „Poradnika…" słowo „pocztówka" to „dziwoląg wątpliwej wartości", równie dobrze mogący oznaczać „wózek pocztowy, skrzynkę pocztową, a nawet kobietę zatrudnioną na poczcie, ale najmniej kartę korespondencyjną". A jednak się przyjęło.

POCZTÓWKOWE ELDORADO NIE TRWAŁO DŁUGO

Pocztówka, którą Łucja wysłała Ryszardowi, w niczym nie przypomina eleganckich, artystycznych dzieł z początku XX wieku. Wydała ją w 1940 roku firma Geyer & Co. Założona w Dreźnie w 1930 roku, w połowie lat 30. przeniosła swoją siedzibę do Breslau i specjalizowała się w masowej produkcji pocztówek fotograficznych. Jakość druku pozostawiała wiele do życzenia. W 1943 roku Geyer zamknął biznes.

Wraz ze zwiększeniem produkcji pocztówek przyszło obniżenie ich jakości.

ZŁOTA ERA PO RAZ DRUGI

Pocztówki przeżywają swój renesans na aukcjach dzieł sztuki. Choć przez lata można było je wyszperać w antykwariatach czy tanio kupić w internetowych serwisach aukcyjnych, dzisiaj najciekawsze egzemplarze osiągają niebagatelne ceny.

Październik 2023. VI Ogólnopolska Aukcja Pocztówek zorganizowana przez Wrocławski Dom Aukcyjny. Kolorowa pocztówka (litografia) przedstawiająca warszawski Browar Parowy W. Kijok, którego zakłady mieściły się na ulicy Żelaznej, została wystawiona na aukcji za 1500 zł. Finalna cena? 8683 złote. Na tej samej aukcji pocztówka przedstawiająca browar Karola Machlejdy (ulica Chłodna) osiąga cenę 5118 zł.

▲ **Pocztówka przedstawiająca jeńców w obozie Lamsdorf (Łambinowice) w lipcu 1915 roku** FOT. CENTRALNE MUZEUM JEŃCÓW WOJSKOWYCH W ŁAMBINOWICACH

Swoje dołożył rozwój fotografii, a wraz z nim pojawienie się taniego papieru fotograficznego. Na pocztówkach zamiast artystycznych grafik umieszczano zwykłe zdjęcia. Jednocześnie pauperyzacja pocztówki sprawiła, że nawet najbiedniejsi mieszkańcy mogli zamówić w lokalnej drukarni lub u fotografa pocztówkę z rodzinnym zdjęciem.

Do „upadku" pocztówek przyczynił się także rozwój telefonów. W zamożniejszych krajach zaczęto je nazywać „telefonem dla ubogich".

Mimo to pocztówki kilkakrotnie odżywały. Jeszcze w latach 90. XX wieku były masowo kupowane w turystycznych miejscowościach. Jednak rzadko bywały one dziełami o walorach estetycznych dorównujących tym z początku XX wieku. I gdy już się wydawało, że pocztówkowa złota era nigdy nie powróci, pojawili się kolekcjonerzy.

Dlaczego browary „idą"? Nikt nie zbiera „wszystkich" pocztówek. Kolekcjonerzy wybierają sobie czas, region, temat czy technikę wykonania. Są poszukiwacze pocztówek kolejowych, miłośnicy najstarszych kart korespondencyjnych czy zbieracze, którzy chętnie zapłacą za pocztówkę przedstawiającą wielką powódź, która w 1910 roku spustoszyła Paryż.

Pocztówki często ilustrowano zdjęciami wybitnych fotografów. Pewnie dlatego 3100 zł dał nabywca czarno-białej pocztówki z 1905 roku przedstawiającej rynek w Czempiniu. Wykonane z kościelnej wieży zdjęcie zrobił urodzony w Czempiniu Leonard Durczykiewicz, pasjonat fotografii, który w połowie lat 20. XX wieku przeniósł się do Gdyni. W „polskim oknie na świat" również wydawał pocztówki, a jego nową pasją stało się fotografowanie nielicznych jeszcze polskich statków.

Sporą popularnością cieszą się pocztówki poniemieckie. W kwietniu 2024 roku rekordowe przebicie na aukcji osiągnęła fotograficzna karta przedstawiająca Bernharda Kosmanna, mistrza górniczego kopalń w Kupferbergu, czyli dzisiejszej Miedziance. Cena wywoławcza: 229 zł, poszła za 4400. Gratką dla kupującego był z pewnością fakt, że pocztówkę – w 1910 roku – wysłał sam Kosmann.

NA DAWNEJ POCZTÓWCE

Wiek XXI przyniósł zainteresowanie pocztówkami sprzed II wojny światowej i ich twórcami. Dzięki lokalnym pasjonatom historii masowo zaczęły ukazywać się – niestety, często niskiej jakości – albumy w rodzaju „Ziemia Mielecka na dawnej pocztówce".

Jednym z najciekawszych takich albumów jest książka poświęcona Łambinowicom, dawniej Lamsdorf, miejscowości na Śląsku Opolskim, w której od XIX wieku aż do czasów po II wojnie światowej funkcjonowały obozy jenieckie. Pocztówki pozwalają dziś zrekonstruować ich funkcjonowanie.

Wraz z powrotem pocztówek jako przedmiotu badań w polu zainteresowań znaleźli się również ich wybitni twórcy, jak Oskar Keil z Agnetendorfu koło Hirschbergu, czyli Jagniątkowa koło Jeleniej Góry.

Keil – grafik i wydawca – osiągnął mistrzowski poziom. Jego pełne szczegółów, barwne litografie przypominały swoim wyrafinowaniem akwarele. Pocztówki Keila cieszyły się popularnością wśród turystów coraz chętniej odwiedzających Riesengebirge, czyli Karkonosze. Artysta wiedział, jak przyciągnąć ich uwagę. Oprócz tradycyjnych widoków i tematów na jego pocztówkach można było znaleźć sportretowanych w krzywym zwierciadle mieszczuchów, którzy w wieczorowych sukniach i eleganckich surdutach próbują podbijać góry. Bohaterowie jego grafik nierzadko są pod wpływem, a ich zachowanie ekscentryczne.

Keil zapewne padł ofiarą końca złotej ery pocztówek. Choć jego drukarnia działała jeszcze przez wiele lat, to wydawanie autorskich kart pocztowych zakończyła około 1905 roku. Jak podejrzewają badacze, wpływ na to miał rozwój masowo produkowanych pocztówek.

„Kajlówki", jak mówią na nie specjaliści, dzisiaj są przedmiotem zainteresowania zarówno prywatnych kolekcjonerów, jak i muzealników. W 2016 roku ich wystawę zorganizowało Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze.

Dzisiaj, żeby kupić pocztówkę Keila, trzeba liczyć się z wydatkiem nawet tysiąca złotych. Trwa nowa, prawdziwie złota era pocztówek. ●

2 RP

eprasa.pl 9a923e079a

• **Prof. Ludwik Fleck (czwarty od lewej) na schodach jesziwy w 1952 roku, z rękami w kieszeniach Ernestyna Fleck** FOT. DOMENA PUBLICZNA

GENIUSZ OKRADZIONY PRZEZ HISTORIĘ

Gdy gestapowiec zapytał, czy szczepionka z moczu Żydów będzie działać też na Aryjczyków, odpowiedział z pełną powagą: „Oczywiście szczepionkę dla Aryjczyków trzeba robić z aryjskiego moczu”.

Z **ANNĄ WACŁAWIK** I **MARIĄ CIESIELSKĄ**
ROZMAWIA **MARTA GRZYWACZ**

MARTA GRZYWACZ: Kawał świata objechałyście po śladach Ludwika Flecka.
MARIA CIESIELSKA: Pojechałyśmy wszędzie, gdzie się dało. Gdzie żył, gdzie pracował, gdzie był więziony. Byłyśmy oczywiście we Lwowie, skąd pochodził, w szpitalu, gdzie pracował, w domu, w którym się urodził. Pojechałyśmy do Auschwitz, do Buchenwaldu. Poleciałyśmy do Izraela, żeby się przekonać, jak sobie tam poradził po wyjeździe z Polski.
ANNA WACŁAWIK: Zaciągnęłam Marysię nawet do dawnego obozu przy Janowskiej, we Lwowie – Fleck jeździł tam, żeby podawać więźniom szczepionkę przeciwtyfusową, którą produkował razem ze swoim zespołem badawczym w lwowskim getcie. O mało nas nie przymknęli, bo robiłam zdjęcia, a dzisiaj wciąż jest to więzienie, izba wytrzeźwień i magazyny artykułów spożywczych. Nasza przewodniczka była zielona ze strachu. W Ukrainie już trwała wojna.

A wy się nie bałyście?
A.W.: Udawałyśmy naiwne: a to tu nie wolno wchodzić? Ojej, nie wiedziałyśmy...
M.C.: Dziewuszki kniżku piszut – tłumaczyła nasza przewodniczka. Puścili nas. I jeszcze się z nas śmiali. Ale zobaczyłyśmy mury obozu janowskiego, dawne budynki. Pod tym względem znakomicie się z Anią dobrałyśmy, bo ja jestem raczej od archiwów, a Ania puka i wchodzi. Ja co najwyżej starannie obfotografowałabym budynek i byłabym z tego bardzo zadowolona, a dla Ani zamknięta brama nie jest żadną przeszkodą. W kamienicy gdzie mieszkał Fleck we Lwowie był domofon. Dzwoniłyśmy, ale nikt nie odpowiadał. W końcu Ania doszła do wniosku, że musi istnieć jakiś kod wejściowy. Wybierała te cyferki, aż trafiła! I to dosyć szybko – za czwartym czy piątym razem.
A.W.: Udało nam się wejść do jednego z mieszkań rodziny Flecków, odkryłyśmy też, że na sufitach klatki schodowej brakuje obrazów, które malował ojciec Ludwika Flecka. Bo nasz bohater, wbrew temu co pisali niektórzy, nie pochodził ani z biednej rodziny, ani nie był synem malarza pokojowego. Jego ojciec był malarzem dekoratorem, wybitnym rzemieślnikiem lwowskim, który dekorował najważniejsze budynki w mieście. Rodzinie znakomicie się wiodło. Klan Flecków miał kilka kamienic we Lwowie.

Które z waszych odkryć najbardziej was ucieszyło?
A.W.: Było ich wiele, ale szczególnie wzruszające dotyczyły tego, jak wyglądali ludzie, o których pisałyśmy – przyjaciele i współpracownicy Ludwika Flecka. Trafiłyśmy na ich wizerunki w archiwach izraelskich – a zobaczyć, jak wyglądał ktoś, komu się poświęciło kilka lat życia, to niesamowite uczucie. Również odnalezienie jedynego zachowanego zdjęcia Ludwika Flecka z czasów Zagłady było dla nas wielkim przeżyciem. Parę razy uśmiechnęło się do nas szczęście. Jednym z ważnych świadków naszej historii był profesor Wacław Szybalski, światowej sławy genetyk.

I były „ochroniarz” Ludwika Flecka?
A.W.: W czasach niemieckiej okupacji Lwowa Szybalski był dwudziestoletnim studentem chemii, który eskortował Flecka z getta do Instytutu Weigla, gdzie pracowano nad szczepionką przeciw tyfusowi. Instytut znajdował się w „aryjskiej dzielnicy” i o ile legitymacja pozwalała Żydom przebywać poza gettem, to nie chroniła przed atakami na ulicach. Dlatego prof. Rudolf Weigl, szef Instytutu Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami, organizował swoim żydowskim współpracownikom obstawę.
W przypadku Flecka był to Szybalski. Bardzo chciałyśmy go odnaleźć. Wiedziałyśmy, że mieszka w Stanach. Zadzwoniłam do fundacji jego imienia, do Gdańska, zapytać, jak mogę się z nim skontaktować, i słyszę, że on jest właśnie w Warszawie, na konferencji genetycznej! I tylko dzisiaj! Wyobrażasz sobie taki zbieg okoliczności? Tak jak stałam, pojechałam do hotelu. Recepcjonista, z rozpędu chyba, podał mi numer pokoju profesora. Szybalski nie tylko opisał nam drogę, którą wspólnie z Fleckiem pokonywali w lwowskim getcie, ale rozmontował kilka wciąż powielanych błędów o naszym bohaterze.

A mnie ujęło to, że znalazłyście kilka rzeczy materialnych, które zostały po Ludwiku Fleku, jak choćby umywalkę w jego dawnym laboratorium, w szpitalu żydowskim we Lwowie.

eprasa.pl 9a923e079a

M.C.: Dziś w tym budynku mieszczą się dwie szkoły artystyczne. Dyrektorka była bardzo zdziwiona, gdy poprosiłyśmy o dostęp do pomieszczeń z wodą, licząc, że tak trafimy na laboratorium Flecka. Ona chciała się nam pochwalić, jak wszystko zostało pięknie odnowione, a my szukałyśmy zapyziałych piwnic i śladów po kulach. No i w końcu znalazłyśmy – małe pomieszczenie i pokrytą rdzą umywalkę. To tam Fleck pracował nad usprawnieniem produkcji szczepionki, która ratowała ludzi od śmiertelnej choroby. Jednak naszym „złotym jajem" były wspomnienia syna Ludwika, Ryszarda, w języku hebrajskim. Nigdzie wcześniej niepublikowane, rewelacyjne źródło. Szczególnie wobec faktu, że Fleck napisał o sobie niewiele, zaledwie kilkanaście stron, i bardzo oględnie. Na wspomnienia Ryszarda trafiłam, czytając zapiski z badań, które poświęcił Fleckowi profesor medycyny z Izraela Avi Ohry. Znalazłyśmy Aviego. Był tak miły, że udostępnił nam te wspomnienia, a Michał Sobelman je przetłumaczył. W Archiwum Wojskowym w Rembertowie znalazłam też teczkę Flecka, której przede mną nikt nie przeglądał.

A.W.: W tych archiwach Maria odkryła na przykład dyplom lekarski Flecka. Okazało się, że wszyscy publikują złą datę. Niby tylko miesiąc różnicy, ale nasz perfekcjonizm kwiczał ze szczęścia. Gdy brakowało nam informacji, szukałyśmy relacji osób, które znalazły się w tym samym miejscu i czasie co Fleck i jego rodzina, jak choćby siostra Zbigniewa Herberta, dr Halina Herbert-Żebrowska, która mieszkała na tej samej ulicy. I kto wie, czy nie chodziła razem z Ludwikiem do szkoły. Współpracownikiem Flecka był także ojciec Stanisława Lema. Sam pisarz Flecka nie pamiętał, ale szukałyśmy u niego śladów dawnego Lwowa.

Uznałyście, że postać Ludwika Flecka zasługuje na te szeroko zakrojone poszukiwania?

A.W.: Tak, bo jego losy w czasie Zagłady bardzo różnią się od innych losów żydowskich Polaków. Poza tym był to człowiek wybitny. Filozof, lekarz, mikrobiolog. Może nawet do filozofii było mu bliżej niż do medycyny. Przed II wojną światową wydał książkę „Powstanie i rozwój faktu naukowego". Jego idee można zawrzeć w stwierdzeniu, że żaden badacz nie dokonuje odkryć samodzielnie, że przyczynia się do tego dorobek wielu ludzi. Wtedy jednak nikt się nad tym nie pochylił. Po wielu latach koncepcje Ludwika Flecka zainspirowały amerykańskiego fizyka i filozofa nauki Thomasa Kuhna, który je opracował, opublikował i został gwiazdą. A o Flecku zapomniano.

M.C.: Lub, co gorsza, przeinaczano fakty z jego życia. Lata temu niewiele wiedziałam o Fleku i o szczepionce przeciwtyfusowej, ale byłam świeżo po doktoracie, który pisałam o szpitalu obozowym dla kobiet w Auschwitz, i moje zdziwienie wzbudziła przeczytana informacja o tym, że ktoś produkował tam szczepionkę na tyfus plamisty. Miałam wgląd w dokumentację Instytutu Higieny i wiedziałam, że to nieprawda. Od tego zaczęły się moje poszukiwania i prace, pisane początkowo wspólnie z profesorem Andrzejem Grzybowskim. To on jako pierwszy opisał badania Flecka.

Uświadomił mi też, że korzystając dzisiaj z różnych testów z użyciem moczu – na przykład testów ciążowych – zawdzięczamy to takim badaczom jak Fleck. Sam Fleck uznałby pewnie, że jego największym osiągnięciem było opisanie zjawiska leukergii, czyli tego, jak zachowują się leukocyty w stanie zapalnym. Jednak o wiele bardziej spektakularnym jego dokonaniem z okresu pobytu w lwowskim getcie było opracowanie metody produkcji szczepionki przeciwtyfusowej z moczu chorych Żydów. Świat znał już wówczas szczepionkę Rudolfa Weigla, pozyskiwaną z zakażonych wszy i szczepionkę hodowaną na zarodkach jaj kurzych. Obie, a zwłaszcza ta pierwsza, były kosztowne i pracochłonne. To, co robił Fleck, było tańsze i szybsze. Jego szczepionka była zapewne mniej skuteczna, ale wciąż chroniła życie. Fleck zaszczepił nią wiele osób, w tym w pierwszej kolejności siebie i rodzinę. Dzięki niej przeżył tyfus w Auschwitz.

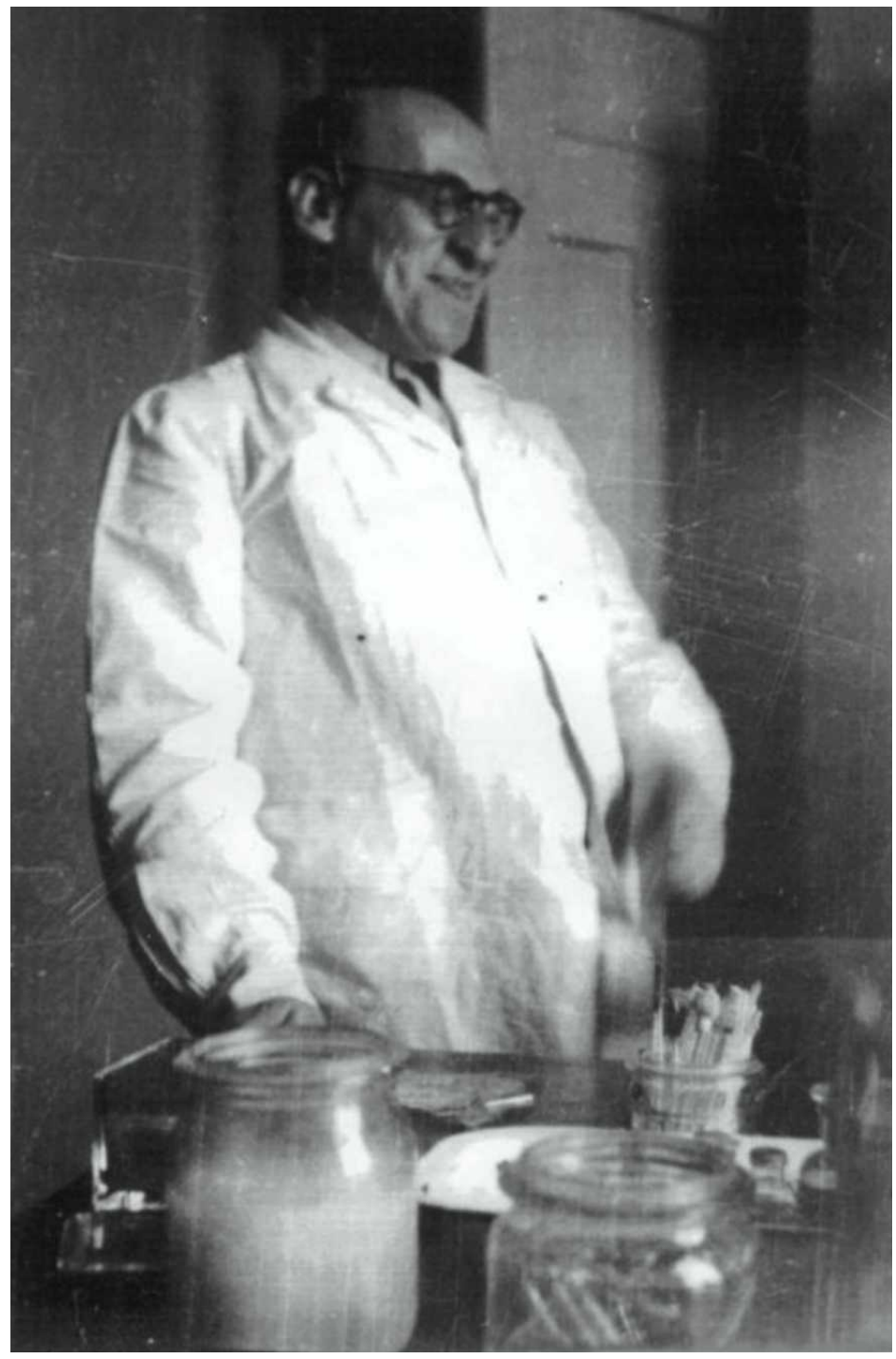

▲ **Ludwik Fleck w laboratorium, Lublin, około 1950 roku**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Anna Wacławik:
Przed wojną nie miał poczucia humoru, był najwyżej sarkastyczny, po wojnie zaczął z ludźmi żartować

Maria Ciesielska:
Też byłam emigrantką, wiem, co czuł. Ale nie mógł napisać do przyjaciół w Polsce, jak mu źle

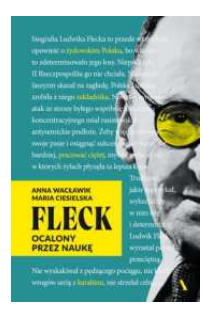

Anna Wacławik,
Maria Ciesielska

Fleck.
Ocalony przez naukę
Wyd. Agora

Premiera 27 sierpnia

A mimo to posądzono go o współpracę z nazistami.

A.W.: Z Auschwitz Fleck został przewieziony do Buchenwaldu, gdzie miał produkować szczepionki, jako jeden z niewielu wówczas specjalistów od tyfusu. Zespół więźniów szybko zaczął te prace sabotować: produkował dla Wehrmachtu „wyrób wakcynopodobny", a do kontroli wysyłał dobre szczepionki. W zespole Flecka znalazł się Alfred Balachowsky, entomolog rosyjskiego pochodzenia z obywatelstwem francuskim. Balachowsky był zajadłym antysemitą i nie mógł ścierpieć tego, że jakiś „Żyd pokraczny" nim zarządza. Mało tego, Fleck zarzucił mu kiedyś, że przygotował niejałową porcję szczepionki. Wypuszczenie jej byłoby bardzo niebezpieczne, bo podczas badań kontrolnych mogłoby dojść do zakażeń, a to groziło zdemaskowaniem konspiracji.

Balachowsky nie był w nią wtajemniczony, bo znalazł się w Buchenwaldzie później niż Fleck. W 1946 roku Balachowsky był świadkiem w procesie lekarzy SS w Norymberdze. Zeznawał na temat zbrodniczych eksperymentów w Buchenwaldzie. Kilka miesięcy później złożył „uzupełniające wyjaśnienia" – że Ludwik Fleck miał jakoby „zainspirować" szefa laboratorium Erwina Dinga-Schulera do przeprowadzania doświadczeń, na skutek których umarła grupa więźniów. Fleck dowiedział się o tych zarzutach wiele lat po wojnie, gdy był już w Izraelu, i bardzo to przeżył. On, człowiek, dzięki któremu tylu ludzi zdołało się uratować. Zarówno jego współpracowników, których starał się chronić, jak i osoby, które szczepił swoją szczepionką

Piszecie o tym, że Fleck przetrwał wojnę dzięki wiedzy. A może także sile psychicznej, znajomości psychologii, sprytowi i zimnej krwi?

A.W.: Podczas przesłuchania przez gestapo na pytanie, czy szczepionka z moczu Żydów będzie działać na Aryjczyków, Fleck z pełną powagą odpowiedział: „Oczywiście szczepionkę dla aryjczyków trzeba robić z aryjskiego moczu". Jedna z jego współpracownic wspominała, że miał poczucie godności. To nie był człowiek, który pozwalał sobą pomiatać. Nawet jeśli się bał. Tuż przed transportem z getta lwowskiego do Auschwitz, gdzie miał rzekomo nadal pracować nad produkcją szczepionki, zapytano go, kogo chce zabrać ze swojego zespołu badawczego.

Oczywiście chciał wziąć wszystkich, ale kierujący akcją Erich Engels przeprowadził selekcję. Zaczął wypytywać jego współpracowników, co dokładnie robili w laboratorium. Myłeś naczynia? Robiłeś zastrzyki? Nie, takich to można wszędzie znaleźć. Z Fleckiem mieli jechać tylko chemicy i ich rodziny. Widocznie Niemcy uznali, że jak się nie zgodzą na rodziny, to żadnej szczepionki nie będzie. Ale asystentka Flecka Anna Seeman, chora na polio, utykała i któryś z esesmanów rzucił, że to kaleka, a wiadomo – kalectwo to w świecie nazistów wyrok. Fleck mu wtedy odpowiedział: „To jest chemiczka, a nie tancerka".

Nie wiem, czy ktoś inny by sobie na coś takiego pozwolił, mając pistolet przystawiony do głowy. W życiu prywatnym też był pryncypialny, krytyczny, nie dopuszczał do siebie zbyt wielu osób, był wymagający, co można byłoby interpretować jako zachowania wyższościowe.

M.C.: Po wojnie Fleck bardzo się zmienił. Przed wojną nie miał poczucia humoru, był co najwyżej sarkastyczny, po wojnie zaczął

eprasa.pl 9a923e079a

z ludźmi żartować. Ale niewątpliwie był człowiekiem, który nie okazywał uczuć. Myślę między innymi o scenie, gdy do obozu w Buchenwaldzie dotarł w marszu śmierci jego syn, Ryszard. Rozłączyli się, gdy Flecka wywieziono z Auschwitz, i cudem spotkali, ale Fleck zachował się jak zamrożony. Dla mnie to chyba najbardziej przejmująca scena z życia Flecka. Po latach wyznał przyjacielowi w Izraelu, Markowi Klinbergowi, który skądinąd okazał się szpiegiem rosyjskim, że największy ból sprawiało mu patrzenie na cierpienie syna.

A jakim był mężem?
A.W.: Mimo że pochodził ze spolonizowanej rodziny, a jego syn dowiedział się, że jest Żydem, od kolegów w szkole i nawet do końca nie wiedział, co to znaczy, to małżeństwo zostało w sposób tradycyjny zaaranżowane. Ernestyna była daleką kuzynką Ludwika. Podział ról w ich rodzinie także był tradycyjny – on pracował, spełniał się naukowo, ona zajmowała się domem. Nie była dla niego partnerką do rozmów o nauce, ale dzięki niej on mógł robić to, co kochał. Według osób, które ich znały, byli dobrym, kochającym się małżeństwem. Ernestyna przeżyła Ludwika o trzydzieści lat, nie wyszła powtórnie za mąż i zabiegała o jego spuściznę.

Ludwikowi Fleckowi udało się przetrwać getto i dwa obozy; wydawałoby się, że po wojnie los powinien mu to wynagrodzić, ale nic podobnego. Polska nie była w stanie docenić takiego naukowca.
M.C.: W trakcie wojny zginęło około 40 proc. lekarek i lekarzy, w większości Żydów. Wśród nich kilku wybitnych mikrobiologów. Ci, którzy przeżyli, zwłaszcza z Wilna czy Lwowa, szukali miejsc pracy na nowych uniwersytetach. Fleck dotarł do Lublina, gdy większość kolegów znalazła już miejsce dla dalszego rozwoju karier. Jemu pozostała osierocona katedra w nowo powstałym zakładzie mikrobiologii UMCS w Lublinie, którą dopiero co opuścił prof. Ludwik Hirszeld. Fleck wiedział, że to kompletne rubieże intelektualne, ale co miał zrobić, podziękował i wziął się do pracy. Potem dopiero udało mu się przenieść do Warszawy. Dostawał zaproszenia na zagraniczne sympozja, ale wielokrotnie odmówiono mu paszportu. Nigdy nie pozwolono mu zabrać na taki wyjazd żony.

Polskie władze bały się, że nie wróci?
A.W.: Na pewno by nie wrócił. Po pogromie w Kielcach, po zbrodni, która była dla niego wstrząsem, Fleck nie miał już żadnych złudzeń co do antysemityzmu Polaków. Kiedyś, idąc ulicą w Lublinie, usłyszał rozmowę dzieci: „– To jest Żyd, którego Niemcy nie zabili. – Dlaczego nie?”. Wiec po wyjeździe Ryszarda do Izraela w 1947 roku Ludwik i Ernestyna także zaczęli się starać o paszport. Ale nic nie pomagało, nawet listy do premiera Józefa Cyrankiewicza. Wypuszczono ich z Polski dopiero w 1957 roku. Ludwik był już wtedy ciężko chory na serce. W Izraelu musiał zaczynać wszystko od nowa, był bez pieniędzy, nie znał języka.

I nawet tam spotkało go upokorzenie.
M.C.: Tak, bo kiedy się pojawił na uniwersytecie, gdzie, jak mu powiedziano w ambasadzie, bez problemu dostanie pracę, to usłyszał, że to jakieś nieporozumienie. Niby jak miałby pracować bez znajomości hebrajskiego?

A.W.: Do tego doszła zmiana klimatu, ludzie, którzy nie zawsze byli przyjaźni. Był co prawda Ryszard, ale mieszkał w innej miejscowości.

M.C.: Ja też byłam emigrantką, wiem, co on w tym momencie czuł. A jednocześnie był dorosły, nie mógł napisać do przyjaciół w Polsce, jak mu źle. Choć z drugiej strony przyznał, że gdyby jeszcze sto razy miał podjąć tę decyzję, to podjąłby taką samą.

A.W.: W końcu otrzymał stanowisko w laboratorium rządowego Instytutu Badań nad Biologią i próbował rozwinąć skrzydła, ale wtedy sam się zdiagnozował i odkrył, że ma raka. Ze względu na chorobę serca nie mógł jednak poddać się radioterapii.

Do tego dochodzą oskarżenia Balachowsky’ego.
A.W.: To już przepełniło czarę goryczy. I nawet jego największa miłość, filozofia, która – jak mówił Klingbergowi – sprawiała mu więcej radości niż mikrobiologia – nie przyniosła mu sukcesu. Fleck wyjechał co prawda do Oxfordu, na konferencję, podczas której poznał m.in. Karla Poppera. Ale kiedy napisał do swojego wydawcy z pytaniem, czy nie chciałby wznowić zaktualizowanej wersji jego książki „Powstanie i rozwój faktu naukowego”, to dostał odpowiedź, że nie, bo w ciągu wielu lat sprzedało się 12 egzemplarzy, z czego 5 kupił sam Fleck.

Wreszcie przyszła propozycja gościnnych wykładów o filozofii na uniwersytecie w Jerozolimie, ale wtedy już musiał odmówić ze względu na chorobę. Umarł na zawał po czterech latach pobytu w Izraelu, w 1961 roku. Był bez wątpienia postacią tragiczną. Historia z jej wykonawcami bardzo wiele mu odebrała. Napisałyśmy tę książkę właśnie po to, żeby oddać mu sprawiedliwość.

M.C.: Udało nam się odwiedzić w Izraelu mieszkanie syna Ludwika, Ryszarda, już po śmierci ich obu i Ernestyny. Profesor Avi Ohry mówił nam, że było to sanktuarium jego ojca. Ryszard zgromadził wiele pamiątek, miał też na ścianie mapę, na której zaznaczył kolorowymi liniami drogę każdego z nich – Ernestyny, Ludwika i swoją. Lwów, obozy koncentracyjne, Lublin, Warszawę, Izrael. Kiedy Ryszard umarł, a był bezdzietny, pamiątki zniknęły. Pewnie ktoś wyrzucił wszystko na śmietnik. ●

Anna Wacławik

• dziennikarka Radia TOK FM. Dwukrotna laureatka nagrody Grand Press w kategorii „Wywiad”. Laureatka konkursu Mistrz Mowy Polskiej. Autorka audycji „Wywiad pogłębiony” i „Andymateria” we współpracy z Andą Rottenberg oraz książek-wywiadów „Życie-zderzenie czołowe”, „Z krwi, kości i wiary. Rozmowa z ks. Wojciechem Lemańskim”, „Lekarze. Walka o życie” i „Żyć długo. Rozmowa z Januszem Kiljańczykiem”. W latach 2022-2023 wysłanniczka Radia TOK FM do Ukrainy. Członkini rady ekspertów Fundacji im. Pawła Smoleńskiego „Twarzą w twarz”.

Maria Ciesielska

• dr hab. nauk humanistycznych, dr nauk medycznych, lekarka, specjalistka medycyny rodzinnej, wykładowczyni na Wydziale Medycznym Uczelni Łazarskiego. Publikuje artykuły związane z losami lekarzy w trakcie II Wojny Światowej ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień medycznych związanych z niemieckimi obozami koncentracyjnymi, działalnością sanitariatu w więzieniach Gestapo oraz szpitalnictwem w getcie warszawskim. Laureatka Nagrody KLIO w kategorii Varsaviana za książkę historyczną roku 2015 pt. „Taniec wśród mieczów. Polski personel medyczny na Pawiaku w okresie okupacji niemieckiej 1939-1944” oraz nagrody im. Marii i Łukasza Hirszowiczów przyznanej w 2018 r. przez Żydowski Instytut Historyczny za książkę „Lekarze getta warszawskiego”.

Stare dobre czasy

Milcząca Barbara

Zachowanie Radziwiłłówny na Wawelu odbierano jako arogancję, nieuprzejmość, lenistwo i pychę.

Brzezińska

Nasi staropolscy przodkowie w kwestii królewskiej małżonki pozostawali zaskakująco zgodni. Uważali, że jest ona towarzyszką królewskiego łoża, a nie współuczestniczką rządów. Ma urodzić syna, zachować nienaganną reputację, tak by nikt nie śmiał kwestionować pochodzenia następcy tronu i publicznie dawać poddankom przykład dobrego chrześcijańskiego życia. Powinna również pośredniczyć pomiędzy królem a jego poddanymi, łagodząc gniew małżonka i wstawiając się za uciskanymi, oraz pomiędzy monarchią a Bogiem, wymodlając dla rodziny i poddanych łaski w życiu doczesnym i po śmierci.

Królowych nazbyt aktywnych i aspirujących do władzy w Polsce nie ceniono. Jeszcze na długo po śmierci Bony Sforzy przypominano ją na dowód, że królowe wtrącające się do spraw publicznych zawsze wyrządzają państwu – i państwu szlachcie – wielki uszczerbek. Zdawałoby się więc, że królowa pozostająca milczącym cieniem swego męża natychmiast zyska powszechną życzliwość.

Nic bardziej mylnego.

Następczyni Bony, Barbara Radziwiłłówna, wprowadzała się na Wawel w atmosferze skandalu i wrogości tak dotkliwej, że król obawiał się o jej życie. Kwestionowano jej reputację, zarzucano rozliczne romanse i plotkowano, że omotała króla magią miłosną. Teściowa demonstracyjnie wyjechała, by nie mieszkać pod jednym dachem z „tą panią”, na odchodnym zamykając drzwi komnat królowej, tak że trzeba je było dla Barbary wyważać.

Barbara nie miała dworskiego doświadczenia, nie znała ceremoniału ani obowiązków królewskiej małżonki. Po przybyciu na Wawel całymi dniami nie wychodziła ze swoich komnat, nie przyjmowała urzędników. Długo spała i spóźniała się, więc wszyscy widzieli, jak król wraz z dostojnikami wyczekuje, aż Barbara się wreszcie wybierze do kościoła, co oględnie mówiąc, nie dodawało mu majestatu. Przede wszystkim jednak nie próbowała wykorzystywać swojego wpływu na męża.

Wedle jej sekretarza, bardzo zresztą życzliwego, Barbara nie umiała lub nie chciała uzyskiwać zgody małżonka na choćby drobne prośby, czyli nie wypełniała tradycyjnej roli królowej jako orędowniczki proszących. W Polsce więcej jest ubogich niż bogatych, pisał, więc wstawiając się za nimi, Barbara zaskarbiłaby sobie ich miłość i modlitwę. A gdyby zjednała sobie plebejuszy, ci mogliby wywrzeć nacisk na nieprzychylną jej szlachtę i dygnitarzy. Ochmistrz jej dworu dodawał, że jeśli nie zaskarbi sobie miłości poddanych, doczeka się nie tylko kłopotów, ale i kary boskiej.

Tymczasem Zygmunt August, zmęczony władczym charakterem matki i zakochany w żonie, cenił jej brak politycznych aspiracji. Trudno więc zgadnąć, czy Barbara nie potrafiła się dostosować do reguł dworskiego życia, świadomie postanowiła je zlekceważyć, czy wreszcie wypełniała życzenia męża. Mogła się izolować, by unikać przykrości, despektów i plotek. Mogła też ukrywać początki choroby, na którą niebawem przedwcześnie zmarła.

Długo spała i spóźniała się, więc wszyscy widzieli, jak król wraz z dostojnikami wyczekuje, aż Barbara się wreszcie wybierze do kościoła, co oględnie mówiąc, nie dodawało mu majestatu

Ale współcześni twierdzili również, że prywatnie Barbara bywała uparta, nie ulegała naciskom i potrafiła wpaść w furię. Jej kuzyn żołądkował się, że ludzie gadają, że w złości jest podobna do królowej Bony, tylko głupsza od poprzedniczki. Na dodatek ponoć nie okazywała mężowi wdzięczności za wyniesienie i nie odnosiła się do niego dość czołobitnie. Jej zachowanie odbierano jako arogancję, nieuprzejmość, lenistwo i pychę.

Zapewne nie dowiemy się, co się kryło za milczeniem Barbary. Ani czy kryło się za nim cokolwiek. Wiemy jedynie, że brak zaangażowania u żony władcy irytował naszych przodków tak samo, jak przesadne zaangażowanie. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

eprasa.pl 9a923e079a

Ida NA KRAŃCACH ŚWIATA

• **Dziewiętnastowieczna rycina przedstawiająca Idę Pfeiffer (1797-1858) „w stroju podróżniczki”**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Była pierwszą kobietą, której towarzystwa geograficzne w Berlinie i Paryżu przyznały honorowe członkostwo. Londyńskie odmówiło. Z powodu płci.

Iwona Słabuszewska-Krauze

1 RP

eprasa.pl 9a923e079a

Ida Laura Pfeiffer urodziła się 14 października 1797 roku jako siódme dziecko i pierwsza córka wiedeńskiego producenta tekstyliów Aloysa Reyera i jego żony Anny Rosiny. Została wychowana w surowej dyscyplinie, bo ojciec uważał twardy charakter za największą cnotę i każdego potomka, bez względu na płeć, chciał „uczynić odważnym żołnierzem”.

Co niedzielę chodziła na górskie wycieczki, aby hartować ciało i nabywać wytrzymałości. Jadła proste, skromne posiłki, i to na stojąco, podczas gdy rodzice delektowali się przy suto zastawionym stole. Mówiła potem, że rodziców bardziej się bała, niż ich kochała, ale bez takiego wychowania nigdy nie odważyłaby się podrować dookoła świata czy zapuszczać w nietknięte białą stopą rejony.

Po śmierci ojca w 1806 roku zabroniono jej zachowywać się jak chłopak, matka kazała jej zakładać sukienki i bawić się lalkami. Ida musiała też uczyć się gry na pianinie, szydełkować i szyć. Nie lubiła tego. Gdy miała 9 lat i zbuntowała się, rozcinała sobie opuszki palców i polewała je woskiem, aby uniknąć ćwiczenia gam. Zachorowała tak ciężko, że matka musiała zgodzić się na chłopięce stroje – pozwolono jej ubierać się tak do 13. roku życia.

Bracia Idy zostali wysłani do szkół z internatem, ją uczył w domu prywatny nauczyciel, Joseph Franz Emil Trimmel. Szybko się w nim zakochała, a gorący romans długo utrzymywała w tajemnicy. To dzięki niemu wpadły jej w ręce książki podróżnicze pełne romantycznych i niebezpiecznych przygód.

Gdy skończyła 17 lat, matka postanowiła wydać ją za mąż, wtedy wyznała, że ma romans z Trimmelem. Ten wszystko potwierdził i szybko poprosił o jej rękę, ale pani Reyer wyrzuciła go jednak za drzwi.

Kiedy miała 22 lata, pojawił się właściwy kandydat na męża. Lwowski adwokat Mark Pfeiffer był starszy o 24 lata i w dodatku miał dorosłego syna. Bogaty, uprzejmy, traktował Idę ze zrozumieniem, nawet kiedy oświadczyła, że nadal kocha Trimmela. Nie przeszkadzało mu to, więc posłuszna matce zgodziła się za niego wyjść. Wzięli ślub w 1820 roku, wkrótce doczekali się dwóch synów.

Niestety, Pfeiffer musiał uciekać ze Lwowa, gdzie naraził się cesarskim urzędnikom. Stracił cały majątek. Rodzina przeniosła się do Wiednia, gdzie nie mógł znaleźć pracy. Wprawdzie po jakimś czasie wrócił do swojej praktyki we Lwowie, ale finansowa sytuacja rodziny była zła, więc Ida została z dziećmi w Wiedniu. Dorabiała, udzielając po kryjomu lekcji rysunku i muzyki.

Bieda skończyła się w 1831 roku, kiedy Ida odziedziczyła niewielki majątek po matce. Dzięki temu zapewniła edukację synom. Mąż cały czas mieszkał we Lwowie i oprócz krótkich wizyt nie ingerował w jej sprawy. Praktycznie żyli w separacji.

TAM, GDZIE NIE MA HOTELI

Pewnego dnia pojechała z synem do Triestu, gdzie pierwszy raz zobaczyła morze i żaglowce zawijające do portu. Wywołało to w niej wspomnienia z lat dziecięcych, kiedy wspinała się na drzewa i wyobrażała sobie, że przeżywa najdziksze przygody na nieznanych lądach. Odtąd marzyła o podróżach, z realizacją swoich planów musiała jednak poczekać, aż synowie dorosną i zyskają dobre posady. W świat ruszyła, mając 45 lat. Uważała, że jest już „stara i nieatrakcyjna”, więc będzie czuć się bezpieczna w podróży.

Chciała odwiedzić kraje, „w których nie ma hoteli i linii kolejowych”. Nie obawiała się niewygód, głodu, braku pieniędzy.

„Wiedziałam z doświadczenia, że nie potrzeba dużo pieniędzy, jeśli człowiek ogranicza się w wydatkach do samych najpotrzebniejszych rzeczy i nie będzie dbał o luksusy. Oszczędzając, mogłam zebrać niewielki kapitał, który takim podróżnikom jak Chateaubriand czy Lamartine, wystarczyłby najwyżej na 14-dniowy pobyt w kurorcie nadmorskim, mnie zaś wydawało się, że powinien wystarczyć na dwa lub trzy lata podróżowania, co w przyszłości okazało się prawdą”.

22 marca 1842 roku wsiadła na statek parowy i popłynęła w pierwszą w swoim życiu podróż. Dotarła do Stambułu, Palestyny, Nazaretu, Damaszku, Libanu i Kairu. Przejechała na wielbłądzie pustynię, a potem znalazła się w Rosji, gdzie zamknięto ją w areszcie, podejrzewając, że jest szpiegiem. Po wyjściu z więzienia, zniechęcona, opuściła Imperium Rosyjskie i pojechała do Grecji, na Cypr i Rodos, zwiedziła Sardynię i Włochy. Pieniądze szybko się skończyły, więc zdarzało jej się głodować i spać w warunkach polowych. Po ośmiu miesiącach pełnych wrażeń powróciła do Wiednia.

Przyjaciele namówili ją, aby swoje barwne zapiski wydała w formie książki. W 1843 roku ukazały się jej „Podróże wiedenki do Ziemi Świętej”, które zostały entuzjastycznie przyjęte i przetłumaczone na angielski i czeski. Ida Pfeiffer stała się jedną z pierwszych podróżniczek, której relacje były czytane przez szerokie grono czytelników, a nie tylko geografów i naukowców. Dzięki książce zarobiła na kolejną wyprawę.

Dwa lata później, podszkolona w duńskim i angielskim, przemierzała kraje Skandynawii i Islandię. Owocem siedmiomiesięcznej podróży była relacja „Podróż do północnej Skandynawii i Islandii” oraz kolekcja zebranych minerałów, którymi zainteresowało się British Museum, a także prywatni kolekcjonerzy. Później z każdej podróży Ida wracała z „naturaliami” w kufrach – płazami, muszlami, owadami, minerałami.

WRAŹLIWA OBSERWATORKA

Kiedy wpadła na pomysł, żeby objechać świat dookoła, zataiła ten plan przed synami. 1 maja 1846 roku zaokrętowała się na statek płynący do Brazylii, mówiąc, że zostanie tam tylko przez jakiś czas, a potem wróci. Do Rio de Janeiro dopłynęła na statku towarowym (gdzie ledwo uszła z życiem, gdy zaatakował ją zbiegły niewolnik), ale potem przeprawiła się dalej, przez przylądek Horn do Chile, skąd popłynęła na Tahiti.

Następnie podróżowała przez Makao i Chiny, Hongkong, Singapur, Cejlon i Madras w Indiach. Odwiedzała świątynie, była goszczona przez hinduskich radżów, wzięła udział w polowaniu na tygrysa, jadąc na słoniu. Była świadkiem rytuału palenia na stosie wdów, tradycja ta, niezakazana jeszcze przez władze kolonialne, głęboko nią wstrząsnęła. Przez Chiny, żeby nie wzbudzać niechęci, jechała w męskim stroju.

Była wrażliwą i czujną obserwatorką. Dostrzegała nędzne życie ludzi znajdujących się na samym dole drabiny społecznej – zwłaszcza kobiet i dzieci, ale też chłopów czy niewolników.

Wnikliwie pisała o przyczynach wrogości Azjatów do Europejczyków, podkreślając, że ci ostatni nie próbują dostosować swojego stylu życia do lokalnych warunków. Patrząc w indyjskim mieście Agra na słynne mauzoleum Tadż Mahal, widziała wysiłek 20 tysięcy robotników zatrudnionych przy budowie. Porównywała życie kobiet przygotowujących posiłek w cieniu bambusów i patrzących na bawiące się obok dzieci z losem marnie opłacanych pracownic w Europie, które „słońce widzą tylko w niedzielę”.

Z wyprawy wróciła w listopadzie 1848 roku, zaraz potem wydała trzytomową „Kobietę w podróży dookoła świata” przetłumaczoną na francuski, angielski, duński i rosyjski.

Po niecałym półtora roku znów wyruszyła w drogę. Tym razem zdała się na żywioł. W Anglii spotkała kapitana, który zgodził się za niewielką opłatę zabrać ją do Kapsztadu. Rejs trwał 75 dni, a kiedy zeszła na ląd, nadarzyła się kolejna okazja – popłynęła, znów za grosze, do Singapuru, a potem dotarła na Borneo. Zapuściła się na tereny plemienia Dajaków, „łowców głów”, którzy uprawiali zabobonną magię.

„Z przerażeniem zobaczyłam około trzydziestu czaszek nanizanych na sznurek i zawieszonych na ścianie jak jakaś girlanda. Oczodoły zostały wypełnione białymi, podłużnymi muszlami”. W państwie Dajaków została sześć miesięcy, by studiować ich życie, „spodobali mi się najbardziej ze wszystkich dzikich ludów, jakie do tej pory spotkałam. (...) mają naprawdę szlachetny, nieskazitelny charakter” – pisała.

RYZYKANTKA

Na Sumatrze chciała poznać życie plemienia Bataków. Nie wiedziano o nich nic poza tym, że są kanibalami i bardzo strzegą swego terytorium. Część Bataków poddała się władzy Holendrów i to do tych Ida, po 10 dniach podróży konno, dotarła najpierw. Od wodza plemienia usłyszała, czego może spodziewać się ze strony „wolnych Bataków”, jeśli natychmiast nie zawróci.

„Schwytanych przywiązują do drzewa, po czym ścinają im głowy. Krew zbierają ostrożnie do pojemników i wypijają jeszcze ciepłą lub używają jej do popijania dań z ryżu, podobnie jak u nas soku owocowego. Za najsmaczniejsze uważają podeszwy stóp, dłonie, fragmenty głowy, serce i wątrobę”.

Ida wiedziała, że siedem lat wcześniej dwóch amerykańskich misjonarzy zbliżyło się do „wolnych Bataków” i poniosło śmierć. Niezrażona poszła jednak w dżunglę. Towarzyszyło jej kilku przewodników – było ich więcej, ale niektórzy uciekli. „Skaczące pijawki występowały w takich ilościach, że krwawiłam na całym ciele. Większą część wędrówki odbyłam na bosaka, ponieważ na tym błotnistym terenie, ze ścieżkami znajdującymi się częściowo pod wodą, żadne buty nie nadawały się do użytku”.

Wkrótce zastąpiło jej drogę kilkudziesięciu mężczyzn wykrzykujących groźby i pokazujących na migi, jak będą obgryzać jej kości. Poklepała jednego z uzbrojonych po plecach i powiedziała, że ciało takiej starej, wyschniętej Europejki na pewno nie będzie mu smakowało. Dała do zrozumienia, że się nie boi. Chciała dotrzeć do jeziora Toba, którego nie widział jeszcze żaden Europejczyk. Spotkanie z kolejną grupą uzbrojonych mężczyzn zakończyło się jednak odwrotem – nie pomogły żarty ani determinacja, groźba śmierci była realna.

Pokonała wtedy piechotą 250 kilometrów, a konno 1200. W drodze powrotnej dopadł ją atak „gorączki sumatrzańskiej”, groźnej odmiany malarii. Podróżowała jednak dalej. Spędziła kilka tygodni na Jawie i wyspach Moluki, dotarła do Kalifornii ogarniętej gorączką złota. Spała w wigwamach Indian, a w Andach była świadkiem wybuchu wulkanu Cotopaxi.

WSZYSTKIE DARY IDY PFEIFFER

W lipcu 1855 roku wróciła do Wiednia; wyprawa, która miała być krótkim pobytem w Brazylii, trwała ponad cztery lata. Jej owocem był czterotomowa „Druga podróż dookoła świata”. Wierni i spragnieni przygód czytelnicy natychmiast ją wykupili. W 1860 roku została przetłumaczona też na polski.

Sławny niemiecki badacz przyrody Alexander von Humboldt tak pisał o Idzie: „Podziwu wymaga nie tylko pani wytrzymałość, odwaga i wielkie bogactwo zgromadzonych zbiorów, podziwu wymaga przede wszystkim prostota, z jaką pani pisze, wolność, z jaką wyraża pani czyste ludzkie uczucia, i sposób, w jaki pomniejsza pani swoje zasługi, nie umieszczając siebie na pierwszym miejscu”.

Zadziwiała wszystkich skromnością, ale jednocześnie wykazywała się niezwykłą odwagą i osiągała sukcesy. Przez większą część życia była oddaną matką i gospodynią domową. Podważała jednak porządek społeczny i urzeczywistniła marzenia o podróżowaniu, o którym inne kobiety nawet nie śmiały pomyśleć. Oprócz nieposkromionej ciekawości świata miała talent dziennikarski, dar przekuwania swoich obserwacji w fascynujące historie. I trzymała się rzeczywistości, dokumentowała fakty, w czasach, kiedy koloryzowanie nie było rzadkością.

W ostatnią podróż na Madagaskar wyruszyła w 1857 roku. Poznała tam sprawującą krwawe rządy królową Ranavalonę. Nieświadoma lokalnej sytuacji wplątała się w plany zamachu na królową. Sprawa się wydała, Ida musiała uciekać. Przeprawa przez dżunglę w błocie i deszczu zajęła jej 53 dni. Kiedy wreszcie dotarła na bezpieczną wyspę Mauritius, ledwo żyła. „Sumatrzańska gorączka” znów dała o sobie znać. Chciała jeszcze popłynąć do Australii, ale rozsądek wziął górę i ostatecznie wypakowała bagaże ze statku.

We wrześniu 1858 roku w ciężkim stanie wróciła do Wiednia. Zaopiekował się nią brat Carl, ale okazało się, że malaria zdążyła już wyniszczyć wątrobę. Zmarła 28 października 1858 roku. Syn Oskar wydał dwutomową książkę z ostatniej podróży matki.

Była pierwszą kobietą, której przyznano honorowe członkostwo w towarzystwach geograficznych w Berlinie i Paryżu, w Londynie, z powodu płci, odmówiono jej członkostwa. W następnych latach bagatelizowano jej dokonania i w rezultacie o Idzie Pfeiffer prawie całkiem zapomniano. ●

Alexander von Humboldt: Podziwu wymaga nie tylko pani wytrzymałość, odwaga i wielkie bogactwo zgromadzonych zbiorów, podziwu wymaga przede wszystkim prostota, z jaką pani pisze, wolność, z jaką wyraża pani czyste ludzkie uczucia

eprasa.pl 9a923e079a

weekendówka 168

PLUTON UMARŁ

Wypatrzył go w 1930 roku zaledwie 24-letni wówczas amerykański astronom Clyde William Tombaugh. Odkryty przez niego obiekt nazwano Plutonem. Raz, bo wszystkie planety Układu Słonecznego chrzczone były imionami rzymskich bogów, a dwa – by uczcić Percivala Lowella, astronoma-amatora, który wcześniej wyznaczył możliwe położenia obiektu – Pluton i PL.

I był sobie Pluton dziewiątą planetą Układu Słonecznego przez lat 76, ale w końcu przyszła kryska na Matyska. Bo z Plutonem, parafrazując Edytę Bartosiewicz, „zawsze było coś nie tak".

„Przede wszystkim jest malutki. Ma zaledwie 2,3 tys. km średnicy i nawet nasz ziemski Księżyc jest od niego większy. Poza tym o ile wszystkie porządne planety od Merkurego do Neptuna krążą mniej więcej w tej samej płaszczyźnie, o tyle orbita Plutona jest do niej nachylona pod kątem ok. 18 stopni, a do tego jest bardzo jajowata. W efekcie przecina on trasę, po której krąży Neptun, regularnie wpychając się pomiędzy niego a Uran" – pisał w 2006 roku na łamach „Gazety Wyborczej" Tomasz Ulanowski.

I dalej, że zdaniem co bardziej złośliwych Pluton trzymał się tak długo w dostojnym szeregu planet tylko dlatego, że odkrył go Amerykanin. Jako jedyną planetę Układu.

W 2006 roku Międzynarodowa Unia Astronomiczna, ciało w sumie niewiele od Plutona „starsze", bo powstałe w roku 1919, uznała, że trzeba coś z tym zrobić. I zdecydowała, że pora przyjąć definicję planety. Powołany przez MUA specjalny komitet na kongresie w Pradze zaproponował, że planeta musi krążyć po orbicie wokół gwiazdy i sama nie być ani gwiazdą, ani księżycem, a poza tym musiałaby mieć kształt kulisty.

Kłopot w tym, że taka definicja spowodowałaby, uwzględniając nowe odkrycia, prawdziwe „zaplanetowanie" Układu Słonecznego.

Wreszcie udało się dojść do porozumienia i 24 sierpnia 2006 roku stało się. Ciała niebieskie Układu Słonecznego podzielono na trzy kategorie. Tę pierwszą stanowiły planety, ale już bez Plutona. Za planety uznano obiekty o odpowiedniej masie, okrążające Słońce, wreszcie – będące w stanie oczyścić swą orbitę z innych ciał niebieskich. A Pluton tego ostatniego nie potrafił, bo orbitę swą gościnnie dzielił z innymi obiektami. Dlatego zdegradowany został do kategorii drugiej, czyli planet karłowatych, gdzie towarzyszyły mu m.in. planetoidy Ceres oraz Eris. W kategorii trzeciej znalazły się ciała małe.

Nie wszyscy (czyt. Amerykanie) pogodzili się z tą decyzją, ale oficjalnie Pluton planetą być przestał. Ale dziś postanowiliśmy go uhonorować, i w rocznicę degradacji Plutona przygotować specjalną planetarną „Weekendówkę". Bo zasłużył.

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl

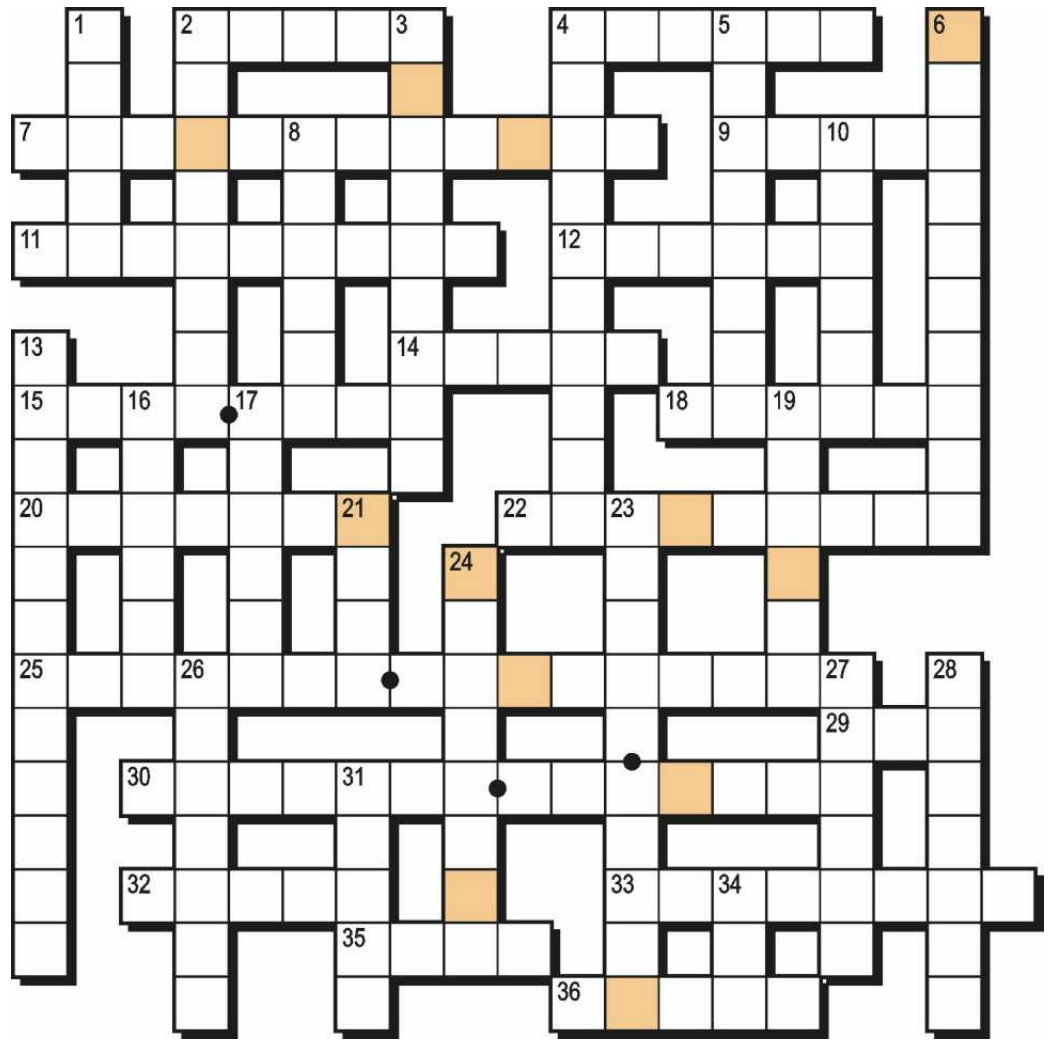

MIĘDZYPLANETARNA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) seria rosyjskich pojazdów kosmicznych
4) w sierpniu 2006 r. został „usunięty" z Układu Słonecznego
7) film Christophera Nolana o międzygwiezdnych podróżach, czarnej dziurze, grawitacji i miłości
9) „Syreny z ...", powieść Kurta Vonneguta (wpisujemy w mianowniku)
11) zielone ludziki z Czerwonej Planety
12) jeden z księżyców Jowisza (jak mityczna królewna)
14) w świecie „Gwiezdnych wojen": planeta królowej Amidali
15) serial z kapitanem Kirkiem i Spockiem ze statku Enterprise
18) Luc, wyreżyserował „Piąty element"
20) potrzebuje go Ziemia w wielu filmach SF
22) np. Droga Mleczna
25) „2001: ...", film Stanleya Kubricka z misją na Jowisza
29) ... świetlny (kawał czasu!)
30) fantastyka naukowa
32) kto wie, może jest gdzieś jeszcze we wszechświecie
33) peryhelium i ..., punkty na orbicie okołosłonecznej planety
35) Phobos dla Deimosa (mitologia grecka)
36) lądownik na Księżycu w 1969 r.

Pionowo:
1) ... kosmiczna Voyager
2) jego bohaterowie „otoczyli" planetę Uran
3) mieszkanka Błękitnej Planety (nie mylić z wykopem!)
4) niewielkie ciało niebieskie; asteroida
5) pustynna planeta w świecie „Gwiezdnych wojen"
6) hipotetyczna mieszkanka planety sąsiadującej z Ziemią
8) ... kosmiczny (astronauci poza statkiem)
10) złoczyńca z komiksów Marvela, urodzony na księżycu Saturna
13) przykuci do teleskopów
16) nadawcze lub odbiorcze
17) ... czasoprzestrzenne, powinny istnieć, jeśli wierzyć teorii względności
19) planeta posiadająca lodowe pierścienie
21) śpiewała: „A planety szaleją..."
23) świetlista otoczka wokół Księżyca
24) „Grawitacja" Justyny Steczkowskiej
26) zdobywane przez zdobywających Koronę Ziemi
27) imię gwiazdy filmu „Pamięć absolutna", którego akcja toczy się m.in. na Marsie
28) ... ziemska, zewnętrzna powłoka naszej planety
31) „Patrzę w ..., gwiazd szukam, przewodniczek łodzi"
34) wodór i ..., dominują w atmosferze Jowisza

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 167 z 16.08:

Poziomo: 6) migot 9) autosalon 11) kolarze 12) Dominic 13) lamparty 14) błyskawica 16) Internet 18) riposta 19) cwał 21) łodzie 22) Karin 25) Europa 26) wóz 27) ukrop 29) mandat 32) odrzutowiec 34) fast-food 36) zupka 38) wierzchowce 39) Zator 40) czas 41) akceleratory.
Pionowo: 1) kino 2) bolidy 3) szachiści 4) pospieszne 5) nabranie prędkości 6) mody 7) noc 8) szyba 10) Usain Bolt 11) Kipketer 15) łapy 17) trzepot 20) łucznicy 23) impet 24) zwycięstwo 28) karuzele 30) aktorka 31) taniec 33) okazja 35) droga 37) pole.

HASŁO:
SZALONE TEMPO PRACY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34354617

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

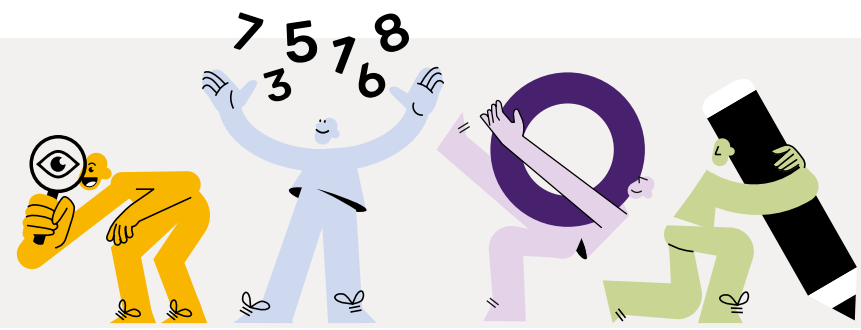

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 9a923e079a